



ZABAWA W SZCZĘŚCIE

Leopold Banasiewicz
Tężeński
D. M. A.

OKŁADKA WEDLE RYSUNKU STANISŁAWA DĘBICKIEGO

KORNEL MAKUSZYŃSKI

ZABAWA W SZCZĘŚCIE

WYDANIE TRZECIE



EL HYACINTH COLLEGE AND SEMINARY
GRANBY, MASSACHUSETTS

LWÓW — 1912

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

m
232

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO:

POŁÓW GWIAZD.

Wydanie II.

RZECZY WESOŁE.

Wydanie III.

ROMANTYCZNE HISTORYE.

Wydanie III.

W KALEJDOSKOPIE.

Wydanie III.

DUSZE Z PAPIERU.

Na wyczerpaniu.

DZIWNE POWIEŚCI.

Wydanie III.

ZABAWA W SZCZĘŚCIE.

KRÓL AZIS

Niezmiernie był znużony król Azis, kiedy się o północy zwlókł z łoża, usnąć nie mogąc.

Nie wiedział, czy to niepokój gorącej, żarem drgającej nocy krew w nim burzy, czy też wspomnienia zabawy przedwieczornej sen z oczu mu spędza. Kiedy słońce stanęło nad cyprysowym gajem, którego szczyty znaczyły kres dnia, wtedy odetchnęła ziemia, jakby się z jej piersi stoczyła ciężka słoneczna kula i wtedy wszystko ogarnęła dobra, łaskawa cisza, niepokój kończąca. W takiej chwili nie uczyni krzywdy jedno stworzenie drugiemu, a zbrodniarz ukryje lękliwie w zanadrzu nóż, którego dobędzie nocą. A oto król Azis, ujrawszy w taką smutną, przedziwnie cichą chwilę dumne łabędzie, płynące jak białe łodzie po sadzawce, ujętej w marmurowe kolisko, zapragnął usłyszeć śpiew konających ptaków. Kazał przynieść łuk, strzałę, zdobną w tęczę piór, na cięciwie położył i czekał, aż się

ptaki wspaniałe piersią zwróca ku niemu. Siedm łabędzi płynęło do jego stóp. Nagle się rzucił ten, który płynął pierwszy, wyciągnął szyję, uderzył obciętymi skrzydłami o wodę i bluznął krwią. Król Azis na łuku się oparł i słuchał chciwie. Ptak umierał na zabarwionej krwią fali cicho, bez głosu, przerażonemi tylko skarżąc się oczyma.

Zmarszczył brwi wspaniały król Azis; widać było, że od nadmiernego gniewu drżała mu ręka, kiedy od klęczącego u stóp jego niewolnika, brał strzałę drugą. Już mu spędzono w pobliże przerażone i rozpierzchłe łabędzie, przeto bez trudu mierzył w śnieżyste piersi. Siedm zabił ptaków i nie usłyszał ich głosu.

— Czemu nie śpiewały te ptaki, umierając? — zapytał nagle król Azis człowieka, który stał za nim w postawie pokornej, chociaż miał na sobie płaszcz, przetykany złotem i łańcuch wspaniały na piersi.

Człowiek ten, ujrawszy obrócone na siebie oczy Pana, ukląkł i odrzekł prawie szeptem:

— Ginęły zbyt szybko, o Panie! Nie zaznały męki...

Wtedy mu król Azis w oczy spojrzał i rzekł:

— Kiedy mi się spodoba, zginiesz i ty, ale nie będziesz umierał szybko...

Człowiek ten na twarz upadł i jęczał.

Teraz kiedy się z łoża wśród dusznej nocy

zwlókł król Azis, z niechęcią przypomnił sobie zabawę przedwieczorną, zrozumiawszy, że nie była to igraszka królewska.

Głowę miał pełną szumów; to żar leniwej nocy krew w nim wzburzył i gnał ją po żyłach, nadmier nie tętniących. Król Azis wyszedł na szerokie, marmurowe schody, pełzające u stóp wspaniałych kolumn, stojących na straży pałacu. Wsparł się o jedną z nich i spojrzał w dyszącą ciężko, parną noc letnią.

Poza ogrodami, poza nieprzeniknionym murem cyprysów, widzialne tylko przez wyłom uczyniony w nim do użytku łaskawych oczu królewskich, spało niespokojnym snem białe miasto, rozległe i pyszne. Znużone gwarem dnia, który skonał z wieńcem na słonecznem czole, jak biesiadnik, ginący od nadmiaru rozkoszy, upojone potęgą swoją, jak wspaniały zwierz pustylny, którego poi zapach krwi, śmiertelnie strudzone krzykiem i wrzawą na cześć swego żywota, chodzącego w blasku słońca — legło to białe, marmurem błyskające miasto na złotym, sypkim piasku morskiego wybrzeża, aby odpocząć wśród nocy i ochłodzić się wiatrem, który morze wysyłało noc w noc na wytchnienie panom swoim. Dziś jednak parna noc położyła swoje długie, z nieprzejrzystego cienia uczynione ręce, na morze i uciszyła wszystkie wiatry i wszystkie powiewy, z oddalonych lecące

brzegów, więc się białe, pyszne miasto męczyło, jak człowiek, który zapadł w gorączkowy sen i sennym, omdłym ruchem rąk stara się zmorę gniotącą mu piersi, strącić i zdławić. Ogrody dyszały ciężką, zabijającą wonią róż, omdlały bluszcze, zwisłszy bezwładnie, cyprysy stały bez szmeru.

Król Azis spojrzał z nienawistną pogardą na śpiące miasto, które omdlało na morskim brzegu, jak spragniony wędrowiec, co padł bezsilny i strawiony pragnieniem, zanim zdołał ręce wyciągnąć ku fali. Brwi ściągnał wspaniały król Azis i począł schodzić przez marmurowe, szerokie schody ku ogrodowi, które zalała noc, tak, że tylko wierzchy najwyższych cyprysów odcinały się ledwie widocznym zarysem na granatowym tle nieba, wydobywszy się z nocnej toni, co wszystko poniżej zatopila, jak powódź. Znużona całodziennym wrzaskiem cisza spała w gęszczu; spłoszony ptak niechętnie, ciężko w ciemności bijąc skrzydłami, przeleciał tuż przed twarzą królewską.

Nagle, od strony, gdzie stały fontanny ozwał się chrapliwy, zduszony, na poły senny głos:

»Strzeżcie króla Azisa!«

A za chwilę, gdzieś daleko, z pod palm odbrzmiął mu inny, wołający:

»Uszanujcie sen królewski!«

To strażę króla Azisa nawoływały się wzajemnie.

Król Azis stąpał cicho po żwirze ogrodowej alei, wytyczonej białymi widmami posągów; szedł ku fontanom, gdzie czuwał strażnik, zbrojny w włócznie. Ujrzał go po chwili, wypatrując pilnie: strażnik włócznie wbił w ziemię, a sam ułożył głowę na chłodnej tarczy; od czasu do czasu tylko opierał się na rękę i przez sen wołał:

»Strzeżcie króla Azisa!«

Podszedł ku niemu król i pochylił się nad sen-
nym: dotknął go ręką, budząc.

Strażnik zerwał się z ziemi, włócznie pochwycił i zamierzył się na króla.

— Kto jesteś? — krzyknął.

— Milcz! — szepnął król Azis — ogród słyszy...

— Czego chcesz?

Strażnik, ostrze włóczni kierując w piersi Azisa, wpatrywał się w chmurną twarz królewską, lecz jej nie poznał. Rzekł cicho:

— Czego szukasz w królewskich ogrodach?

— Króla! — szepnął przenikliwie król Azis i palec porozumiewawczo położył na ustach.

— Króla?!...

— Mów ciszej... Jego szukam... Czy nie wiesz, że postanowiono, aby wybiła jego ostatnia godzina?

— Boże! — rzęził strażnik.

— Ja mam sprawić, aby nie ujrzał wschodzą-

cego słońca. Mówię ci to, abyś krzykiem nie zbudził pałacu... Tu jest dla ciebie złota moneta z głową króla Azisa...

— Wolałbym głowę króla Azisa bez złotej monety... Panie! — szeptał strażnik — muszę wywołać hasło. Nie trwóż się!

Odstąpił i chrapliwym głosem zawołał:

— »Strzeżcie króla Azisa!«

— »Uszanujcie sen królewski!« — wołało w dali posłuszne echo.

Król Azis uśmiechnął się dziwnie w ciemności.

— Dobrze sprawiasz służbę — rzekł — oto masz jeszcze jedną sztukę złota... Miłujesz króla?

— Niech go stoczy robactwo! — odpowiedział strażnik. — Twoje ręce będą błogosławione... Tylko niech ci dłoń nie zadrży, abyś mógł uderzyć wprost w serce... Tędy idź!... Mieli go zabić wczoraj, pewnie wiesz o tem, jeśli dziś przychodzisz ze sztyletem...

— Wiem! Nie zabili go, gdyż czuwał przez całą noc...

— Tak! — rzekł strażnik — czemu drżysz?... czytał księgi i pieścił panterę, która jak pies chodzi za nim... Dzień jeden jeszcze oglądał słońce, oby go już nie ujrzał jutro!... Tędy idź!... Na marmurowych schodach czuwa niewolnik... Znajdziesz łatwo czarną gardziel... Stąpaj ostrożnie... Niech ci Bóg pomaga!

Jutro całować będą twoje ręce. Ja i wszyscy ze mną... Jak się nazywasz?

— Na co ci moje imię? Jeśli mi się uda, wszystkie ulice będą jutro śpiewały moje imię i morze będzie je wołać rykiem fal... A jeśli mi się nie uda, niebezpiecznie jest słudze królewskiemu znać imię mordercy...

— Chwała ci, jakkolwiek się zowiesz... Idź przed siebie! Będę wołał głośno: »Strzeżcie króla Azisa!« aby zagłuszyć kroki twe na żwirze... Szukaj starannie serca, bo może go nie ma król Azis! — (»Strzeżcie króla Azisa!«) — A potem wołaj głośno, a ja zbudzę miasto... Serca szukaj i nie wyjmuj zeń noża... Cicho! Dźwięk jakiś... (»Strzeżcie króla Azisa!«)... od strony pałacu... Ukryj się, panie... Jakby ktoś uderzał po ziemi łańcuchem... (»Strzeżcie króla Azisa!«)... Czemu nie pędzisz w gęszcz? Prędejsz, na Boga, prędejsz!... Będiesz zgubiony ty i ja, jeśli kto ujrzy... Co to?

Słysząc było brzęk ogniw łańcucha, uderzających gwałtownie o siebie; głos szedł od strony marmurowych schodów, szarzejących w oddali.

Król Azis nie poruszył się z miejsca.

— Uciekaj! — krzyknął stłumionym głosem strażnik.

Zaśmiał się nagle złym śmiechem król Azis, ujrawszy twarz strażnika. Oto z gęszczu wybiegła

bez szelestu pantera królewska, wlokąc za sobą złożony łańcuch i przypadłszy do królewskich nóg, ocierać się o nie poczęła, pieszcząc się dziwnie. W tej chwili zaszyły bielmem oczy strażnika i błysnęły w ciemności jak szklane oczy trupie. Nieludzkie obłąkane przerażenie wykrzywiło mu usta; poznał króla i oszalał. Włócznia z rąk mu wypadła; nagle począł uciekać, jakgdyby śmierć zobaczył i jakimś śmiertelnem rżeniem wołał na cały głos bezustannie: »Strzeżcie króla Azisa!«

Król Azis nie spojrzał nawet w tę stronę, albowiem musiał uspokajać panterę, która wygięła się w kabłąk i zmrużyła oczy. Za obrożę chwycił król Azis i wiodąc zwierzę, powolnym krokiem poszedł alejami w stronę pałacu. Spał marmurowy dom, owinąwszy się szczelnie w płaszcz mroku: gdzieś w dali wzdychać już poczęło senne morze, jakby błagając zmiłowania i słońca.

Król Azis wszedł do komnat. Panterę u drzwi uwiązał na złożonym łańcuchu, a sam wszedł do sali, pełnej przejrystego mroku, gdyż w jednym jej rogu błyskała mdłym światłem lampa. Blask padł na twarz króla Azisa. Gorzały w niej oczy złym błyskiem, oczy dziwnie czarne, jakby dwa ognie wprowadzone w twarz z wosku. Król Azis miał twarz zmiętą i niezmiernie znużoną, jakby żółtą; gdyby niesamo-

wicie świecące oczy powiekami zakrył, byłby raczej podobny do trupa. Straszny uśmiech błąkał się po znużonej twarzy, uśmiech, co spływał z oczu i biegł ku ustom, zaciętym groźnie, bladym i bezkrwistym. W twarzy królewskiej nie było krwi.

Ręce mu drżały, kiedy ujawszy złote szczypce, objaśniał włókno lampy; dreszcz po nim przebiegł, gdyż nagle poczuł zimno. Owinał się płaszczem i usiadł na rzeźbionem krześle, patrząc czarnemi oczyma w światło. Czoło zmarszczył król Azis — widocznie myśli jego były złe, jak błyskawica. I czy to blade światło lampy na twarz mu padło, czy też blask oczu, gdyż twarz króla Azisa stała się w jednej chwili jakby mniejsza, jakby ją ostremi palcami schwycił kurcz i ściągnął, tak, że ból wyraźnie spłynął po niej. Król na rękę się oparł i znieruchomiał. Nie odwracał oczu od światła i myślał. A ból co raz to powracał, wijąc się po twarzy; jakby odstraszony dziwnym błyskiem oczu, innego szukał wejścia do mózgu; dopadł ust i rozchylił szponem usta, gdyż drgnęły nagle.

»Uszanujcie sen królewski!« — poleciało stłumionem wołaniem po śpiących ogrodach. Wstrząsnął się król Azis.

Począł oddechać ciężko, świszczącym, szybkim oddechem, jak człowiek w gorączce; od czasu do

czasu ręce podniósł do skroni i skronie mocno ścisnął. Wtedy się w ogromnej sali o marmurowe kolumny rozbijał jęk królewskich piersi, którego nikt słyszeć nie śmiał, chyba marmury.

Zdarzyło się raz bowiem, że niewolnik (któremu lepiej było, aby się był nie rodził), ujrzał dwie łzy, toczące się po żółkłej twarzy króla Azisa; człowiek ten musiał zginać, zanim miał czas zdumieć się, że płakał król Azis. A raz było tak, że wspaniały król usnął, ułożywszy głowę na różanych piersiach cudnej Zoe, przywiezionej z wysp, przy których łowiono perły i podczas snu jęknął tak głęboko, jak gdyby mu kto w dłoniach ścisnął serce. Nieszczęsna spytała króla, kiedy się obudził, jaka go trapiła męka, że jęknął tak, jakby płakał krwią; za to, że słyszała przerażony jęk króla Azisa, utopiono ją w morzu po zachodzie słońca.

Marmurowe kolumny słyszały tedy, same tylko jęk królewski. Król Azis siedział wciąż nieruchomy, jak gdyby go napadła śmiertelna niemoc, patrzył tylko przeraźliwym wzrokiem przed siebie, w pustkę, w rzeczy jakieś tajemne i złe, w mgłę świetlistą, która jak opar wzniosła się nad lampę i przędła może widziadła bez ciała dla królewskich oczu.

Wzdrygnął się nagle król Azis.

Oto drgający płomień lampy, w której oliwa

przesycona była pachnidłem, aby nawet światło woń siało przed królem Azisem — malował cienie na ścianie, żywe i ruszające się niespokojnie. Igraszką złośliwą były te cienie dla królewskich oczu, bo się nagle wzdrygnął król Azis ujrzawszy, jak uczyniony z mgławego cienia, olbrzymi skorpion począł pełzać po marmurze. Król Azis twarz wykrzywił w śmiertelnym lęku i ręką zakrył oczy, mimo tego jednakże skorpion przed oczyma mu pełzał.

Dni temu niewiele, kiedy oszołomiony ciężkiem, rubinowem, jak żywa krew winem, szedł na spoczynek, aby uciszyć pyszną swą królewską głowę, w której łomotał szum krwi, zmieszany z pożądliwie kuszącymi echami harfy — i kiedy już miał spocząć na łożu, nagle krew wszystka spłynęła mu w serce, które bić przestało: oto, przyczajony na wezglowiu, drgał skorpion. Krzyknął król Azis i zbiegł do sali, w której zostawił uczujących; trwoga zmała myśl królewską, a jednak zdumiał się, nie słysząc radosnych okrzyków, ani brzęczącej wrzawy harf; spojrzął chyłkiem z poza kotary i zbladł jeszcze bardziej: milczały harfy i przestano lać wino, a biesiadnicy, zgasiwszy połowę pochodni, skupili się przy drzwiach, wiodących do komnat królewskich, bladzi, wyczekujący, z rozchyłonymi ustami. Szeptem mówił jeden:

— Zdawało mi się, że krzyknął...

I nasłuchiwali jeszcze pilniej.

— Umrze pijany! — mówił inny.

— Niech kona długo! — modlił się człowiek, noszący gronostaje.

Król Azis powlókł się z poza kotary, a upadłszy na ziemię, płakał z obłąkanej trwogi; piana toczyła mu się z ust i oczy miał szklane, kiedy się podniósł na pół martwy, lecz straszny. Kazał schwycić skorpiona, włożyć go do złotego kielicha, z którego pił wino przy biesiadzie, a nazajutrz przywołać kazał tego, który drwił, że król Azis umrze pijany.

Stał przed królem biały od lęku.

Król Azis rękę mu położył na ramieniu i oczy swoje zatopił w jego oczach przerażonych i zdumionych, że oglądają żywą twarz królewską. Rzekł mu król Azis powoli i głucho:

— Chcę ci łaskę uczynić, abyś wiedział jak bardzo cię miłuję; oto jest złoty kielich, którego dotknęły moje usta, a ty dzisiaj będziesz zeń pił!

Skinął, a czarny, olbrzymi niewolnik podał ostrożnie złoty kielich nieszczęśliwemu, potem za rękę go chwycił i przemocą kielich do ust mu przytknął. Oblęd zamglił przerażone oczy tego człowieka, zanim umarł.

— Chcę, byś umierał pijany! — śmiał się król Azis, ale śmiał się tylko oczyma, gdyż żółta jego, znużona twarz była martwa.

Lęk do niej przyrósł, jak larwa i lęk wieczysty, jak czerw mieszkał w zwiędłym sercu króla Azisa. Teraz go przeraził potworny cień na ścianie, potem szelest u rzeźbionych drzwi. Przerazenie przed nieznaną ręką z mgły i mroku, chodziło za nim krok w krok, jak jego czarna, leniwa, zła pantera, wodzona na złożonym łańcuchu.

O, jak strasznie lękał się król Azis!

Widział, jak padają przed nim na twarz i tego bał się najwięcej.

Słyszał, jak wołają z miłością jego imię i tego bał się śmiertelnie.

Nie znał wroga swego i nie widział jego twarzy, a dziesięćkroć razy wśród dnia i nocy konał powoli z trwogi przed tą nieznaną twarzą. Naokół króla Azisa była niezmierna pustka, naokół niego i w nim; nie było świata ani morza, ani marmurowego miasta, ani gaju cyprysów, tylko lęk.

Król Azis nie znał kiedyś trwogi; zapisali uczeni niewolnicy, że kiedy król Azis, ryjąc ostrogą boki dzikiego konia, któremu z pyska leciała śnieżysta piana, pomieszana z krwią, wpadał w nieprzyjacielskie szyki, najwspanialszy rycerze porzucali miecze i włócznie i uciekali, nie mogąc spojrzeć w oczy króla, krzyczące śmiertelną grozą; i było podobno tak, że na łowach w wirujących piaskach pustyni,

płowy lew, opadł bez sił, gotując się do skoku, kiedy go uderzyły, jak dwa pioruny, oczy króla Azisa, któremu nie zadrgała ręka na cięciwie, ani mu nie zadrgała powieka, gdy miecz wzniesiony drżał nad jego królewską głową. Aż przyszedł taki dzień, kiedy na jedną chwilę ustało serce króla i zabrakło mu oddechu na jedno mgnienie oka: chociaż słońce szalało tak, iż zdawało się, że zimne, bezkrwiste marmury rozpali do czerwoności, po królu Azisie przebiegł tego dnia zimny, śmiertelnie zimny dreszcz i oczy na jedno mgnienie powlokła mu nieprzebita ciemność. Zdawało mu się, że ktoś wybiegł z zasadzki, szybszy niż błyskawica i zimnemi rękoma chwycił go za gardło; czuł, że mu włosy podniosły się na głowie i że krew przestała krążyć w żyłach. Było to przerażenie.

Nie śnił król Azis, gdyż, kiedy przeminęła potworna chwila, a on ręce podniósł do skroni, poczuł na nich krople zimnego potu, jaki się ukazuje na skroniach ludzi, których już śmierć zaleęła. Musiał ten lęk okropny, zostawić ślad na królewskiej twarzy, gdyż syryjskie tancerki, które nago w tej właśnie chwili tańczyły przed obliczem króla, spojrzały na niego trwożliwie, jak sarny, gotujące się do ucieczki.

Nikt nie wie, skąd przyszedł ten straszny lęk na

króla Azisa, ani też król Azis tego nie wiedział; błysnął i zgasł, jak błyskawica, która się rozżarzy i umiera, urodzona w przestworzu; lęk ten śmiertelny powiał jak wicher, który niewiadomo skąd przybywa: ukazał się oczom królewskim jak widmo, co z mgły się uprządlszy, w mgłę się rozplywa. Czego się miał lękać król Azis? Skinął, a świat do stóp mu się walił i łkał i zmiłowania zebrał; brwi zmarszczył, a mury potężnych miast drżały, jak gdyby nawiedziło je trzęsienie ziemi. A przecież się uląkł i nie wiedział czego... Nie znał przyczyny trwogi i to go jeszcze większym napawało lękiem. Dnia tego, kiedy go nienazwany nawiedził strach, powłókł się król Azis na łożę, głowę czerwonym swym płaszczem owinał i tak trwał. Nie śmiał się nikt zbliżyć do królewskiego łoża, więc zdala czekali na króla wodzowie i ludzie, wysokie piastujący urzędy, z którymi rozprawiał co wieczora o szczęściu swoich narodów, które zaległy brzeg błękitnego morza, albo mieszkwały na zielonych wyspach, co jak szmaragdy w toń morską zapadły. A król Azis dopiero z nadejściem nocy ukazał się na terasie, gdzie stali jego ludzie. Ujrzeni przy świetle pochodni jego twarz i zbledli.

Król Azis spojrział na nich z podelbą, szukając w gromadzie jednego, na którego skinął niecierpliwym ruchem, przechodząc mimo i nie obejrzawszy się, po-

szedł dalej. Z gromady, zgiętej w pokornym ukłonie, wysunął się człowiek bardzo stary, cały przyodziały czarno i głowę siwą pochyliwszy, stąpał za królem. Król siedł w ogrodową ustroń, daleko od pałacu, gdzie stał pyszny posąg nagiego młodzieńca, napi-nającego łuk; usiadł na stopniach posągu i podniósł oczy na starego człowieka, który stał przed nim spokojny, choć pokorny.

Milczał długo król Azis, potem, rozglądnąwszy się pilnie dookoła, rzekł:

— Ty jesteś ten, który mnie uczył czytać księgi?

— Powiedziałeś, królu Azisie!

— I pamiętasz tyle lat, ile ich nikt nie pamięta ani na morskim brzegu, ani na wyspach?

Stary człowiek wzniosł w górę drżące ręce i powiedział:

— Zapomniałem już liczyć lata, albowiem zacząłem już liczyć godziny.

— Powiadają, że jesteś pełny mądrości, jak ul pełen miodu i że znasz tajemnice, od których siwieją włosy i człowiek umiera. Czy znasz takie tajemnice?

Uśmiechnął się łagodnie stary mędrzec.

— Jeśli od nich umiera człowiek, jakżebym ja je miał znać, stojąc przed tobą żywy, królu Azisie?

Król Azis zmarszczył czoło, potem spytał cicho:

— Co wiesz o mojej duszy?

Stary człowiek ważył na ustach słowa, ręce następnie rozłożył bezradnie.

— Nikt nie zbadał głębiny morza, panie mój, ani nikt nie widział oczyma serca ziemi — odrzekł powoli.

— Mówisz cześć słowa i brzmisz pusto jak tarcza, kiedy w nią miecz mój uderzy. Czy to jest twoja mądrość?

Starzec plecy zgiął w kabłąk i mówił drżącym głosem:

— Królu Azisie! Jakże mam znać twoją duszę, kiedy nikt jeszcze spojrzeć w nią nie śmiał, jak w słońce? Za lat tysiąc ukaże się twoja dusza na wysokości przenikliwym oczom tych, co rozkopują groby i widzą rzeczy minione. Wtedy oni powiedzą, jak wielką była dusza króla Azisa!

— Jesteś chytry jak człowiek, który pisze księgi, albo jak śmierdzący szakał, co wyje na chwałę księżycy... Zapytam cię tedy o sprawy, które znać musisz, bowiem jeśli ich nie znasz, tedy twoje siwe włosy malowane są farbą, aby cześć zyskać, a nie posiwiały dlatego, żeś trudził myśli.

— Pytaj, wielki królu Azisie!

— Odpowiedz mi, czy jest na świecie człowiek szczęśliwy?

Stary człowiek spojrzał szybko na króla, potem

czempredzej ukrył swoje spojrzenie; wreszcie, wyjąkując z trudem słowa, mówił:

— Myślałem o tem, królu Azisie, przez wszystkie noce mego życia, zanim mnie zmógł sen i poznałem, że niema pośród żyjących takiego, któryby był szczęśliwy. Ujrzałem w moich myślach, że szczęście jest wielkie, jak świat, a serce ludzkie jest małe, jak złoty puchar i nigdy nie obejmie szczęścia, pragnąc go tylko wieczyście. A to pragnienie toczy ludzkie serce jak robak i wypija z niego wszystką krew. Po tem człowiek umiera.

Biały paw, śpiący na pobliskiem drzewie, krzyknął przeraźliwie przez sen, tak, że się wzdrygnął król Azis i stary człowiek, który zaczął mówić ciszej:

— Aby objąć szczęście myślą, jak młodzieniec obejmuje ramionami dziewczę, trzebaby, aby wszyscy ludzie, którzy byli, którzy są i którzy będą jeszcze, rojni jak mrówki, złączyli swe drobne, pragnące serca w jedno, tak wielkie jak świat. I trzeba, aby wszystkie serca ludzkie były czyste... Czy to możliwe, królu Azisie? Przeto do skończenia świata, kiedy wyschnie morze i słońce spadnie w przepaść, każdy człowiek będzie tylko pragnął szczęścia i będzie umierał, wypalony pragnieniem jak ognisko. A ostatni na ziemi człowiek, konając, będzie złorzeczył za wszystkich, co byli przed nim...

— Czy wiedzą ludzie o tem, o czem mówisz?

— Wiedzą, królu Azisie, tak dobrze, jak ty i ja, lecz są jak chorzy, którzy się łudzą i oszukują siebie i innych, albowiem, gdyby tak nie było, pękłyby z nadmiernego bólu wszystkie serca ludzkie; a kto by miał serce kamienne, wydarłby je sobie z piersi, aby nie żyć.

— Czy mówisz o tem, nauczając na rynku, albo w rybackiej przystani?

— Królu Azisie! Rzucają mi sztuki złota i wielbią mnie głośno, abym mówił inaczej. A po twoim kraju chodzi tysiąc ludzi, którzy mają serce próżne jak konchę i wylękle oczy, a śpiewają o szczęściu; płacą im za to i całują ich ręce i rzucają im palmy pod nogi. Ludzie ci płaczą, kiedy są sami... Kłamstwo pali im wargi, a oni muszą uczyć kłamstwa, bo cóż zostanie, jeśli zginie kłamstwo? A czyż człowiek nie sadzi kwiatów na grobie?

— Rzekłeś!... — szepnął cicho król Azis.

Patrzył długo w starca, potem mówić począł cicho, głosem, który drżał:

— Zbliź się ku mnie... Może jest prawdą to, o czem mówiłeś, chociaż źle jest o tem mówić w ciemności; jeśli się mówi rzeczy straszne, trzeba aby płonęło sto pochodni i żeby grały harfy; nie o to cię chciałem pytać, stary człowieku, lecz o inną

tajemnicę ludzkiego serca... Jeśli mi możesz odpowiedzieć, mów szeptem... Zbliź się; łaskawy jestem dla ciebie, jak dla nikogo... Powiedz mi jedno: co znaczy, jeśli człowiek, który się nie zatrwożył w swoim życiu ani nocy, ani lwa w pustyni, ani strzały, napojonej trucizną — poczuje nagle w sercu lęk, tak straszny, że go obłąd chwyta, a poczuje go bez przyczyny, wśród białego dnia, stojąc wśród ludzi? Powiedz mi... Co ci się stało?

Stary człowiek, słuchając słów królewskich, cofał się, jakby przerażony, ręce w górę wzniosłszy; zbłądł, usłyszawszy pytanie króla.

— Co ci się stało? — zapytał po raz wtóry Azis.

— Panie! — mówił starzec — powiedziałaś, że nie należy mówić w ciemności o rzeczach strasznych, więc się przeląknęłam, bo mówisz o trupie!

Król Azis porwał się gwałtownie ze stóp posagu; zbliżył straszną twarz do twarzy starego człowieka i nie mówił, lecz charczał:

— Mów ciszej, albo są to ostatnie twoje słowa!... Coś wyrzekł?

— Panie! — szeptał niesamowitym szeptem stary człowiek — wyrzekłam słowo nierozsądne, które noc uczyniła straszne, słowo, które jest śmieszne w obliczu słońca i mało warte.

Król Azis dyszał ciężko, potem się zwałił z powrotem na marmurowe stopnie posągu. — Mówił:

— Odpowiedz tedy, co myślisz o tem? Skąd ten lęk i co znaczy?

— Jest znikąd, a znaczy śmierć.

— Śmierć?!

— Więcej niż śmierć. Człowiek, który poczuł bez przyczyny straszliwy lęk, umarł w tejże chwili chociaż żyć będzie jeszcze długo.

Prawą rękę podniósł w górę i począł mówić mocnym szeptem, jak straszną tajemnicę; wyglądał jak prorok z puszczy, kiedy mówi o piekielnych ogniach.

— Kiedy człowiek doszedł do swojego kresu i kiedy stężała w nim ostatnia kropla krwi, a dusza zziębła w nim, jak owoc bez soków, wtedy nagle przychodzi na człowieka nieznany lęk. Od tej chwili niczego już nie zapragnie, niczego nie umiłuje, niczego nie będzie pożywał, tylko będzie czuł trwogę przed trwogą. I trwogą będzie całe jego życie. Serce w nim ustanie, gdyż jest bez krwi; dusza w nim umrze, bo jest bez pragnień; mózg jego wyschnie, bo jest bez siły. Człowiek ten wszystko w sobie przepalił i wszystko strawił w śmiertelnej nudzie; przestał pożywać, gdyż miał już wszystko; przestał pragnąć, bo wypił puchar do dna; zapomni śmiechu, bo

trwoga się nie śmieje; co potem uczyni, będzie z lęku, co potem zdziała, będzie szaleństwem z trwogi. Człowiek taki powinien umrzeć, lecz nie umrze, bo mu ten lęk właśnie broń z ręki wytrąci, a któż z litości zabijać będzie trupa? Powinien się położyć w grób — żywy i kazać się przywalić kamieniem. Niema już dla niego nadziei i słońce dla niego zagasło, jeśli nie oszalał w chwili, kiedy poznał ten niezmierny lęk, który wieje z pustki. Gorze! gorze! noc i pustka! Ten lęk wieje znikąd, z pustyni... Szatański strach... Nic w człowieku i nic poza nim... Koniec! Koniec! Śmierć po tysiąc razy, co dnia i co nocy, każdej godziny i każdej chwili...

— Aaa! — zawył król Azis i począł uderzać głową o podstawę marmurowego posągu.

O, jak bardzo lękał się król Azis!

Teraz, kiedy patrzył w półmrok, widział w nim drgające kształty każdego z osobna słowa, które nad nim wypowiedział kiedyś stary człowiek, więc mrok gryzł mu żrenice, jak płowy, żrący dym pogorzeliska. Zdawało się Azisowi, że gdyby w tej chwili lzy zalały mu oczy, poczułby niezmierną ulgę; począł tedy pożądać łez, które jednakże, jak zła nowina przychodzą niewołane, długo potem trwając, zanim je wypije słońce, ludzkimi łzami się sycące, aby blask w niem trwał wiekuiście.

Gorze! Gorze!

Król Azis wzdrygnął się, zrozumiawszy, że go dotknęło nieszczęście ostatnie, bowiem mu łez zabrakło: rozumiał, że jest jak najgorszy z nędzarzy i jak człowiek trędowaty, którego wszystko odbiegło, bogdaj nieszczęśliwszy, niżli ginący w podmiejskim rowie, trądem okryty, albowiem trąd nie pokrywa żrenic. Jak długo człowiek potrafi płakać i wie, że na dnie sakwy zostały mu jeszcze dwie łzy, jak duże perły — nie jest sam, jest bowiem z nim zawsze ten, który nad nim zapłacze; wtedy dusza bolesna, jakby na dwie dzieli się połowy, a jedna z nich płacze, aby mogła ujrzeć drugą, że żyje jeszcze w tęczy łez, i nie umrze samotna.

Gorze! Gorze!

Król Azis głowę przed się wyciągnął i zdawało się, że chce zbliżyć żrenice do płomienistego żądła lampy, aby wypaliwszy mu oczy, wycisnęło z nich chociaż łzy bólu, zabarwione krwią. Wzrok króla był straszny. W szklawie czarnych królewskich oczu zanosił się, potworny swą niemotą, przeraźliwy krzyk; jakby ktoś wołał z głębin czarnej przepaści, skąd głos już nie dojdzie.

Rozpacz tak nieraz krzyknie przerażeniem oczu, i bezgłośnym tym krzykiem zamąci mózg, albo po raz ostatni o ratunek błagając, krzyknie czło-

wiek, który za chwilę zapadnie na wieki w trzęsawisko szaleństwa.

Myśl, kształty mająca potworne i ohydne, ujęła w kosmate dłonie tępy grot i zaryła go w królewskie czoło, szeroką w niem wlokąc bruzdę. Drżał na całym ciele król Azis czując, jak w spalonym jego mózgu orze jakieś zadzierzyste ostrze i wyrywa zeń krwią zlepione włókna, jakby chciało dotrzeć do siedziby czerwia. Głowa królewska gorzała w płomieniach bólu, kiedy równocześnie chłód nieznośny całe obejmował ciało. W mózgu jego wyśpiewywał ból jakiś chrapliwy śpiew, ohydny i wściekły, wykrzykiwał, jakby wśród bulgotu krwi, olbrzymie, ciężkie, jak skały, słowa porwanej na strzępy pieśni, wijącej się w szaleństwie.

Król Azis z wysiłkiem ujął połę płaszcza i głowę nim zakrył, przerażony; wtedy jakby kto nagle położył pokrywę na szalejący bulgotem war, ucichły straszliwe szумы i wielki król słyszał, jakby daleką burzę, krwawiącą czarny widnokrąg błyskawicą.

»Uszanujcie sen królewski!« — zabrzmiało gdzieś daleko wołanie, jak zły, cichy śmiech.

Król Azis dyszał; osunęła się z królewskiej głowy poła miękkiego płaszcza. Na królewskim czole zamiotały krople potu; jak gdyby trup obudził się po długim śnie, tak wyglądał król Azis.

Jak zwierz, który przebył chwilę śmiertelną, zdolawszy ujść psiej sforze — z oczyma krwią nabiegłemi odpoczywa w gąszczu, tak oto, oddechając z wysiłkiem, odpoczywał król Azis; lęk, który nad nim zawisnął, nie pozwalał mu na to, aby pełną pierśią zaczerpnął powietrza. A kiedy mógł już myśli ogarnąć, rozpierzchłe w przerażeniu jak ptactwo, ujrzał dziwnymi swemi oczyma jedną z nich podobną do smolnej żagwi, jaką wróg wrogowi ciska pod strzechę; a inną podobną do zatrutego nasienia, które zły człowiek wrzuca wrogowi swemu do dzieży, w której zaczyniono ciasto na gorzki chleb; a inną jeszcze podobną do noża, na którym krew przyschła, jak rdza. Potworny lęk z twarzą sinego upioru, pędził ku niemu te myśli, które w mroku wypełzły jak żmije i piąć się poczęły ku królewskim białym, zawsze drżącym rękóm.

Drgnął król Azis poczuwszy, że dłoń jego ujęła twardą rękojęść noża; to królewskie palce, w szpon zakrzywione, objęły zimną poręcz rzeźbionego krzesła. Po szkliwie czarnych oczu królewskich, przebiegł błysk, podobny do śmiechu. A w tejże chwili ruda, płomienista żagiew, jakby rzucona silnem ramieniem męża, zatoczyła łuk przed królewskimi oczyma i padła, sycząc złym, nieszczęście wróżącym sykiem, pomiędzy marmurowe kolumny. Spojrzał szybko król

Azis; to lampa silniej błysnąwszy, liznęła błyskiem marmury, na płomień nieczułe.

Jeszcze po dwakroć i po trzykroć splamiły się przemijającym blaskiem skamieniałe w pysze swojej przezyste marmury, bowiem lampa poczęła konać i zanim umrze w niej świetliste wnętrze, błysnęła jaśniej, śmierci swojej świecąc. Nagła ciemność runęła ze stropu i dopiero po chwili białe kolumny, jakby w chwili zamieszania złamały porządek szyku, poczęły jaśnieć wśród mroku i przesuwając się szybko przed oczyma króla, jakby szukały wieczystego swego miejsca, w którym je osadziła moc połączona tysiąca niewolników; kiedy król Azis spojrział w mrok po chwili, ujrzał je już nieruchome, w pysznym stojące szeregu, lekko i bez trudu na swych trefionych głowach dźwigające strop sali, leniwy i bezwładny.

Chciał krzyknąć król Azis, aby mu przyniesiono pochodnię, lecz nie miał siły; poczuł, że jest bezwolny, jak rozbitek, którego niosą fale, głośno szumiąc; oto z pod stropu, wraz z mrokiem, który opadł, jak ciężka chmura, spłynęły groźne szумы i nagle błakać się poczęły wśród kolumn i szeleścić wśród liści, zdobiących ich pyszne czoła. Przyczał się lęk w pustej piersi króla Azisa, który oczy z przerażenia przymknąwszy, począł nasłuchiwać szumu nocy, podobnego do śpiewu odwiecznych drzew, śpiewają-

cych tę samą, tajemniczą, groźną pieśń od początku świata o ogniu i o ziemi.

Król Azis bał się poruszyć, tylko nasłuchiwał, zastygłszy w niemej trwodze, jak noc uderzała głucho czarną ręką w marmur, szukając śpiewającego serca i patrzył, jak wyniosłe widma kolumn nadstawały swoje białe piersi.

Z każdego rogu ogromnej, pustej sali biegły niepokojne, czujne, płochliwe szmery, pełzały po podłodze i po ścianach, spływały ze stropu i wijąc się, biegły ku kolumnom, gdzie się łączyły w nieustanny, beznadziejny, jednostajny szum, śpiewający straszną, męczącą melodią dalekiego dzwonu, krwawiącego pęknięciem sercem. Szum ten ogarnął głowę króla Azisa i dzwonił mu w uszach, jak głębia, kiedy człowiek głowę zanurzy w czeluść wody.

Król Azis słuchał, zastygłszy; czuł, że mu jęk nocy sączy się w mózg przez uszy, przedziera się przez źrenice i zalewa mu usta, jakby się znalazł w wirze tego śmiertelnego głosu i nie mógł zeń wychylić swej znużonej, królewskiej głowy. Więc się jakby położył na szumiącej fali i dysząc, słuchał jej śpiewu, aż mu nagle w mózgu rozkołysał się dzwon nocy, którego brzegi, z ciemności kute, sięgają morza, i pokrywają góry, a serce królewskie zeszkłe i twarde bić o te brzegi poczęło.

— Lęk! lęk! lęk! — krzyczał dzwon jękiem.

Król Azis oczy powiekami nakrył, a palcami chwycił się kurczowo poręczy krzesła.

I słuchał jak mu śpiewała noc, zimne wargi zbliżywszy do jego twarzy.

»Jak śmierć jest twoja trwoga... O! jak śmierć, Azisie!... Nie masz serca, tylko gruz... Konasz, jak robak zgnieciony kołem kwadrygi... Królu Azisie!... Drwi z ciebie twoje miasto i zabić cię chce, jak szakala... Morze ci urąga, Azisie... Tobie, któremu z drogi ustępowało słońce... Słyszałeś, co mówił dzisiaj twój strażnik, który chciał mieć głowę twoją?...«

— Lęk! lęk! lęk! — zawyło serce Azisowe.

»Oto ci powiem, co ci osłodzi wargi, jak słodki owoc i padnie jak rosa na spiekle ciało... Zabij ich własnym lękiem, aby nie ujrzeli, że w tobie jest próchno... Zgaś ich źrenice, aby nie ujrzeli, że twoje mdleją z przerażenia... Czyń strasznie, Azisie!

— Azisie! — jęknęły długim, cichym jękiem kolumny.

»...Mścij się za to, że umarłeś, bowiem umarłeś! Azisie! Śpiewaj lejąc krew, gdyż cię oplują wzgardą i rzuca w bagnisko... Azisie! Niema krwi w tobie, więc musisz ujrzyć cudzą.. Trwodze swojej dasz miecz w ręce, niech się mści za twego trupa... Trwoga twoja jest jak śmierć, bowiem uląkłeś się bezdna... Ukorzył cię ktoś, kto jest większy i zgaślił

jak gwiazdę, ktoś, kto podnosi morze... Zgniła w tobie myśl twoja, a serce stoczyło robactwo... Czyń strasznie, Azisie! Niech śwtał zatrwoży twoja trwoga, a ty gruzem świata wypełnisz pustą pierś... Azisie!

— Azisie!... — jęknęły kolumny, jakby wiatr wśród nich powiał.

»...Ktoś ty jest? Umarleś, zanim umarleś, więc czekasz, kiedy umrzesz. Dobiegła twoja dusza kresu, a spalonym jej śladem twój mózg się teraz wlecze. Czy nie wiedziałeś, że człowiek nie jest jako źródło, które wiekuiście trwać może, samo się żywiąc, lecz jest jako strumień, który odbiegł cienką strugą od wielkiej rzeki... Azisie!... Czy nie wiedziałeś, że drogę masz długą i że należy ostrożnie pić wodę ze skórzanych worów, abyś nie umierał z pragnienia? O, Azisie! Jesteś już po drugiej stronie życia, więc ci na piersi spadł lęk, którego znieść nie może człowiek żywy... Gorze! gorze! Lej krew i czyń strasznie, aby nie poznali, iżeś trup, który tylko oczy ma żywe... Czyń strasznie, abyś zapomniał... Gorze! gorze! Azisie!

Azisie! — załomotało grzmotem wśród kolumn i oto jakby runęły wszystkie, gdyż ciężar wyniosłych marmurowych pni zwałił się potwornem uderzeniem na spiekły mózg króla.

Omdlał król Azis.

Długo leżał, z głową pochyloną bezwładnie na pysznem, rzeźbionem krześle królewskiem, aż się wstrząsnął nagle, kiedy mu zimnemi rękoma dotknął skroni chłód poranny, który wszedł niewiadomo kórędy, przyczaiwszy się gdzieś u wejścia. Król Azis podniósł z ciężkiem westchnieniem omdlałe powieki i spojrzał mętnie poprzód siebie. Siny szron obwiodł marmurowe olbrzymy i drżał w powietrzu. Azis oddechał z trudem i trząsł się na chłodzie, chociaż miękki płaszcz go okrywał; podniósł tedy wielki król oczy na olbrzymie okno, ujęte w zczerniałą sieć ołowianych ram, wśród których rozpełzło się tysiąc kolorów, pomieszanych dziwacznie tak, iż w chwili kiedy je promieniami napoiło słońce, okno poczynąło gorzeć płomieniem, drgać tęczę, szaleć kolorami jak kwietna grzęda, na którą szalony człowiek bez ładu rzucał ziarna: pyszniło się bardziej jeszcze, niż skarbiec króla Azisa, w którym rubiny, jak wielkie serca krwią pluskały w zadziwione oczy, dyamenty grały płomieniem, jak okruchy słońca, a szmaragdy patrzyły złym, zielonym błyskiem, jak ślepie smoka; wabiło kolorami, jak fala, która otarła się o podstawę tęczy, zatopionej w morzu, gorzało jak pożar chmur przed wschodem. Mistrz, który przybył z za morza, życie strawił, malując bezbarwne szkło, na wagę złota kupione u żeglarzy i oto słońce dalej

wiodło dzieło mistrza, ile razy padło na olbrzymie okno, cud świata.

Patrzył szklanemi oczyma król Azis i widział jak najpierw siność powlokła jasne okna, jak następnie grad dyamentów uderzył w szkło i światło złociste poczęło spływać, sącząc się od góry i dziw czyniąc niepojęty, dobywać jęło z sinej pomroki ciało dziewicze różowe jak płatek róży i pachnące jak słońce; rzuciło na nie pyszną, złotą falę włosów, aby miało ochronę przed chłodem, który u spodu okna się przyczał, chwyciwszy się kurczowo zgrabiałymi od zimna palcami czarnych, ołowianych ram; potem ją łyskający grzebień płomieni czesać począł, gdyż za chwilę zniosły słoneczne blaski gdzieś z przestworza na drżących swych rękach cudną koronę dyamentową i lekko ją ułożyły na złotej głowie królowny, różowej jak płat róży. Nagle drgnęła urodzona ze słońca królowna, jakby jej oczy z szafirów przeraziło widmo.

Na pomoc, o słońce!

Oto mrok, co się przyczał u podstawy okna, wylął z stęchlizny swojej olbrzymiego smoka, który czarnym bijąc ogonem począł pełzać, drąc gładkie szkło zakrzywionym pazurem kosmatych łap; dwa wspaniałe rubiny, ukradzione z królewskiego skarbca, wtłoczył sobie w potworny łeb, paszczę szeroko rozwarł i buchnął z niej płomieniem. Zbladła śmiertelnie

królewna i zastygła w przerażeniu, wiotkie i białe ręce cisnąc do piersi.

Na pomoc, o słońce! słońce!

Zadrżało złociste słońce w pysznym gniewie jak król, co brwi zmarszczył, bowiem ktoś jego niezłomnej woli śmiał uczynić wbrew; więc rozkazało wnet błyskawicą oczu, aby stał się cud. Oto się dzieją dziwy. Na sine, mrokiem zasnutę szyby rzuciła się nagle tęcza jak droga, a za chwilę krótką jak błyskawica, zadudniły na niej złote kopyta rycerskiego konia.

Dziwo! dziwo!

Na rozhukanym, białym jak mleko, rycerskim ogierze, strojnym w brylantowy rząd, pędzi z przestworza ze słonecznej dali rycerz tak cudny, jak księżę z bajki i tak wspaniały, jak bóg, co słoneczne pędzi rumaki. Lśniąca, złocista kurzawa podnosi się w górę, a on leci wciąż jak wichr, aż się płaszcza purpurowy wzdał mu na plecach i owinął go, jak w krwawą chmurę. W biegu szalonym chwycił rycerz pyszną kopię ze złożonem ostrzem, którą mu słońce podało i w górę ją wzniósł... Jest już niedaleko i za chwilę jak grom uderzy; w siodle się zaparł i zdarł konia, aby przeskoczyć straszliwą przeszkodę, ołowianą ramę okna. Rumak zamigotał złotymi podkowami, przysiadł na zadzie i znieruchomiał,

bowiem w tejże chwili jęknęły gdzieś w oddali harfy, cichym, łagodnym, jakby konającym jękiem. Obudził się z odrętwienia wspaniały król Azis; to jego przyszli witać i uczcić poranną pieśnią. Podniósł się z trudem z rzeźbionego krzesła, płaszcz z siebie zrzucił i powlókł się powoli ku drzwiom, lecz kiedy dwa kroki uczynił, zdawało mu się, że stąpa po krwi; oto słońce, malując purpurowy płaszcz rycerzowi na olbrzymiem oknie, śpiewajacem barwami, rzuciło na kamienną posadzkę pod nogi króla Azisa strumień, jak krew czerwony. Król Azis przebył szybko słoneczny gościniec i stanął we drzwiach.

Straszny był; czarne oczy zapadły się w głąb czaszki, usta miał zacięte i sine, twarz zmiętą i jakby wysuszoną przez spiekę. Spojrzał nieprzytomnie i szedł bezwolnie ku tronowi, ustawionemu pod purpurowym baldachimem, na terasie. Usiadł i patrzył przed siebie.

Krzyknęły radośnie harfy, upadli na kolana ludzie: tak co dnia o wschodzie witano króla Azisa.

Oto dwaj czarni, w pustyni na pętlicy złowieni niewolnicy, przyczołgali się pokornie, w twarz królewską nie patrząc i chwiejąc w rękach kadzielnice, z których włókł się leniwie wonny dym; w tej chwili targnięte silniej struny harf zagrały głośno, jak grajkowie zbudzeni nagle, dotąd przez sen, bezwiednie grający. Dwanaście dziewcząt, ledwie rozwitych jak

wiosenne kwiaty uklęкло, ramionami miłośnie ujawszy
łkające harfy, śpiewające teraz głośno, bowiem słuchał
król Azis; spletały się akordy i zakrzyknęły hymnem;
wtedy powstała z klęczek najpiękniejsza z dziewcząt,
jaką kiedykolwiek przywieźli z oddalonych wysp han-
dlarze i poczęła śpiewać drgającym z przerażenia gło-
sem pieśń poranną, którą uczona długo, śpiewała co
dnia:

»Jak słońce jest król Azis i ziemię ma pod no-
gami. O! jak piorun jest król Azis, który zabija...

»Siedm było królestw na ziemi, a on je rzucił
przed sobą w proch o! król Azis!

»Bóg jest jeden i jeden jest król Azis, bo któż
jest mocniejszy na ziemi?

»Chwała! chwała! chwała!

»Niemasz łyzy w jego królestwie, bowiem ją otrze-
swą ręką, która zabija wroga. Oo! Oo!

»Na kogo spojrzy król Azis, ten jest szczęśliwy.

»Morze go wielbi i ziemia!

»Któż jest nad króla Azisa, który nie zna
lęku — — —

— Precz! — krzyknął nagle zdławionym głosem
król Azis, usłyszawszy okropne słowo.

Głos zamarł w gardle dziewczęcia, a harfy uci-
chły, jakby w nich pękły złote serca; niewolnice
poczęły przerażone drżącymi palcami uciszać struny,

które jeszcze drżały wzruszeniem. Potem się cofnął pokornie tłum, nie śmiąc spojrzeć w oczy królewskie.

Król Azis patrzył wciąż przed siebie i dopiero po długiej chwili, kiedy echo harf zamarło gdzieś w ogrodach, powstał z tronu i klasnął w dłonie. Jak cień wysunął się z za węgła niewolnik.

— Gdzie jest dowódca wojsk?

— Czekaj rozkazów twoich, panie!

— Powiedz, niech przyjdzie natychmiast. Precz!

Chwila nie upłynęła, a przed królem stanął mąż, rosły jak dąb, ogorzały od wichrów, chytrze mądrymi patrzący oczyma.

Ukląkł pokornie i z czcią ucałował rękę królewską.

Król Azis podniósł na niego mętny wzrok i spojrzał mu głęboko w źrenice.

— Tyś rozstawiał wczoraj strażę w ogrodach?

— Ja, panie — rzekł wojownik, starając się oczyma chwycić myśl królewską.

— Wiesz, który ze strażników czuwał wczoraj przy fontannach?

— Panie!!

— Czemuś się przeraził?

Wojownik podniósł ręce w górę, jak człowiek który wielbi dziwy.

— Dlatego, że się nie ukryje nic przed twemi

oczyma, królu Azisie. Pytasz o człowieka, który mnie napełnił zmartwieniem; oto dzisiejszej nocy obwiesił się na palmie; był to najlepszy mój setnik, dlatego jestem smutny.

Król Azis przybliżył twarz do twarzy swego wodza i rzekł dziwnie:

— Był to najgłupszy z twoich żołnierzy. Wiesz, co mógł uczynić? Grot jego włóczni był tuż przy mojem sercu, a on mnie nie zabił.

I trząsł się król Azis, jakby go przejął nagły chłód. Smagły wojownik pobladł jak śmierć i szero-kiemi od zdumienia oczyma powiódł po twarzy króla.

— Czy drwisz, panie, z twojego sługi?

A król Azis usta ohydnie wykrzywił i wypławał słowa:

— Ale oszalał... Z trwogi oszalał na samą myśl, że mógłby dotknąć królewskiego serca. Słyszałeś? Lęk go ogarnął taki, jak śmierć i musiał umrzeć... W oczy mi spojrz; wiedziałeś, że mnie mają zabić? Króla Azisa? Odpowiedz i zważ, że kłamstwo wargi ci spali, a ja potrafię wydobyć prawdę razem z sercem. Wiedziałeś o tem?...

Wojownik spojrzał prosto w oczy królewskie i rzekł powoli mocnym szeptem:

— Królu Azisie! Usnąłeś przed wielu dniami,

a ja stałem nad tobą z nagim mieczem, aby strzedz twojego snu. Czy obudziłeś się owego dnia?

— Mów! mów!

— Pomnij, królu Azisie, że krótki mój miecz, dość jest długi, aby dosięgnąć serca. A tyś się obudził żywy... I to ci powiem: gdybym ci powiedział, że wiedziałem, kazałbyś mnie umęczyć za kłamstwo, pomyślawszy, że oto stoję tu przed tobą, słuchając obelgi, a miecz mój jest w pochwie.

Rzekłszy to, odpasał krótki miecz, szerokie mający ostrze i z siłą odrzucił daleko od siebie.

Na czole króla Azisa ukazały się krople potu; drżącemi rękoma ujął głowę dowódcy i uściśnął ją, jakby miłośnie, mówiąc z trudem:

— Ty jesteś jeden... Tak! jeden tylko w mrowisku... Reszta modli się o moją śmierć, lecz ich zabije trwoga. Słyszalesz? Taka piekielna trwoga, od której usycha mózg, a serce spala się na węgiel. Mówi ci to król Azis, a nigdy nie było inaczej, tylko tak jak on powiedział... Jeszcze na jedno mi odpowiedz... Widziałem jak ci na czoło wyszły żyły, kiedyś ujrzał moją córkę, piękniejszą od gwiazdy. Pragniesz jej? Wśród trzech najmłodsza jest i najpiękniejsza. Pragniesz jej?...

— Panie! — jęknął dowódca.

— Weźmiesz ją dzisiaj... Jeśli iść nie zechce,

wyciągniesz ją za włosy... Jest twoja... Daje ci ją król Azis, który cię miłuje... Idź, podnieś miecz, będzie ci potrzebny... Weźmiesz sto rubinów i trzy razy po sto największych pereł...

Dowódca padł nagle do nóg królewskich i całował jego stopy, obute w purpurowe, złotem szyte sandały. Miał usta pełne słów, lecz nie mógł wypowiedzieć żadnego, jęczał tylko jak człowiek, na którego padnie ciężar.

A król Azis pochylił się nad nim i szeptał:

— Za to uczynisz to, co ci każe.

Pochylił się ku niemu, nisko, tak, że zeszcłłe wargi niemal do ucha mu przytknął i począł szeptać; dowódca słuchał chciwie, lecz kiedy dziesiąte słowo wyszeptał król Azis, twarz zbrojnego męża zbladła śmiertelnie, a oczy jakby krzyknęły straszliwem spojrzeniem obłędu.

A król Azis palce mu wpił w ramię i jeszcze głębszy i okropniejszy szept w mózg mu wgniatał.

— Panie! — zakrzyknął dowódca.

Podniósł się król Azis, oddechając szybko, jakby po wysiłku.

— Czemu zawyło tak twoje serce? — zapytał.

Dowódca podnosił szybko i zniżał powieki, jak człowiek, którego raził z nagłą żar błyskawicy, rwącej chmurę na strzępy.

— Panie! — wyrzekł ciszej już, lecz jakby się skarżąc i obiema rękoma za głowę się chwycił, gnio-tąc ją ruchem szaleńca, który czerwiał poczuł w mózgu.

— Czemu skomlisz? — zadrwił król Azis tym głosem, co się za chwilę rozsierzdzi i sztyletem ostannie swoje wypowie słowo. — Czemu skomlisz jak pies, który ujrzał lwa i uciec chce podle? Po coś tedy podnosił swój miecz, żelaziwo nędzne, któremu przystoi chleptać z kałuży śmierdzącą wodę, a nie pić krew, podobną winu?

— Abyś nim uderzył, królu Azisie — wyrzekł jakby stękiem dowódca; w tejże chwili miecz ku sobie obrócił, ostrze przytknął w tem miejscu, gdzie serce uderzało w nim jak na trwogę i kierując miecza rękojeść ku Azisowej wiotkiej ręce, szeptał:

— Abyś nim uderzył królu Azisie! Uderz, pod ostrzem czuję serce.

Król Azis spojrzał mu głęboko w rozszerzone oczy.

Mówił:

— Gdyby cię w tej chwili ujrzał ten głupiec, który spisuje moje słowa i wśród skwaru po polu bitwy za mną chodzi, aby widzieć każde cięcie mego miecza, rozgłosiłby twoją sławę, sądząc, iż chcesz zginać dla króla, który cię umiłował. A oto ty chcesz zginać dla szaleństwa, które cię umiłowało... Słyszysz?...

Odejmij ostrze od piersi, gdyż dłoń moja jest niepokojna, odejmij powiadam, gdyż jeśli nie ręką, to oczyma pchnę głównię, a miecz dowódcy znajdzie serce swego pana. Nie chcę widzieć twojej krwi — musi być biała, jak mleko brodatej kozy.

— Panie! — jęczał dowódca.

— Nie tyś chyba zwyciężył na wyspach, które kto inny we krwi zatopił. Jakże mógł zwyciężyć człowiek, co zadrżał, ujrzawszy samą myśl tylko. Trwoga ci bluznęła w oczy krwią? Głupcze! Niema trwogi na ziemi... Powiedz, że niema! Co jest lęk? Słowo... Niema trwogi... Oo!... Niema... I krwi w tobie niema, bo gdybyś ją miał, czy spłynęłaby ci z twarzy, kiedyś usłyszał, że król Azis daje ci córkę, abyś ją posiadał? Czy wiesz, co straciłeś, głupcze?

Dowódca twarz ukrył w dłoniach i łkał głośno, jakby to nie był ów straszliwy mąż, co koniem wpływ przeplýwał przez rzeki krwi, szukając obląkanemi oczyma człowieka, co żył jeszcze w gęstwie trupów.

Król Azis patrzył na niego z podełba, niespokojnym wzrokiem. Potem, jakby mu nagle myśl jakaś objawiła swą tajemnicę, chwycił za rękę zbrojnego męża i rzekł mocno:

— Pójdź za mną!

Dowódca się ocknął i szedł za królem z głową na piersi opadłą, nie wiedząc drogi, obojętny na to,

co czyni. Szli przez głuche sale, brzmiaące pustką, jak morskie, wielkie muszle, przez kurytarze, w których wylegiwała się na słońcu drzemiąca cisza, przez schody, marmurowem swem cielskiem leniwo w górę pełznące, przez szeregi fontann, gadających do siebie perlistym nieustannym szmerem, jak dzieci, opowiadające sobie wzajem zasłyszane bajki, przez rzędy kolumn, stojących jak smukli żołnierze, co sklepioną tarczą zasłaniają ukwiecone akantem głowy przed strzałami ze słonecznego łuku, przez terasy, uginające się pod morzem kwiatów.

Nie powiedzieli do siebie ani słowa długą chwilę, aż król Azis, głowy nie odwracając, rzekł:

— Stąpaj ciszej!

Szli tedy dalej w milczeniu jeszcze większem, aż weszli do zacisznej sali, do której dolatywał zdala śmiech pusty i głośny. W sali tej była kobieta, jedna z tych, które przygrywały na harfie Azisowi, kiedy dzień się uczynił; ujrawszy króla upadła na twarz, nie śmiejąc wznieść oczu.

Kopnął ją nogą król Azis, dając znak, aby powstała.

Słuchała pochylona, co jej zechce powiedzieć największy z królów.

Powiedział jej jakieś słowa cicho, potem ona, skłoniwszy się z niezmierną czcią, odeszła.

— Pójdź — rzekł król Azis — abyś ujrział swoje szaleństwo. Tędy idź!

Dowódca zadrżał; poznał, że znajduje się w pobliżu komnat królowny Minoe; kto chciał umrzeć śmiercią nagłą od cięcia miecza, który niewiadomo skąd uderzał, ten wchodził w to pobliże.

— Idź! — rzekł głośno król Azis.

Weszli w dziwny ogród, o którym, nigdy go nie oglądawszy oczyma, śpiewali poeci w azisowym kraju; nie wiele razy od tej chwili odmienił się księżyc, kiedy to król Azis kazał zabić jednego za pieśń, która mu się wydała potworną. Oto nieszczęsny człowiek, grający na lutni, śpiewał, zdala stanąwszy od bramy królewskiego pałacu:

»Stopy rani mi cierń, a serce moje mrze co dnia dziesięćkroć razy. Głód mi wykręca wnętrzności, a oto ręka moja odtrąca srebrne misy, pełne owoców.

Pragnienie pali mi wargi, a ja wylałem w morze złote wino z kryształowego pucharu.

Uderzył mnie w twarz wróg mój, a ja ucałowałem jego rękę.

O, jakże bardzo pragnę cierpienia i męki!

Niech mi ktoś wytoczy z serca ciepłą krew po jednej kropli, abym długo cierpiał, konając.

A w nagrodę chcę, aby dusza moja mogła wejść w ogrody królowny Minoe, o, Minoe!«

Tu były te ogrody.

Cud tęczowy ukazał się zdumionym i zatrwożonym oczom dowódcy: oto widział pustynię w księżycową noc i niczem mu się zdała; widział fale morskie, niosące na swych zjeżonych grzbietach ku brzegom dyamenty i niczem mu się zdały; widział groty w piersiach gór na odległych wyspach, pełne blasków, grających piękniej niż słońce i niczem mu się zdały; widział swoje sny, kiedy spał na łęku siodła pod gwiazdzistym niebem i wydały mu się marne. Oto czył go blask i tysiąc tęcz, które jakoby wisiały, jak girlandy na gałęziach drzew nieznanych. Fontanna miotła w swem rozigranem szaleństwie krocie pereł na wszystkie strony, siejąc je między kwiaty, które gorzały jak płomienie, albo się tliły, jak ogniki, albo dymiły niezmierną wonią; u stóp fontanny sześć lwów skamieniałych łało z paszcz różaną wodę, która jakby się z ich krwią zmieszała, spływając w olbrzymią marmurową czarę. Niezliczone mnóstwo kwiatów otoczyło czarę i patrzyło w jej toń leniwą i poważną tysiącem barwnych oczu, cichych i niezdziwionych, jakby zamyślonych głęboko. Woń tych kwiatów była jak wiew śmierci, a one same były jakby chore, jakby dziwne, opite ciężką wonią własną, senne niezdrowym snem, wiszącym jak parna chmura. Chłodziła je fontanna, odwlekając pyszne, ciche konanie z przesyty;

jaśniały tedy senne, cudem barw wielbiąc śmierć własną, jakby z własnej wywołaną duszy, z głębi kielichów, wielkich jak kryształowe czary na królewskim stole, lub drobnych jak konchy uszu królowny Minoe; wiotkich jak słowa kochanka, albo też ciężkich i mięsistych, jak krwawe wargi niewolnicy z piaszczystej pustyni; drżała ponad nimi w tumanie zapachów ogromna pycha bogactwa, tęcze od nich biły, kłębiąc się jak węże.

Dziwne krzewy, przywieszzone z zamorskich puszczy, karłowate i nędzne, rosły rzędem, czając się złośliwie i podstępnie u stóp palm wyniosłych jak nędzny karzeł, co się czołga u królewskich nóg i szepce, dziwne swą brzydota, od której oczu oderwać nie można.

Miedzy te krzewy powiódł król Azis swego wozdza i stanąwszy tak, że dość było gąszczu, aby mógł ukryć w sobie dwóch mężów, szepnął:

— Jeślibyś chciał zginąć i nie ujrzyć krwi, ulóż się do snu w tym ogrodzie. Czemu drżysz?

Dowódca dotknął ręką czoła, jak ktoś, którego trapi uporczywa myśl i zła.

— Nie wiem, królu Azisie, czemu po mnie przechodzi dreszcz. Nie jestem na ziemi.

— Milcz! — szepnął król Azis i ujął go silnie za rękę.

Począł nasłuchiwać pilnie, potem rzekł cicho:

— Bądź umarły... Z główni mego noża wielki szmaragd patrzy na ciebie jak złe oko... jeśli dojrzy ruch jeden, uderzy.

— Panie!

— Bądź umarły... Duszę całą zmień w żrenice... Ujrzysz, czego nie widział nikt, abyś poznał, jak bardzo cię miłuję. Bądź umarły, niech żyją tylko twoje oczy. Nie trwóż się!... I nie drżysz, bo jeśli byś omdlał, te kwiaty cię zabiją, a ja kopnę twego trupa, bowiem będziesz bez rany, a wódz mój tak nie umiera...

Zcisz oddech... Oto idzie Minoe... Minoe, córka królewska, którą wzgardziłeś... Spójrz tam! Wśród kwiatów sama jak kwiat... I zabija jak kwiat... Minoe! Och! Nie drżysz... Serce twoje puka zbyt głośno, połóż na niem dłoń, każ mu skonać... Minoe idzie!... Jej jednej obawia się moja pantera, nie mogąc znieść jej oczu... Widziałeś oczy Minoe? Są bez barwy i bez dna... Przed takimi oczyma biegnie zawsze śmierć, wołając, by z drogi zszedł każdy, kto nie jest nieśmiertelny... Oprzyj się na mojem ramieniu, czemu się stanasz? Widziałem, jak na koniu skoczyłeś przez przepaść... Czemu drżysz, jak niewolnik, któremu krew trysnęła z grzbietu?

Wódz nie drżał już; blady był tylko, jak posąg marmurowy w królewskim ogrodzie, wyobrażający bohatera i ciężkie krople potu spływały mu powoli

ze skroni; ręką ścisnął kurczowo głównię miecza i dyszał szybko. Król Azis stanął poza nim, niemal w ramiona go ująwszy, jakby się obawiał, że za chwilę wódz jego do stóp mu może runąć, jak wysokopienna sosna, podcięta u korzeni. I tak poza nim stojąc, królewską swą głowę do jego przybliżywszy głowy, mówił do niego głosem tajemnym, cichym, złym i kuszącym, a każde królewskie słowo obejmowało wódza wkoło jak wąż i pięło się ku jego gardłu, które wyschłe było w tejże chwili, jak krynica pory letniej speiki.

Mówił król Azis:

— Idzie tu jak łania, mniemając, iż jej nie dostrzega oko łowca. Najpiękniejsza z pięknych, piękniejsza niż bóstwo, bowiem bóstwo jest umarłe... Siedm galer pełnych purpury i złota chciał mi dać za nią Sorosis, którego głowę mi przyniosłeś, owiniętą w palmowe liście... Czemu ważył się myśleć o Minoe, córce króla Azisa?... On jest jeden i ona jedna... Psami kazałem wyszczuć posłów króla Tabu, który jej pożądał, bowiem łasili się jak psy, prosząc o nią... Chciał mi dać za nią dwa rubiny tak wielkie, jak jej dziewicze piersi...

Oto się zbliża Minoe! Zakryj dłonią oczy, albowiem możesz umrzeć, a wiesz, jak bardzo cię miłuję...

Oczy wodza gorzały jak dwa ognie, jakby był wśród bitwy i sępiim wzrokiem wypatrywał śmierci.

Księżniczka Minoe szła powoli wśród kwiatów, przed siebie dziwnie patrząc, jakby nie wiedziała dokąd idzie. Oto te oczy musiały widzieć rzeczy, których niema, albo też umarłe, bowiem nie było w nich nic żywego. Bez barwy były, jako rzekł król Azis, nieruchome i podłużne; z oczu takich płyną łyż zatrute. Musiały widzieć, w bezkres i dal nieskończoną patrząc, coś, co nie jest ludzkie, albowiem miały wyraz taki, jakby były uśmiechnięte.

Pozdrowiały uśmiechem śmierć.

Księżniczka Minoe blada była i zdaje się, że nigdy kwiat rumieńca nie ubarwił tej twarzy pysznej i złej, któraby nie drgnęła, widząc niebo w płomieniach, a ziemię, zalaną krwią. Ponura, cudna rzeźba ożyła, a wyszedłszy z grobowej ciemnicy szła teraz wśród kwiatów uśmiechnięta, a tak lekka, że nie słysząc było szmeru jej kroków na złotym piasku, przesypanym skrzętnie palcami stu służebnych kobiet, by się w pył złocisty nie zabłąkał kamień lub muszla.

Fontanna zaszumiała głośniejsz, kwiaty uderzyły ciężką chmurą woni w rozpięty nad ogrodem baldachim z purpury o dziwnym niebieskawym połysku, nieznaną sztuką wydobyty z płonącej, jakby ciepłą krwią umazanej tkaniny. Kropla różanej wody mu-

siała paść na pyszne czoło Minoe, gdyż dreszcz przebiegł po jej twarzy i spędził z niej wężowy, chytry, zły, cudny uśmiech. Minoe szła ku fontannie; na lwim łbie oparła się lewem ramieniem, a palce prawej ręki, drobnej jak u dziecka, zanurzyła w marmurowym basenie. Potem, oczy zmrużywszy, rozpięła ramiona szeroko, jak czyni człowiek, co zbudziwszy się po długim, dobroczynnym śnie, czuje jeszcze rozkosz przedziwną, której nie zna źródła. W tej chwili dreszcz wstrząsnął ciałem księżniczki Minoe. Rozdęły się jej nozdrza, chłonąc parny, ciężki, zatruty zapach kwiatów, potem ręce powolnym, leniwym ruchem jęły rozrywać na piersiach Minoe tkaninę szaty, tak wiotkiej, jak wśród miesięcznej nocy powiedziane, ciche, miłosne zakłęcie.

— Zbierz siły — mówił w tejże chwili król Azis do dowódcy — abyś nie skonał, nie ujrawszy cudu, większego niż słońce. Z szat swoich się rozdziewa Minoe... Patrz, jak purpurowe kwiaty zbladły, ujrawszy nagość jej ramion... Czyś nie oszalał jeszcze? Widziałeś ciała kobiece, lecz nie widziałeś ciała grzechu, którego trwoży się słońce. Oto jest grzech w nagości swojej, przedziwny i boski... Nieskalana jest Minoe, córka królewska i czystsza jest od tej linii, która drży u nóg jej, jakby z pożądania, bo któż nie pożąda Minoe?

Trzech mam synów i trzy jeszcze mam córki,
podobne pysznym posagom, a wśród nich Minoe
błyszczący jak poranna gwiazda, kiedy wstaje z morza.

Spojrz, jak złoty błysk opasał jej piersi, jak żmija
i pije z nich rozkosz...

Minoe odstąpiła cud swoich piersi i jęła zrzucać
z siebie szatę mistrzowskiemi rękoma długo tkaną
w ogromnym trudzie przez trzydzieści niewolnic, któ-
rych oczy płakały krwią po tej pracy. I nagle zabły-
snęła jak słońce, co się wyswobodziło z purpurowej
osłony porannych zór; stanęła naga jak kwiat, co
błysnął pysznem pięknem i uwodził oczy. Jak kość
słoniowa, którą przywożą śmierci poślubieni żeglarze
z ziem tak odległych, że pół życia potrzeba, aby za
łaską wiatrów przybić do nich, tak zajaśniało ciało
księżniczki Minoe, drżące, jakby od chłodu.

Nagle dreszcze przebiegały po niem, zwiastując,
iż pożądanie w niem mieszka i jakby ból, który się
zmieni w rozkosz śmiertelną, jeśli kto z żywych po-
siądzie księżniczkę Minoe. Przegięła się jak pantera
co oczy podłużne zmrużywszy, wyciąga się na słońcu
i uczyniła ruch jakby chciała wejść w chłodne wody,
zamknięte w marmurowym basenie.

W tej chwili dobiegł ją jakiś jęk, tak straszny,
jakby z nim razem pękło ludzkie serce, nabrzmiące
od bólu. Zadrżała księżniczka Minoe i odwróciła się

ruchem szybkim, jak pyszny zwierz pustynny, który posłyszał szelest albo nieuchwytny odgłos, jaki wydaje cięciwa, kiedy ją napina mocna dłoń strzelca.

Ktoby wtedy był ujrzał oczy Minoe, musiałby oszaleć.

Niezmierny, nieludzki gniew, taki, który bez drgnienia powiek zabija, błysnął w źrenicach Minoe; stała naga, wyprostowana dumnie i patrzyła w gąszcz zamorskich krzewów, rozdzierając straszliwem ostrzem swego spojrzenia splątane konary, za którymi ukrył się ktoś, dla którego zapewne życie nie było warte miedzianej monety, wytartej w rękach przekupniów z nad brzegu. Drżało z wściekłego gniewu całe jej ciało, które niepomne wstydu, wyprężyło się w jednej chwili, jak do skoku; śmiertelna bladość pokryła twarz Minoe, a oczy powlókł męt, jakby mgła, za którą dzieją się rzeczy, na które spojrzeć nie może człowiek. A oto w tejże chwili dojrzała wśród gąszczu liści żółtą, skrzywioną złym i chytrym uśmiechem twarz króla Azisa i oczy jakieś, zalane krwią i obłąkane; z poza mętu źrenic spłynęła na jej twarz niezmierna pogarda; księżniczka Minoe odwróciła powoli głowę i nie podnosząc bezcennej swojej szaty, odeszła powoli naga, stąpając po złotym, ciepłym piasku, który się tulił do jej stóp, tak drobnych, jak stopy dziecka.

Król Azis dzierżył z wysiłkiem w ramionach jakby stężałe ciało dowódcy.

— Zbudź się, — rzekł — odeszła...

Zbrojny człowiek jęknął po raz drugi i spojrzał na króla pijanym wzrokiem.

— Otrzyj krople potu z czoła — mówił dziwnie wzdurczonym głosem król. — Widziałeś księżniczkę Minoe... Powinieneś umrzeć, albo ujrzyć ją po raz drugi! Powiedz!

Dowódca dyszał ciężko, jak ktoś, który widział przed chwilą śmierć powoli przechodzącą; potem się zwałił do stóp królowi i mówić zaczął głosem osłabłym z wyczerpania:

— ... Co mam uczynić?... Niech się stanie wszystko, co się ma stać... O, królu... Czuję w mózgu szaleństwo... Co mam uczynić?...

Król Azis stał nad nim, długo milczący. Potem głosem syczącym i złym, głosem takim, którym śmierć przemawia, mówił:

— ...Przerazisz miasto, śpiące na morskim brzegu... Niech lęk, straszniejszy od najstraszliwszego, stoczy im serca... Niech im dusze uschną z trwogi... Niech wszystkie oczy staną się obłąkane... Niech obłąd i śmierć zamieszka domy, w których oni mieszkali... Niech im obrzydnie słońce i morze i bóg i miłość... Niech każde ich słowo będzie przekleństwem i trucizną... Niech

nie zaznają snu, lecz niech im w dzień i w nocy serca wyją z trwogi i lęku...

I niech konają powoli... A wtedy Minoe przyjdzie do twego domu naga... Niech konają długo... A Minoe krew ci swoją odda i z serca jej pić będziesz, jak z czary... Podnieś się!

Król Azis krzyknął słowo swoje ostatnie, a wódz, jak dziecko posłuszny, błędnym na króla patrząc wzrokiem, powstał i począł iść przed siebie, jak senny. Twarz miał nie do poznania zmienioną i tym naznaczoną wyrazem, po jakim się poznaje człowieka, który widział tajemnicę; skurcz chwycił jego mocne szczęki, a wargi mu drgały, jak bardzo choremu. Szedł przez terasy i krużganki, przez marmurowe sale, chłodne, jak skalne czeluście, przez wzniesienia schodów i kurytarze, długie jak bajki o smokach, a wszędzie szło przed nim widmo księżniczki Minoe, nagiej, lśniącej, jak słoniowa kość, podającej obłąkanym jego oczom na pastwę swoje piersi, okrągłe i wznoszące się lekko z oddechem; kiedy ją (zda się) ujrzał nagle, przy marmurowej stojącą kolumnie i wyzywającą go niespokojnem, ledwo widnem drżeniem ud, krew zalała mu oczy, ruchem szybkim jak błyskawica dobył miecza z pochew i uderzył.

Szczęknęło żelazo, a kamień snop iskieł rzucił mu w oczy. Byłby zabił Minoe, gdyby jej pierś na-

prawdę błysnęła mu przed oczyma: oto raz ją ujrzawszy w gronie stu niewolnic, bez drgnienia na twarzy stojącą przy boku króla Azisa, zapragnął jej, jak mąż pragnie kobiety, zaś teraz pragnął jej po tysiąc-kroć razy więcej, aby ją mógł wlec po ziemi, za włosy chwyciwszy, albo jej kazać, uwiązanej do siodła, biec za koniem.

Och, jak bardzo jej pożaądał, miłując tą śmiertelną miłością, która jest zemstą za nic i za wszystko: za to omdlenie oczu, patrzących w nieznane, za uśmiech, wiedzący rzeczy tajemne, za tę piękność, która śmierć zadaje.

Szałeństwo chwyciło go szponem za włosy, w przepaść ciągnąc. Wódz króla Azisa śmierć w tej chwili przysięgał miłowanej do oblędu córce Azisowej, księżniczce Minoe za to, że ją widział nagą...

A kiedy przyszli z królem Azisem na terasę, skąd widać było śpiewające tysiącem błysków cudne nadmorskie miasto, rzekł mu król:

— Oto ci je oddaję, abyś je przywiódł do szaleństwa. Odejdź!

Wódz przyłożył rękę do czoła i przyklęknął na prawem kolanie, potem bez słowa, chmurny jak nawalnica, co się wtacza nad obfitość i bogactwo urodzajnych pól, począł schodzić ku miastu, kuszącemu gwarem i szumem, brzęczącemu, jak pyszny ul, szem-

rzącemu jak gaj pomarańczowy, radosny słońcem. rozśpiewanemu jak gromada beztroskich młodzieńców, co ku winnicy zdąża, ujawszy krzepko dziewczki pod ramiona.

Tysiąc białych statków obsiadło błękitną przystań, jak stado białych mew, co zapadło na skały; wielka galera w tej właśnie godzinie przybiła do brzegu, z dalekich przybywszy mórz, i zdawało się, że jak zmęczony bachmat rycerski, co z dala przybieżał, bokami szybko robi, oddechając z trudem, niezmiernie znużona.

Wódz wszedł w miasto i utonął w jego rozgwarze...

A kiedy nadeszła noc i miasto, ukołysane szumem morza, do snu legło, wyszedł król Azis z ciemnych komnat, gdzie przepędził skwarny dzień i zszedł w miejsce, skąd miał widok na swoją stolicę. — Wśród mroku nocy dojrzeć można było gorejące jego oczy i plamę twarzy, podobnej pośmierdnej masce z wosku. Patrzył na miasto i czekał; oczy wyteżył i oparłszy się o balustradę, stał niemy jak posąg i nieruchomy, zastygłszy w niezmiernym swym lęku, czekając, jak się jego lęku ulęknie śpiące miasto.

— Strzeżcie króla Azisa! — doleciał go z od dali krzyk, podobny raczej do smętnego wycia psa, takim przeciągłym i dziwnym zabrzmiał jękiem.

Król Azis głowę wtulił w barki, płaszczem się szczelniej owinął i jeszcze bardziej wzrok wyteżył; dolna warga zwisła mu nisko i drżała, jak gdyby wielki król cierpiał w chłodzie nocy. Aż oto drgnął i trząść się nagle począł cały, jak liść. Daleko w dole, w ciemnej otchłani nocy, wiszącej nad wodami, buchnął ogromnym słupem płomień, jak gdyby dziwnym cudem wytrysnął z wody, a im wyżej w górę się wznosił, tem niżej w tym samym czasie zapadał w morską czeluść; za chwilę trysnęła fontanna ognia gdzieindziej, potem dalej i jeszcze dalej, aż się cała przystań zaalała ogniem, lejąc krwawy poblask na fale, które, wzburzone i jakby przerażeniem wzdęte, poczęły gasić nierozumnie słupy ognia, płonące w wodnej czeluści, łamiące się pod uderzeniem fal na tysiące części; zaś na ich grzbietach, pokrytych krwawą pianą, jaką wyrzuca z pyska koń, zagnany na śmierć, szaleć począł pożar tak straszny, że się płat nieba zakrwawił, a morze, hucząc z przerażenia, tłuc poczęło falą o brzegi, jakby uciec chciało na ziemię przed tą nawałą ognia, chwytającą węzowemi, kosmatemi od płowego dymu łapami płomieni, cudne, śnieżne statki, drzemiące na fali i śniące o dalekich wypach.

Jak niebotyczna sosna płońał olbrzymi maszt galery, która setką wiosłał drąc fale, przybyła przed

nocą; płonęły łodzie, strojne w białe żagle, jak w motyle skrzydła, statki kupieckie, odęte worami zboża, brzuchate galery, dźwigające w przepaścistym wnętrzu błamy purpury i złoty kruszec, okręty wspaniałe, w wojennym czasie wiozące niezliczone hufce ku zagładzie obcych ziem, rybackie łodzie, czarną przykryte płachtą, jak wielkie trumny.

Niezmierny pożar objął je wszystkie olbrzymiem koliskiem, a straszliwy płomień, dojrzawszy przy swoim krwawem świetle żagiel nietknięty i biały, jakby błądy z trwogi, rzucał się jak żbik, skacząc przez morską przepaść i wyszczerzonymi zębami darł tułów łodzi, rwał na strzępy żagiel, piał się po maszcie, gwizdząc i sycząc, radując się wśród piekielnego śmiechu.

Zawyło morze, jak ów olbrzym, któremu rozpaloną belkę zatopiono w sennem oku, potem, jakby dojrzawszy zagładę nieuchronną swego ptactwa, co spało w przystani, jęknęło przeciągłym, przejmującym, strasznym szlochem i łkać poczęło płaczem głośnym wspaniałego męża, co płacze po raz pierwszy w życiu, łez się nie zawstydziwszy.

Oszalałe z trwogi mewy krzyczeć poczęły przerażliwie, pędząc biciem skrzydeł dym czarny i ciężki, co się w oddali kładł na morze. Zanim minęła godzina, rojna niedawno przystań podobną się stała

świeżo zaoranej niwie, pod której żywemi skibami legła jak w grobie duma nadmorskiego miasta, orle jego skrzydła i ramię jego tęsknoty.

Kiedy krwawa łuna uderzyła blaskiem w miasto i krwawa, ognista wieść zawyla w ulicach, sennych i cichych, miasto spojrzało tysiącem przerażonych oczu i oniemiało.

Długa minęła chwila, zanim ktoś w tłumie, co nad brzeg wyległ i stał martwy, krzyknął nagle i chwyciwszy się obiema rękami za włosy, drzeć je począł, skomląc i wyjąc, jak szaleniec. Była to kobieta brzemenna. Odpowiedział jej z przystani nagły syk bólu: to świetna galera drgając ostatnim słupem ognia, podobnym ręce topielca, który na dno pójdzie za chwilę, lecz ręką zmartwiałą woła jeszcze o ratunek, zapadła się z sykiem w rozwartą czeluść morską. Zadrżał tłum, zakolysał się jak ciemny las pod uderzeniem wichru i zawył. Czerwone od odblasku ognia twarze ludzkie, podobne były zmorom piekielnym; tysiące rozrzerzonych z przerażenia, bólu i wściekłości oczu patrzyło bez łez; zacisnęło się tysiąc pięści; na tysiącu ust ukazała się piana. Tłum zawył tak, jakby własne ręce włożył w ogień i konał z bólu; potem się rozpoczęła noc zgrozy. Oto się jeden rzucił na ziemię i darł palcami wilgotny piasek nadbrzeżny; a inny, jakby oszalał nagle, wszedł w morze i wzrok

utkwivszy w ukochaną łódź, płonącą w oddali, szedł ku niej na ratunek, póki go fala nie uderzyła w pierś i nie zmiotła; inny śmiać się nagle począł przeraźliwym śmiechem i pędem biegł wzdłuż wybrzeża; a inny jeszcze, oczy utkwivszy w morze płomieni, zbiełalami wargami poruszając z trudem, śpiewać począł tęsknie i cicho.

Huczało morze i tłum huczał, patrząc na ten stos płonący, na którym ujrzał płonącego swego trupa. Cóż mu teraz życie? Tedy z sił opadał w miarę, jak straszny pożar słabnął, nie mając już, coby pożarł, bowiem ostatni żagiel, pysznym, jasnym ogniem płonący, wiatr zerwał i w górę go poniósł, że wyglądał jak orzeł szybujący, na którego padły falą krwawe blaski zachodzącego słońca. Tłum ludzi drgnął dziwnie, ile razy tylko trup świetnej łodzi, co znała drogę do wysp koralowych i do tych, przy których łowiono perły, zapadał w otchłań wodną.

Nikt nie płakał.

Gorze! Gorze!

Gdzieś daleko, poza zwałami czarnego dymu, zawył nagle grzmot, jak lew, którego zbudził pierwszy wiew nocy; głuchy łomot potoczył się ponad morzem i ucichł, jakby zamilkłszy z gniewu. Parność, ciężka jak rozpacz, opadła powoli i straszna cisza, zły i milczący poseł burzy, szła jak zły olbrzym,

który stąpając cicho i bez szelestu, nakrywa potwornie wielką, kosmatą łapą wszystko, co głośniejsz od decha. Nagła błyskawica otwiera się na ponurem niebie jak krwawa rana albo też jak straszliwe, krwią nabiegłe oczy, w niezmiernie szybkim, złem i wściekłym spojrzeniu patrzące, czy wszystko już na ziemi upadło na kolana z trwogi przed burzą, która piorunem zabije każdego, kto się nie pochylił, lecz prosto stanął, jak kolumna.

Tłum na wybrzeżu stał w śmiertelnym zdumieniu, zastygły już w rozpacz, umęczony nagłem, potwornym cierpieniem; zdawało się, że noc burym płaszczem burzy idącej nakryta, zblednie od bladej ludzkich twarzy, podobnych pośmiertnym maskom z białego wosku, które lepi za srebrną sztukę monety dozorca trupów; gdyby mógł ukazać teraz w woskowem odbiciu serca tych ludzi, wpatrzonych w hulające morze oczyma ze szkła, ujrzaliby każdy swoje serce trupio blade, bez kropli krwi, która zbiegła gdzieś w głąb najtajniejszą, jak nieraz na pustyni woda ze źródła ucieka nagle we wnętrze ziemi. Gdyby w tę nieszczęsną gromadę ludzką weszła teraz śmierć z łukiem swoim strasliwym w dłoni i poczęła szyc w nich strzałami, od których pada wszelki żyjący, które kruszą marmur i jadem zarażają dąb, że usycha, jak nędzne ludzkie ramię, nie byłby drgnął za-

den z nieszczęśliwych, cóż może bowiem napełnić
trwogą niemą rozpacz, mocniejszą od śmierci?

Gorze! Gorze!

Warknął bliżej już grzmot, potem rykiem donośnym napełnił cały świat, a echo dudnić poczęło na czarnym sklepionym potężnie moście chmur, rzuconym nad morską otchłanią; zdawało się, że dziki, od lwa i pantery sroższy wódz, pędzi na ciężkim, czarnym koniu, rozbłyśnięty w tysiąc pierzastych płomieni grom mając na szyszaku; porwał się z pod kopyt czarnego rumaka obłąkany wichr i padł znienacka i wściekle na las cyprysów i za włosy drzeć je począł i targać, aby się ugięły lub zeszyły z drogi burzy, płynącej dostojnie i groźnie jak król na wielkiej galerze. Morze, jęknąwszy jak człowiek, wydeło się nagle i zapadło, tysiąc otwierając przepaści i jakby wyć poczęło z bólu, gdyż wichr jak pług straszliwy biegł po niem i wyorywał bruzdy, a burza, jak siewca, siejący nieszczęście, szła za nim powoli, wielkimi krokami i rzucała pioruny w odwalone skiby fal.

Ohe! jak straszliwe było cierpienie morza!

W tej chwili krzyknął ktoś przeraźliwie w ludzkiej gromadzie, omdlałej na wybrzeżu: oto ciężka, wielka kropla dżdżu padła na twarz któregoś z cierpiących, a on mniemając, że to łza spłynęła mu wreszcie z pod powieki, otworzył z krzykiem swe serce,

bowiem tylko łyzy przywieść mogą do życia duszę ludzką, zamartłą w szaleństwie bólu. Krzyknął, jak człowiek, co się nagle obudził i oto błogosławione, dobre, choć z krwią pomieszane łyzy poczęły im płynąć z oczu i nagle wielki szloch zmieszał się z łkaniem morza i z przeciągłym żalonym płaczem cyprysów, z graniem szklanych deszczowych strun i wyciem wихru, bijącego w nie wściekłą dłonią jak w struny niezmiernej harfy.

Ohe! Jak straszliwe było cierpienie tych ludzi!

Szaleństwo się rozprzęgło na ziemi i na niebie.

Był jednak człowiek, który w tej chwili nie płakał, albowiem niewiele dni temu król Azis rozkazał mu pochodnią wypalić oczy, które widziały zbyt wiele; człowiek ten stary miał dwa rozżarzone krwią węgle w miejscu, gdzie były oczy i niemi patrzył, spojrzeniem swem okropnem oblewając jak strugą krwi. On jeden stał niemy i on jeden nie darł włóśców palcami, drgającymi w szaleństwie bólu. Oparł się na czyjemś ramieniu i wstąpiwszy na głaz, stanął nagle ponad tłumem i dziwnym, przejmującym głosem zawył jak wilk, albowiem nie było w głosie tym odzewu ludzkiego serca, które uczy człowieka słodyczy mowy. Usłyszał go tłum mimo ryku burzy i podniósł na niego oczy, zalane łzami,

A człowiek ten, ręce w górę podniósłszy, jakby

je do krzyża przybić miano, wołać począł głośno i strasznie, aby go usłyszano nawet w oddali; każde jego słowo podobne było potężnemu uderzeniu młota, kiedy płatnerz bije w rozpalone żelazo pancerza.

Wołał:

— Módlcie się, aby przyszła śmierć...

— Ohe! — jęknął tłum.

Grom uderzył w tej chwili z hukiem tak wściekłym, że im ziemia zadrżała pod stopami, a jęk ich rozplynał się w burzy...

— ...Lecz nie przyjdzie, bowiem śmierć mieszka na morzu, a skądże weźmie galerę, albo łódź, albo statek, których nie ma? Skądże weźmie łódź tak szybką, jak mewa, aby przypląć mogła dzisiaj, bo któż zechce ujrzyć jutro słońce?

— Ohe! Ohe! — płakał tłum, deszczem bity w twarz i któremu oczy zalewał potop.

— Ludu cierpiący! — wołał ślepy człowiek — i słońce może się nie zjawi! Kiedy miałem oczy, widziałem, że przyplywa co rano, położywszy się na płótnie żagla. Tysiąc łodzi wiozło je zawsze z morza, a któż je przywiezie jutro?

— Słońce! słońce! — przeraził się tłum.

— Koniec tobie miasto nadbrzeżne, któreś było jak orzeł! koniec tobie cudzie ziemi, bowiem umrzesz bez słońca...

— Słońce! słońce! — szlochał tłum.

— ...Jesteś jako orzeł, któremu obcięto skrzydła i oto zgniiesz na barłogu, ruszyć się nie mogąc. Śmierć twoja będzie w upodleniu, usychać będziesz z pragnienia i tęsknoty... Czy tam jest morze?

— Ohe! — krzyknął tłum.

— To nie morze tak płacze, to płaczą tam daleko wasze dusze, które zostały na morzu i nie mogą do was powrócić, o, ludzie nie mający ani rąk, ani skrzydeł.

— Gorze! gorze! — płakał tłum, głośniej wołając śmiertelną skargą niżli burza, która przepłynąwszy nad ich głowami, ostatnie poza siebie w tył ciskała pioruny.

Ślepy człowiek wołał:

— Zapytają jutro wasi bracia na stu wyspach: czemu nie przychodzą do nas ludzie z białego miasta? I będą czekali do wieczora.

Wyjdą w nocy na brzeg i będą czekali do rana. Potem płakać będą, mniemając, że was pochłonęło morze, rzuciwszy na was burzę.

I będą czekali wiele dni i wiele nocy, mniemając, że przyplyną inni; a kiedy nie ujrzą białego żagla, zaczną was przeklinać i nienawidzić was. A potem ich ogarnie niezmierny lęk, kiedy ujrzą, że są sami i szaleństwo ich chwyci. Oo! Oo!

— Niech przyjdzie śmierć! — zawył tłum.

— Nie przyjdzie! I to wam powiem: za wami są skały, a przed wami morze, ojciec wasz i matka i pole i źródło. Nadejść musi czas, że w szaleństwie głodu czerwona skała zostanie wam na pokarm... Gorze!... Niech się zlituje nad nami śmierć!

— Śmierci! śmierci! — błagał tłum.

— Nie przyjdzie! — krzyczał ślepy człowiek w przerażeniu — nie przyjdzie, bowiem śmierć zabiera ludzi żywych nie trupy... Szakale przyjdą ku nam... O, czemu mnie nie zabił piorun, który uderzył w morze? Oo! Oo! Ludzie bez rąk, bez skrzydeł i bez żagla!... Zabijcie mnie, bom ja jest jeden niezmiernie między wami szczęśliwy, bom ja jest jeden, który nie widział płonących okrętów, a jeśli jest inny jeszcze ślepiec w gromadzie, zabijcie i jego.

— Gorze! gorze!

— Zabijcie wszystkie brzemiennie kobiety, aby ten, co się ma urodzić, nie widział naszej nędzy i wstydu i aby się nie urodził w szaleństwie, albowiem szaleństwo padnie na wszystkich, którzy staną na morskim brzegu i będą patrzeć w dal, tam, gdzie słońce wschodzi co rano. O, jakże straszna jest rozpacz tego, który widzi i pragnie... Niech każdy wyostrzy nóż, aby łatwiej pchnął go we własne serce, kiedy poczuje, że mu oblęd padł na duszę! Wy-

ostrzcie noże, lub też niechaj nikt się nie waży spojrzeć w stronę morza. Słyszycie, jak płacze morze?

— Morze! Morze!

— Płacze jak człowiek... Niech każdy wosku naleje sobie w uszy, aby nie słyszał tego płaczu, bo ile razy usłyszysz westchnienie morza, tyle razy pęknie w nim serce...

— Oo! Oo! — płakał tłum mężów, którym nie była straszna wojna, ani burza, ani śmierć, łkając jak gromada dzieci, co przyszła na grób matki.

W tejże chwili ślepy człowiek począł przed sobą wodzić dłońmi, jakby czego szukał. Potem rzekł:

— W której stronie jest złoty dom króla Azisa?

— Poza tobą! — krzyknął tłum.

Wtedy się powoli odwrócił ślepy człowiek, ręce wzniosł nad głowę i począł wołać słowa tak straszne, że były jakby pokryte trądem i jakby oślizgłe od krwi.

— On jest, który to uczynił!

Oniemiał tłum w nagłym przerażeniu.

— Milcz! — krzyknął ktoś glucho — umrzesz!

— On to uczynił!... I niechaj za to nie umrze nigdy, lecz niechaj kona, tak długo, jak długo jedna kość z niego zostanie na pastwę robactwa...

Niech mu serce zeżre rozpacz... Niech w nim zgnije mózg... Niech nie zazna spokoju ani w dzień

ani w nocy, a sen niech nigdy nie zamknie mu powieki... Niech zemrze w jego oczach jego potomstwo, pomiot psi... Niech go ukarze morze i niech go wyrzuci ziemia, jeśli się w grób położy... A jeśli umrze, niech zmartwychwstanie, aby skonać poraz drugi... Niech go omija trucizna, aby cierpiał i niech się na piersi jego zwinie każde ostrze, aby był z bólu, umrzeć nie mogąc... Niech usycha powoli i przez wiek cały, jak drzewo zjedzone robactwem... Niech nie usłyszy ludzkiej mowy ani śpiewu, ani szumu morza, ani szumu drzew... Niech go zdradzi przyjaciel, a dziecko własne niech mu napluje w twarz... Niech w nim wieczystem pragnieniem dusza się pali, jak się paliły wasze łodzie... Niech mu się wino zamienia w żółć, a jadło niech się zamienia w kamień... Niech żyje wiecznie... wiecznie... wiecznie... O!...

Rzekłszy to, dobył noża z zanadrza i szybkim ruchem wbił go sobie w piersi.

— Och! — jęknął tłum w nagłym przerażeniu, lecz umilkł natychmiast, jakby chcąc miejsce uczynić dudniącym w echu słowom ślepego człowieka, aby bez przeszkody mogły dobiec aż przed żółtą twarz króla Azisa.

Ślepy człowiek, krwią własną obryzgawszy ostatnie swoje słowo, które nie miało jeszcze czasu, aby polecieć od jego ust zbyt daleko, zwałił się sztywno

w dziesiątki szeroko rozwartych ramion, jak na śmiertelne nosze; owinęły go w tejże chwili łagodnie i objęły miłością, jak piastunka chore obejmuje dziecko i tłum poniósł go ku miastu, wśród niezmiernej, dziwnie złej i dziwnie drgającej ciszy. Tylko morze zawyło głośniej i wydało z siebie ryk potworny, jak dziki zwierz pustynny, w którego dyszącej gardzieli utkwii znienacka wyrzucona, jadowita strzała łucznika. I jak potem wspaniały zwierz, drgnąwszy kilkakroć, wali się bezsilny, tak samo morze, (błogosławione po trzykroć i siedmkoć razy!) zdjęte dreszczem, nagle jakby zapadło w siebie i ucichło, płacząc gdzieś w głębi, gdzieś we wnętrzu wieczyście oddechającej piersi, lecz spokojne na twarzy, jak człowiek spokojny zgryzotą, na którą niemasz już rady. Zdawało się, że śpi, ukrywszy w bezdennym grobie ptactwo białych łodzi.

Westchnęła wtedy noc głęboka i tak spokojna, jak ów przybysz z poza gór, co czarnym zawsze okryty płaszczem w nadbrzeżnem mieście filozofii nauczał, a miał głos cichy i słodki, ile razy mówił o śmierci; noc niema, a przecież śpiewająca nieznanemi głosy; smutna, a tak łaskawa i dobrotliwa, jak wdowa cała w czerni, co słońce, kochanka swego ułożywszy w grobie, idzie pomiędzy nieszczęśliwych pocieszać, mówiąc: może nie umarło słońce, tylko

śpi! — noc, włóczęga pocziwy i dobry, w sakwie dziurawej, tkanej z mroku, noszący gwiazdy i jaśniejsze od gwiazd, sny o szczęściu; oto stąpa cicho po sennej fali i wzdycha, jakby się jej zakrwawiło serce na widok ludzkiego nieszczęścia; pożar tysiąca łodzi oślepił ją przedtem i blask łuny odegnał ją na morze, więc idzie teraz, pochylona nad odmętą i łowi łą nabięglami oczyma; tu belki, purpurową malowane farbą, tam żebro okrętu, ówdzie płat żagla, chuście śmiertelnej podobny. Oczy ma stare i niedowidzi, więc nagle przystanąwszy, noc długie swe ręce z przejrzystego uczynione mroku zanurzyła w gęstwą skłębionych chmur i z trudem wydzwignęła z pomiędzy nich księżyc, jak latarnię ciężką, ze szczerego złota ukutą; przy jej świetle spojrzała na straszne dzieło i zblednąć musiała w tejże chwili noc, opiekunka ludzi strapionych, gdyż bladość ogromna powlokła świat cały, morze i góry. Poruszyło się morze niespokojnie przez sen, poczuwszy światło, a noc iść poczęła szybko, coraz prędzej, coraz więcej zboleła, coraz niżej chyląc się od wielkiej boleści, przerażone oczy zakrywszy oponą mroku, albowiem twarz jej śniada sinieć poczęła nagle od gniewu i zgrozy.

Wtem, wśród śmiertelnej ciszy, jakby ptak zakwilił: to muzyckie narzędzie ozwało się boleśnie, jakby ręka, co je targnęła za struny była bezsilna

i słaba. Na kamieniu, rzuconym na brzeg przez fale, kiedy były w gniewie, siedział człowiek młody, w tym wieku będący, w którym jeszcze człowiek ma łez wiele i cenić ich nie umiając, pozwala im płynąć z oczu bez liczby, nie zważając, iż przyjść może kiedyś pora, kiedy łza jedna więcej znaczyć może, niżli wór skórzany, pełen dyamentów; siedział bez ruchu i słowa przez całe godziny i dopiero teraz, kiedy księżyc posrebrzył fale, ożył, jakgdyby zagadał do niego smutny blask; dzieje się bowiem nieraz, że człowiek zmartwiał w boleści otwiera duszę, której wrota ból zatrzasnął—poczuwszy litościwą rękę, położoną na głowie, pełnej szumów; więc ożywszy, spojrzał szerokimi oczyma na śpiące, troską uspione morze, bezwolnie uderzył w struny i począł się skarżyć, tak cicho, jak się fale skarżyć zwykły, albo też jak chore dziecko, któremu uczyniono krzywdę.

Oto jest skarga młodzieńca, który jeszcze bezcennych łez liczyć nie umiał:

»Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Kiedy ją ujrzą mewy, stojącą na brzegu, lecą, aby ucałować jej usta.

Każda koncha morska śpiewa szumem o niej, a bursztyny żółkną z zawiści, widząc ją nagą wśród fali.

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.

Co wieczór płynąłem do niej na wątlej łodzi,
a śmierć dęła w mój żagiel, albowiem śmierć mieszka
na topieli i chwyta łodzie.

Lecz cóż mi była śmierć! I cóż mi była burza!
Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.
Czekała na brzegu, wypatrując oczy, kiedy ku
niej płynęła moja łódź.

Całowałem jej oczy, które patrzyły na morze
i całowałem jej piersi, które dyszały trwogą.

Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja.
Stoi teraz na brzegu i płacze, a któż jej łyzy zca-
łuje z oczu?

Umiera teraz z lęku, a któż jej powie, że ją
miłuje?

Nie przyjdę ku tobie, albowiem zasłyszal o mi-
łości naszej król Azis i spalił moją łódź. Oo! Oo!

Powiedz mi, a rzucę się w morze i popłynę ku
tobie...

Lecz kiedy cię ujrzą moje oczy, będą już martwe.
Na koralowej wyspie mieszka kochanka moja...«
Łkanie wylęgło ostatnie te słowa i niezliczone
łyzy poczęły padać w morze.

Małe łyzy w niezmierzone morze.

Kiedy ruda pożoga trysnęła pierwszym błyskiem
z morza i kiedy w jakimś strasznym cudzie fale ży-

wym ogniem płonąć poczęły, jakby urągając ludzkiemu rozumowi, wpatrzył się w ognie król Azis, jakby nie mógł oderwać od nich oczu i, zdawało się, pił je oczyma, chłonąc je jak ogniste wino. Z trudem podniósł drżące ręce i wyciągnął je w stronę daleko szalejących płomieni, jak gdyby je chciał ogrzać; usta rozchylił jak człowiek, czekający rzeczy strasznej, która się za chwilę dokona, oczy miał nieruchome, tylko rozwarłe nadmiernie. Zdawało się, że to on, król Azis, płonącemi swemi oczyma podpala okręty, których nie tknął jeszcze pożar i że to on przenosi oddechem niezliczone, szybkie, złe, wijące się robactwo iskier z jednego żagla na drugi.

Ile razy zapadał się zjedzony płomieniem, nagłym bolem wzdęty kadłub okrętu, tyle razy po twarzy króla Azisa przebiegał dreszcz plugawy i zły, a usta wykrzywiały się jakby w uśmiechu; oczy tylko gorzały bez zmiany i siały ognie. Dym się przywłókł aż tu, do stóp królewskiego pałacu, więc król Azis chwycił go nozdrzami i milsza mu była w tej chwili ta woń gryząca, niż woń dziewczęcego ciała, pachnącego cudniej niż róże.

Król Azis przechylił się poza obramowanie terasy i słuchał.

Morze huczało straszniej, niż kiedykolwiek, lecz król Azis nie słuchał ryku morza. Wyła pożoga, rwąc

żagle na strzepy, lecz król Azis nie słuchał wycia pożogi.

Poczerwieniało łuną niebo, a król Azis stał wciąż nieruchomy, jak posąg; czekał jakiejś rzeczy strasznej i nie umiał jej nazwać, pragnął jej tylko tak bardzo, jak niczego dotąd w życiu. Musiał tem pragnieniem wysilić mózg, gdyż nagle stała się rzecz dziwna na twarzy króla Azisa; jak gdyby łuna pożaru rozgrzała zaskrzeple w lód rysy, twarz króla Azisa, jak maska woskowa, nagle topniejąca, zmieniała kształt, kurcząc się dziwnie i szybko. Twarz królewska wykrzywiła się nagle bólem, strasznym zapewne, gdyż król Azis w tejże chwili palce wpił we włosy i jęczeć począł jękiem tak okropnym, jakiego nie zdoła oddać słowo ludzkie.

Potem ręką zasłonił oczy i tak na oślep biec począł, jak człowiek, który ucieka przed zbójcą, co miecz wzniesiony trzyma nad jego głową.

Biegł, jak szalenciec, który dojrzał swoją marę, co go nocą nachodzi; gnało go przerażenie, które wypełzło niewiadomo skąd i lęk, który król Azis dojrzał przy świetle pożaru.

Gorze! Gorze!

Oto z morskiej otchłani wylął się strach, i sięgnął ręką aż do twarzy króla Azisa; z potopu płomieni zdołał ująć lęk i pełzając jak wąż, zajrzał w kró-

lewskie oczy, czekające, patrzące w noc spojrzeniem, straszniejszym, niż śmierć.

Król Azis leżał na marmurowych stopniach schodów, rękoma opasał głowę i jęczał; z ust wybiegła mu piana i sączyła się lepkiem strumieniem na królewskie piersi. Nikt nie widział króla i nikt nie słyszał jego głosu w tej chwili, a jeśli go kto przez mrok ujrzał nagle, uciekł pewnie, twarz zakrywszy połą płaszczą, aby własnej nie ujrzyć śmierci. I nikt też nie widział, jak król Azis poczołgał się wśród nocy do komnat, siedmkroć razy bardziej przerażony, niżli był przedtem, śmiertelnie chory od nieznanego lęku, który w nim mieszkał, jak czerw w trumnie.

A kiedy był dzień, stanął przed królem Azisem dowódca wojsk.

Zadrżał, spojrzawszy na twarz królewską, nie miała już bowiem barwy, do niczego nie podobna. To nie była twarz żywego człowieka; już pooraną, jeszcze bardziej poorał ból, tępym rylcem w ludzkiej twarzy ryjący swe nazwisko, żółtą i wyschlą jeszcze bardziej wysuszyło nieznanie cierpienie, wychodzące na łów nocą.

Król Azis spojrzał na dowódcę tem spojrzeniem, które jedynie przypodobane być może do bezgłośnego pchnięcia sztyletu, godzącego bez pomyłki wprost w serce, więc zadrżał dowódca i dłoń nieporadnie

położył na czole, na znak przywitania, ukląkłszy równocześnie na jedno kolano.

Azis nie zdejmował zeń okropnego ciężaru swego spojrzenia, lecz patrzył uporczywie, nie mówiąc słowa, nie poruszywszy ręką, ani brwią, ani rzęsą i gdyby w tej chwili stał przed nim tchórz lub zdrajca, byłby oszalał, poczuwszy we własnem sercu ostre jak sztylety, oczy królewskie.

— Panie! — szepnął dowódca, jakby błagając, iżby król Azis oczy powiekami nakrył.

Wtedy król, jakby mu łaskę wielką uczynił, odwrócił powoli głowę i patrzył zgasłym nagle wzrokiem na morze i na miasto w śmiertelnej pogrążone ciszy.

— Czemu mnie nudzisz? — rzekł król Azis na dowódcę nie patrząc — coś uczynił?

— Poniosłem trwogę w miasto.

— Ty?

— Jam to uczynił, królu Azisie.

— Widziałem tylko, że spaliłeś okręty.

— Tak mi rozkazałeś, panie!

— Widziałem ognie i widziałem dym. Widziałem ciebie, rzucającego płonące główne na śpiące łodzie, czyniłeś to dobrze i za to otrzymasz dwie sztuki złota nie wytarte na brzegach.

— Królu Azisie!

Dowódca podniósł ręce ze zdumienia w górę jak człowiek, który uszom własnym nie dowierza; a król Azis mówił głosem niezmiennie spokojnym, lecz każde jego słowo dźwigało we wnętrzu swojej ciszy piorun i ogień, burzę i gniew i grozę i śmierć.

— Dam ci trzy sztuki, jeśli twoja chciwość krzyczy teraz przez ciebie. Cóżes ty uczynił, psie? Spaliłeś łodzie... Ile?

— Więcej niż tysiąc, wszystkie, które były w przystani.

— Czy było na której łodzi ludzkie serce?

— Panie!

— A ja ci kazałem przy tym ogniu spalić na popiół ich serca. Okręty spalić może niewolnik, który karmi psy. Czy potrzebny jest do tego znak dowódcy wojsk króla Azisa?

— Panie! Panie!

— Czemu jęczysz? Powiedz mi, co uczynili, widząc pożar?

— Łamali ręce w śmiertelnym strachu.

— Źle widziałeś, chociaż było jasno od pożaru; strach nie łamie rąk, to była rozpacz, złe przyzwyczajenie małych ludzi.

— Płakali, a łzy ich były z lęku.

— Mózg twój jest mały, chociaż ramię twoje powali rozhukanego konia, wiedz tedy, że lęk jest

z kamienia i nie zna łez. Widziałeś marmur płaczący albo skałę? Nie znasz łez i sądzisz tedy, że trwoży się ten, co płacze.

— Milczeli potem posepnie, albowiem trwoga chwyciła ich za gardło, tak, że mówić nie mogli.

— Nie mieli czasu na słowa, albowiem zemstę knuje się w ciszy, a w milczeniu przysięga.

— O, panie! Mówił potem jeden z nich...

— Co mówił?

— Złorzeczył tobie... W szaleństwie, królu Azisie...

— Czy rozumiałeś, co mówił ten człowiek?

— Zrozumiałem, panie.

— Więc nie był szalony. Co mówił?

— Wołał, że ty panie kazałeś spalić okręty.

— Więc był rozsądniejszy od nich wszystkich; czemu go obraziłeś nazwaniem szaleńca? Powiadasz, że mi złorzeczył, więc zapewne już nie żyje?

— Rzekłeś, panie.

— To jest jedno, co uczyniłeś rozsądnego tej nocy.

Dowódca pobladnął.

— Panie mój... — wyszeptał.

— Prosisz o czwartą sztukę złota?

— Panie mój — mówił dowódca — to nie ja go zabiłem...

Król Azis ściągnął nagle brwi, lecz nie spojrzał na swego sługę.

— Któż go zabił? — zapytał z niepokojem.

— Lęk!

— Psie! — krzyknął król Azis — powiedziałeś to słowo dziś tysiąc razy i zawsze było skłamane i puste. Kto go zabił?

— Zabił sam siebie... — wyjęknął dowódca głucho.

Wstrząsnął się król Azis w nagłej trwodze.

— Aaa! — stęknął dziwnie przejmująco.

A dowódca mówił:

— Złorzeczył tobie, więc przeraziwszy się słów własnych, utopił sam nóż w swoim sercu, dlatego powiedziałem, że go zabił lęk. Trwoga zmąciła mu rozum, więc uciekł przed nią w śmierć.

— Aaa! — jęczał król Azis.

I trząść się począł jak w febrze; spojrzał z niezmierną pogardą na swego wodza i mówić począł słowa urywane, jakby chore i jakby bezsilne; nie miał już tyle siły król Azis, aby słowa jego były wściekle.

Mówił:

— Kat ci nie odejmie głowy... Głupcze!... Szakał ciebie nie tknie... Czemu ten człowiek, który się zabił nie wstanie i nie plunie ci w twarz, za to, żeś go

obrazil? Czy ty wiesz, co on uczynił? Nie mógł sam walczyć ze mną, więc posłał swoją śmierć... To był człowiek straszny... Ty mówisz, że on się zabił z trwogi? On zabił trwogę, jeśli szła na miasto, aby nie weszła w ulice... Jego śmierć przyjdzie tu, aby mówić ze mną... Czy masz miecz dość ostry, aby zabić śmierć?... Krew, która wybiegła z jego piersi spłynęła w ich serca i pożywiły się... Ich oczy widziały krew i oszaleją z zemsty... Słyszysz, psie?... oni gotowi ujrzyć teraz to, co było zakryte... Czemuś ty go nie zabił? On się chciał zabić, albowiem to musiał być mędrzec i wiedział co czyni. Czemuś ty go nie zabił?

Dowódca leżał u stóp króla Azisa i tarzał się, czołem bijąc o kamień; ujrzał, że nadaremne było to, co uczynił.

— Wstań! — krzyknął nagle król Azis.

Podniósł się zbrojny człowiek; twarz miał bladą i zmienioną przez rozpacz. Król Azis patrzył już zimno i mówił z nienawiścią.

— Lichy jest wszelki człowiek, a trwoga przychodzi zewsząd i znikąd; cień na ścianie straszniejszy jest nieraz od lwa, lecz lew jest nieraz straszniejszy od ducha, który wyszedł z grobu. Bacz dobrze, co ci powiem... Miasto moje musi skonać w twojej dłoni... Powtarzaj to sobie głośno w dzień i w nocy,

a może cię wtedy obłąd ogarnie i w obłądzie uczynisz rzecz straszną, która ich przerazi. — Miasto moje musi skonać w trwodze. Lęk je musi okryć, jak trąd i jak zaraza. Rzekłem. Precz!

Dowódca spojrział na króla przerażonym wzrokiem.

— Przyjdiesz do mnie powiedzieć, że poszaleli, albo też, że miasto wymarło. Precz!

Powolnym krokiem odszedł król Azis, z głową pochyloną na piersi, a wszedłszy do komnat rozkazał, żeby się nikt nie ośmielił przerywać samotności króla, cokolwiek by się działo na ziemi, na morzu i na niebie. I rozkazał także: jeśli przyjdzie dowódca za dni niewiele, aby go wpuszczono we dnie, czy w nocy, a raczej w nocy, niż we dnie.

Nad marmurowym pałacem króla Azisa zawisła cisza, jak wielki ptak nocny, mądrymi świecący oczyma, na bezszelestnych skrzydłach się ważący.

Nikt nie zagrał na harfie ani na lutni, nikt głośno nie ważył się powiedzieć słowa, nasłuchując tylko w utrapieniu, czy nie zawoła król Azis, w dłonie kłasnawszy, albo laską z hebanu uderzywszy z lekka w złoty dzwon w jego wiszący komnatach. Wszyscy w pałacu mieli pomarszczone czoła, a oczy ich patrzyły niepewnie, szpiegując się wzajem, czy nie dostrzegą w sobie wzajemnie cicho pełnącego węża zdrady.

Chodzili tak błędnie i cicho, jak zwykli chodzić ludzie, mający w domu trupa.

Stało się tego dnia, że niebaczny niewolnik upadł na miecz i wnętrzności wypruł sobie z brzucha; ból jął nim targać tak straszny, że mu spopieliała czarna twarz, a ręce rwały w szaleństwie cierpienia trzewia, które z niego wyszły; chciał krzyczeć, lecz stanęło nad nim kilku zbrojnych we włócznie, w jego wymierzonych serce. Już konał, lecz bał się jeszcze śmierci, więc nie krzyknął i godziny całe umierał w straszliwym milczeniu, głośniejszym tysiącokroć razy, niżli najsrozsze wycie, aby król Azis nie usłyszał krzyku.

Ohe! jak strasznie jest cierpieć, milcząc.

Na progu królewskich komnat leżał niewolnik olbrzymi i tak silny, że na plecach podnosił kwadrygę, pierś zaś miał tak szeroką, że drzwi niemi wypełniał, nikt tedy wejść nie mógł do komnaty króla, chyba przez serce niewolnika, zbyt dzikie, aby je umiał otworzyć ktokolwiek. Człowiek ten znał tylko głos pana i byłby zabił nawet siebie, gdyby się odwrócił twarzą ku komnatom, mniemałby bowiem, że oszalał i idzie zadusić króla Azisa.

Kto przejść musiał mimo drzwi królewskich omijał je zdala i przebiegał chyłkiem, jak się czyni przechodząc mimo domu, w którym jest zaraza; za każdym szedł jak cień krwią barwiony wzrok czuwa-

jącego niewolnika. Dopiero daleko, za węglem pałacu, w ukryciu, gdzie słuchać mogły tylko kamienie, dy-szał szept, mówiący:

— Co czyni król Azis?

— Uczy się umierać...

— Jeśli prawdą jest, co mówisz, pójdę zabić się w jego oczach, aby mu pokazać, co należy uczynić, aby skonać.

Mówił szept inny:

— Król Azis czyta księgi...

— Czy księga może zabić człowieka?

— Zaprawdę, pytasz dziwnie.

— Jeśli tego uczynić nie umie, nierozumna jest to księga...

Mówił szept cichszy jeszcze:

— Odważniejszy jest król Azis od lwa, tygrysa i pantery...

— Czy dlatego, że spalił łódzie?

— Nie, lecz dlatego, że się waży być sam z sobą i nie boi się siebie.

— Milcz!

A szept z pod palm, z ich szumem zmieszany, mówił:

— Wiesz, bracie mój, czemu ziemia nosi króla Azisa?

— Z trwogi?

— Nie! z ohydy, albowiem gdyby umarł, musiałaby go wziąć w siebie.

Zaś przy fontannach, wiecześnie szemrzących, szemrał szept inny:

— Boisz się króla Azisa?

— Nienawidzę go!

— Więc go się boisz. Ukochaj go, a wtedy go zabijesz bez trwogi, chcąc, aby był szczęśliwy.

— Mowa twoja jest dziwna.

— Zamilcz, ptak jest w pobliżu i słyszy.

Ohe! jak straszne jest słowo ludzkie, mówione szeptem!...

Cisza krążyła dookoła i uczyła ludzi zła; nie było w marmurowym domu Azisa ludzi dobrych, albowiem od wielu lat nikt tu nie śpiewał, byli nieszczęśliwi i śnili o zemście, słodszej niż szczęście, śpiwając o niej rozmarzonemi oczyma. Nieraz ponury człowiek z azisowego pałacu usnął pod cieniem drzew i wtedy, we śnie głębokim, promieniała jego twarz, albowiem widział krew Azisa, spływającą szerokim strumieniem w morze, a kiedy się obudził i poznał, że uradowało go widmo, patrzył z przerażeniem dookoła, czy kto nie widział jego snu. Teraz spoglądali ciekawie i trwożnie na przybytek królewski, pytając siebie tajemnie, co może czynić król Azis: czy gotuje nową zbrodnię, czy umiera, czy czyta znaki

w księgach, wykładających tajemnicę złego i dobrego.

Nikt nie wiedział, co w dni te czynił król Azis.

Świat cały, zdało się, oniemiał zadumany. Słońce zachodziło dziwnie, całe we krwi i smugach, podobnych olbrzymim mieczom, sięgającym od gór ku morzu i zapadało w przepaść jakoby niechętnie, nie chcąc zostawiać ludzi w ciemności, z której każdej godziny mógł wyjść król Azis.

Złe to były noce i smutne.

Nikt nie pił wina i nikt nie grał na harfie; omijali się zdala kochankowie, albo też, usiadłszy obok siebie, przez całą noc tak trwali, nie wymówiwszy słowa; jednej nocy znalazła straż dwie cudne niewolnice, które ległszy na marmurowych stopniach, płakały cichutko splecione w uścisku, a zapytane, nie wiedziały czemu płaczą; innej nocy tygrysy w królewskim zwierzyńcu zawyły nagle straszliwym, jakiejś okropnej tęsknoty pełnym rykiem; a innej znowu wpadło w smutne ogrody królewskie jak gdyby echo niezliczonych dzwonów. Dziwna groza powiała poprzez dusze ludzkie; podczas nocy tych nikt nie spał, a jeśli kogo zważyło zmęczenie, podstępnie mu na oczy zarzuciwszy sieć snu, jak zapaśnik, co siecią innego pęta zapaśnika, wtedy człowiek ten precz cisnął miękkie wezgłowie, a pod głowę kładł kamień

lub twardą tarczę, aby nie usnął zbyt mocno. Nikt zaś nie wiedział, dlaczego to czyni; zdawało się, jakoby cisza chodziła wśród nich, jak człowiek, co ostrzedz przyszedł przyjaciół i swym szeptem tajemnym, podobnym do głosu dzwonu, dzwoniącego w morskim odmęcie, albo też do śpiewu ludzi umarłych, odlatujących w powietrze — nachyliwszy się nad spiącym, mówiła: »nie dowierzaj nocy! nie dowierzaj nocy!« Noc zaś, jak człowiek zły i podstępny, albo też jak szpieg, w zasadzkę wiodący, koła im serca i tuliła ich w objęciu, mokremi od rosy rękoma zawierając im powieki.

— Strzeżcie króla Azisa! — wołał strażnik.

— Azisa!... — wołało echo i milkło szybko przerażone, siebie samo usłyszawszy.

Kiedy po takiej nocy pierwszy ukazał się promień, westchnął ten i ów, jak ktoś, z którego zdjęto niezmierny ciężar i wtedy patrzył każdy w stronę marmurowego domu i rył spojrzeniem kamienie, aby dojrzeć, co się dzieje poza nimi. Nikt nie wiedział.

Pałac stał cichy jak grób, w którym śpi tajemnica.

Siódmego zaś dnia, niewolnik, stojący na straży przy królewskich drzwiach krzyknął bardzo głośno, upadłszy na kolana, twarzą ku komnatom:

— Królu Azisie!

Nikt nie odpowiedział.

— Królu Azisie! — wołał niewolnik głosem przeciągłym. Potem dodał:

— Powrócił sługa twój i z jękiem ciebie błaga, abys go ujrzał.

Musiał w tejże chwili dostrzec króla, gdyż się na kolanach poczołgał, odchodząc.

Król Azis wyszedł z komnat i nagle, zdawało się, że na rozdrzany słoneczną światłością dzień padł czad, tak ponurą była twarz królewska. Znać było, że król idzie, ostatnich z siebie dobywając sił, które z niego wypilo nieznane znużenie; szedł powoli, prosto ku dowódcy, co stanął pod marmurową kolumną, patrząc przed siebie rozgorzałemi, oszalałemi na poły oczyma.

Stanął przed nim król Azis bardzo blisko, spojrzał na niego pilnie i uważnie i głosem, który jakby nie z królewskich pochodził piersi, lecz dobywał się z ziemi, zapytał:

— Czy żyje jeszcze jeden człowiek, który się nie uląkł króla Azisa?

Dowódca chciał mówić, lecz mu tylko usta zadrgały.

Król Azis pytał:

— Czy jest w mieście jeszcze jeden człowiek, który nie oszalał z trwogi?

Rozpacz trysnęła wraz ze łzami z oczu dowódcy.

Ohe! Jak bardzo spodzić się może człowiek!

Król Azis na chwilę oczy powiekami nakrył, jak ten, co poczuł nagły, śmiertelny ból, a nie chce krzyknąć; lecz się ukoił po chwili i rzucił w pysk dowódcy jedno ciche słowo:

— Mów!

Dowódca mówić począł powoli, jakby słowo każde ciągnął sobie z gardzieli wraz z kawałami ciała. Król Azis, jakby słów tych nie ciekawy, wyjął z zanadrza sztylet, z ogromnym zielonym szmaragdem na głowni i jakby dla igraszki, przytknął ostrze do piersi nieszczęsnego męża, szukając serca; a znalazłszy je, szepnął ciszej jeszcze:

— Mów!

Drgnął dowódca, silniej do marmurowej przywarł kolumny i rzeźić począł:

— ...Stało się pierwszej nocy, że wzięwszy ze zwierzyńców twoich, panie, dwanaście tygrysów, puściłem je wolno na ulice miasta... Rozpacz padła na miasto... Szaleństwo... zginęło wielu... Lecz i tygrysy...

— Ile?

— Wszystkie, panie... Strzelali z łuków, a strzały były zatrute.

Nie drgnął król Azis, tylko silniej ująwszy gło-

wnię sztyletu, pchnął go lekko, tak, że dowódca poczuł zimne ostrze na ciele.

— Mów! — rozkazał król Azis.

— ...Chciałem ich znękać... kazałem bić we dzwony, aby sen daleko odleciał od miasta... Nikt nie usnął w tem mieście... Aaa!

W tej chwili poczuł ukłucie szybkie, jak ukąszenie żmiji. Zbladł z bólu, lecz dysząc ciężko, mówił:

— ...Nie było dla nich dnia bez męki, ani nocy... Znalazłem największego w więzieniu zbrodniarza i ustanowiłem go dla nich sędzią... Królu Azisie! Ten człowiek sądził sprawiedliwie... Aaa!

Bladość niezmierna okryła twarz dowódcy i oczy zasłzy mgłą.

— Mów! — szepnął dziwnie król Azis i pchnął sztylet.

— ...Kazałem zburzyć tamy i zasypać studnie... W chlebie ich była trucizna... Nie jedli... cierpieli głód...

W tej chwili ukląkł na jedno kolano, albowiem król Azis, w oczy jego mętne patrząc, ostrze sztyletu posunął ku sercu.

— Mów! — rozkazał.

— ...Czyniłem straszniej... Czczą posąg kobiety... Rozstrzaskalem go mieczem... Uczyniłem rzecz okropną... Aby się ulękli... Szaleństwo... Zabiłem bóstwo...

Król Azis drgnął.

— ...Wtedy najpiękniejsza z ich kobiet... Oo! oo!... stanęła naga na ołtarzu... Wszyscy upadli na twarz i uczcili ją... Stanęła naga... jak Minoe... Oo!

Król Azis pchnął w tej chwili mocno i tknął serca, albowiem nieszczęśliwy głową w tył rzucił straszliwie i zwałił się martwy, jak gdyby weń uderzył piorun.

Azis stał nad nim długą chwilę, jakby się nie mógł ocknąć i jak gdyby ważył nieprzytomnie rzecz całą; potem się powłókł powoli, z głową opuszczoną na piersi, jak idzie człowiek, co za marami stąpa i myśli o sprawach tajemnych, które śmierć rozrządza. Szedł jak duch, a jednak był to człowiek żywy, albowiem długi cień szedł za nim. Ten cień świadczył, nikt więcej.

Powietrze drgało upałem, a król Azis czuł mózgiem lodowe przenikliwe zimno, które ścięło w nim wszystko; gdyby go w tej chwili stojący na straży żołdak ugodził włócznią w piersi, nie poczułby bólu król Azis, szedłby dalej powoli, nie wiedząc, dokąd zdąży; lecz gdyby żbik przyczajony ujrzał go w tej chwili, umknąłby w gąszcz, jak zwierzę płochliwe i łagodne. Zdawało się, że cyprysy szumieć przestały, kiedy mimo przeszedł król.

A on szedł. Stanął wreszcie przed ogromnym

murem, który zamykał ogrody i w tejże chwili, jak gdyby się opamiętał król Azis, otrząsnął się z potwornej zadumy, która ani jednej myśli wyprząść z siebie nie mogła i powracać począł ku pałacowi tym samym krokiem, którym stąpa człowiek chory, albo idący na śmierć skazaniec.

Skinął dłonią, a z poza kolumny wyszedł niewolnik, rosły i pyszny, albowiem był królewskiej krwi w swoim kraju i lwy zabijał oszczepem. Szeptano przy fontannach, iż księżniczka Minoe, upodobawszy sobie jego postać i spojrzenie śmiałe, jak spojrzenie wolnych ludzi, kazała go siec różgami do krwi, dopóki nie omdlał. A wtedy całowała jego usta i oczy, którym nie wolno było widzieć, więc musiały zająć bielmem omdlenia.

Rzekł mu król Azis:

— W ogrodach swoich jest księżniczka Minoe. Idź i powiedz jej kobietom, aby stanęła przedemną. Niewolnik drgnął i pobiegł szybko, ręce ułożywszy na piersi, jak czyni zawsze pieszy goniec.

Król Azis wyszedł z trudem na szerokie stopnie schodów i wszedł do tronowej sali, tak wspaniałej, jakiej drugiej nie było na ziemi, ani na wschodzie, ani na zachodzie.

Opowiadali ludzie wiele wiedzący, że cesarz chiński siedzi w tronowej sali, której sklepienie usiane

jest dyamentami, na podobieństwo niebieskiego firmamentu; że sułtan ludzi czarnych ma w swej sali dwanaście kolumn z bursztynu; że wielki chan barbarzyńców w lodowych krajach zasiada na tronie, który uczyniony jest z górskiego kryształu.

A oto król Azis miał w sali swej tronowej ściany jakoby z wody, albo ze światła, albowiem szereg kolumn w sali stojących, odbija się w nich tysiąckrotnie, zaś postać królewska mnoży się w tych ścianach tak, iż całe wojsko wśród nich się porusza, a żołnierz każdy ma na głowie koronę. Opowiadali, że poseł z dalekich krajów, stanąwszy w tej sali, oszalał, ujrawszy siebie tysiąc razy równocześnie. Cóż są dyamenty i kolumny z bursztynu i górskie kryształy, martwe, choć grające ogniami i tęczą, wobec tego dziwa i cudu, największego jakie widziały oczy najstarszego żeglarza, który zna wszystkie morza?

Azis wszedł do tej sali i stąpać począł ku tronowi, którego poręcze zdobił rząd wielkich, czarnych pereł, nie mających ceny; usiadł i głowę oparł na rękę, czekając. Naprzeciwko niego pochylił się inny król Azis i patrzył na ciało swoje, siedzące na tronie. Dreszcz przebiegł po królu, chciał w inną spojrzeć stronę, lecz nie miał siły, aby odwrócić głowę; patrzył tedy dziwnym wzrokiem, jak gdyby duszę własną ujrzał w mamidle i tak znieruchomiał; obu-

dził się wtedy dopiero, kiedy pomiędzy nim, a w dziadłem stała Minoë.

Spojrzał na nią król Azis i wtedy dopiero z wolna odwrócił głowę, kiedy napotkał oczyma jej oczy, jak gdyby szydercze. Minoë stała naprzeciw króla, naga napół, albowiem z pomiędzy fałdów białej tkaniny, ujętej złotym, pysznej roboty pasem, przeglądały jej przedziwne, małe dziewicze piersi, której brodawki, pomalowane farbą, zaprawną różowym olejkiem, podobne były różom, ledwie rozwitym. Usta miała rozchylone księżniczka Minoë, ukazując zęby białe i ostre, podobna w tej chwili do zwierza, niezrównanej piękności, który, oczarowawszy spojrzeniem, zabija.

Skloniła się z niezmierną czcią księżniczka Minoë, nie śmiejąc pierwsza powiedzieć słowa.

Król Azis mówić począł cicho:

— Tyś jest Minoë, córka królewska?

— Jam jest!

— Bądź pozdrowiona i wiedz, że czuwam nad tobą, abyś była szczęśliwa.

Odetchnął król Azis, jak gdyby wyczerpały go z sił powiedziane słowa; potem rzekł:

— Nie oddałem ciebie za siedm miast, ani za galery, pełne złota. Niema na ziemi tylu bogactw, któreby były warte jednego twego włosa... Rzekłem... Bądź pozdrowiona...

Minoe, ustawicznie patrząc w twarz królewską, uklękała i powstała potem szybko, oczu od ojcowskiej twarzy nie odjawszy ani na moment.

— Czemuś mnie kazał wołać, panie?

— Chcę mówić z tobą... słuchaj uważnie i odważ każde słowo, zanim mi odpowiesz.

— Pytaj! — królu Azisie.

Król Azis myślał chwilę, potem mówił:

— ...Postanowiłem ukarać moje miasto...

— Czem zawiniło, królu Azisie?

Król Azis wpił palce w poręcz tronu i począł gwałtownie wylupywać czarną perłę z oprawy.

Rzekł:

— Minoe! źle jest pytać, jeśli odpowiadać ma król Azis... Zawiniło moje miasto. Rzekłem!... Patrz w ziemię i na stopnie tronu, czy nie znasz mojej twarzy? Zakryj oczy!

Księżniczka Minoe pochyliła nisko głowę i słuchała w milczeniu.

— Ukaralem moje miasto i zalałem je krwią... Kazałem spalić okręty... Puścić kazałem w ulice tygrysy... Morzyć ich kazałem głodem... Chciałem, aby się ulękli króla Azisa... Chcę, żeby się ulękli, Minoe!... Nie ulękli się śmierci, a ja chcę, aby się mnie ulękli...

— Panie! — szepnęła Minoe.

— Mów...

— Cóż ja mogę?

Spojrzał na nią król Azis i rzekł cicho:

— Mdły jest rozum kobiecy, lecz jest jako pierze na drzewcu strzały, aby lecieć mogła tem pewniej. Dzieje się też, że nie rozum zabija, lecz przewrotność i chytra głupota... Straszniejszy jest od lwa skorpion i gorszą jest trucizna w puharze wina, niż burza na morzu... O, Minoe!... Mów, co mam czynić, aby oszaleli w lęku i czołgali się w prochu, usłyszawszy moje imię... O, Minoe!

Wtedy księżniczka Minoe podniosła wzrok na króla i rzekła:

— Pozwól mi pytać, panie!

— Pytaj!...

— Kto ci doradził, aby zabijać, chcąc zasiać trwogę?

— Dowódca... — szepnął król Azis.

— Każ tedy zabić jego...

— Już umarł, — szepnął Azis.

— Uczyniłeś mądrze, albowiem radził ci jak żołdak, miecz tylko widzący; czynił jak kat i imię jego powinno być w pogardzie, lecz tylko złoczyńca lęka się kata. Oto ci mówi córka twoja Minoe, której pozwoliła mówić twoja niezmienna łaska: nie ulęknie morze krwi duszy ludzkiej, albowiem spłynie z niej krew, jak woda ze skały.

— Cóż mam czynić?

— Oto ci mówi Minoe: jeśli chcesz, aby miasto twoje się ulękło, nie trwóż go śmiercią. Czy śmierć ulęknie kogo? Czy ulęknie ciebie, królu Azisie, który jesteś bez lęku?

— Mów!

Minoe mówić poczęła teraz szeptem, jak kusiciel:

— Pozostaw ich w spokoju, który zamieni się w piekło... Pozostaw ich w ciszy, która ich "zabije... Oto ci mówi Minoe: ukryj swój gniew, a oni niech czekają w rozpacz, nie wiedząc, co zamyśla król Azis; nie jest straszny wróg, który przychodzi w dzień, nawołując, że idzie, straszny jest ten, który ma "przysiąc, a nikt nie wie, skąd i kiedy, jaką ma twarz i czym zabija...

— Mów, o, Minoe!

— ...Przywołaj do siebie kilku z nich i powiedz, że od dziś darzysz ich swoją łaską. Kiedy usłyszą to słowo, zbledną im twarze i to będzie pierwszy znak trwogi. Potem oszaleją, czekając na nieznane.

Król Azis obracał w palcach czarną perłę, wydartą z tronu; dyszał ciężko, jak człowiek bardzo znużony i słuchał pilnie; potem, nie spojrzawszy na Minoe, rzekł:

— Odejdź!... Mądrość twoja jest wielka i zabija

jak skorpion... Masz mądrość od kwiatów, które umieją poić jadem... O, Minoel!... Oczy twoje są złe i mądre... Wiesz więcej, niż stary człowiek, który na gwiazdy woła po imieniu i naznacza bieg słońca... Odejdź! Uczynię wedle słów twoich... Nie patrz na mnie! Odejdź!

Skłoniła się księżniczka Minoe i odeszła cicho jak pantera.

Król Azis klasnął w ręce; klasnęło echo daleko przy drzwiach, w których stanął niewolnik.

— Weźmij konia — rzekł król Azis — i pędź do miasta. Staniesz na rynku i zawołasz głośno, że król Azis każe, aby dwóch z miasta przyszło do niego, albowiem chce miastu obiecać łaskę i szczęście. A kiedy to będziesz mówił, twarz umaluj radością. Czy śmiałeś się kiedy?

— Dawno, królu Azisie... Zapomniałem...

— Przypomnij więc sobie śmiech, zły to bowiem sługa, który nie umie wielu rzeczy. Precz!

Król Azis wyszedł na terasę i rozkazał rozpiąć wśród dwóch wyniosłych kolumn ogromną zasłonę z purpury; rozkazał następnie, aby tych, którzy przybędą z miasta, przyprowadzili przed nią i uklęknać im kazali, albowiem on będzie poza nią.

Już było pod wieczór, kiedy się zjawili ludzie z miasta; dwóch ich było: stary jeden, podobny

omszałemu dębowi, na którym mech od starości jest srebrny i drugi młody, sośnie gibkiej podobny. Szli śmiało, a stanąwszy na stopniach pałacu, zapytali:

— Gdzie jest król Azis, który nas woła?

Rzekł niewolnik:

— Upadnijcie na twarz przed purpurową zasłoną, albowiem jest poza nią.

Na to rzekł stary człowiek głośno:

— Powiedz panu twojemu, że nie jesteśmy ślepcy — on ma twarz żółtą, a ta purpura ma barwę krwi.

— Zginiesz! — szepnął niewolnik przerażony.

— Wszak po to tu przyszedłem... — odrzekł mu stary człowiek, a zwróciwszy się twarzą ku zasłonie zawołał głosem mocnym:

— Królu Azisie!

Odpowiedziała mu cisza; purpurowa zasłona drgnęła z lekka, jakby znak dając, że jest ktoś poza nią, który żyje.

Stary człowiek czekał długo odpowiedzi, potem rzekł:

— Dwóch nas przyszło, którzy nie boją się śmierci. Mam lat dziewięćdziesiąt i pragnę umrzeć. Każ mnie zabić!

— Nie zapłaciłem daniny twojemu skarbnikowi, albowiem jestem ubogi. Za to mnie czeka śmierć. Każ mnie zabić!

Zasłona drgnęła poraz drugi.

A stary człowiek mówił:

— Twój niewolnik, który nam przyniósł wieść o twej łasce, głosząc ją — płakał. Czy nie masz wśród swoich sług histryona, który umie udąć wycie psa i śmiech człowieka, rzeczy do siebie podobne? Albowiem lży mówią prawdę... Czego żądasz od nas, królu Azisie, prócz życia?

Drgnęła po raz trzeci zasłona i wśród wielkiej ciszy usłyszeć można było poza nią słowa, pełne jadu, który się chciał ukryć:

— Powiedźcie miastu, że je miłuję...

— Ohe! — krzyknęli obaj.

— ...I że chcę, aby było szczęśliwe...

— Ohe! — krzyknęli po raz wtóry.

— ...Jeśli się ukorzy...

Cisza krzyknęła w tej chwili, oni milczeli.

— ...I padnie w proch... w trwodze przed tym, który się nie lęka...

Niema w grobie ciszy tak strasznej, jak ta, która bladą twarzą błysnęła w tej chwili.

A kiedy przeminęła, spłoszona szumem w ich rozpalonych głowach, stary człowiek począł mówić, słowu każdemu błogosławiąc dłonią:

— Królu Azisie! Pytaliśmy najmędrszego wśród nas, skąd jest szaleństwo twoje, bluzgające krwią,

a mędrzec rzekł: Król Azis struł się lękiem i oszalał. Czemuś się ukrył za zasłoną, wielki królu? Jestem człowiek stary i widziałem trupy, czy mniemasz, że stare moje oczy twarz twoja zbyt przerazi? Królu Azisie! Twoje miasto każe ci powiedzieć:

»Kłonię się tobie, królu do stóp i modlić się będę, abyś żył wiecznie...«

— Aaa! — jęknął król Azis za purpurą.

— ...I to ci każe powiedzieć: »przejrzałam ciebie i widzę twoją plugawą myśl: chce nas na śmierć załęknąć twoja łaska«. Królu Azisie! Kłanij w dłonie, aby przyszedł niewolnik z mieczem; purpurowa zasłona nauczyła nas patrzeć spokojnie na krew, a byliśmy w twym pobliżu zbyt długo, abyśmy się wazyli zejść napowrót w miasto, niosąc w fałdach szat twój zatęchły oddech. Każ nas zabić, Azisie! Trupy nasze zabierze miasto, które tu dzisiaj przyjdzie i ostrzega ciebie, albowiem nie przyjdzie podstępnie, przyjdzie, aby cię łowca psów schwycił na pętlę; potem cię uwiążą i strzedz będą, abyś żył długo, Azisie! Ohe, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy!...

Rzęzenie dziwne słyszać było za zasłoną, a starzec mówił tem głośniej:

— Czyń wszystko, aby jedna łza wybiegła z twoich oczu, wtedy będziesz szczęśliwy, albowiem umrzesz, chociaż umarłeś tak dawno... tak dawno... Czemu

czyniłeś zło, zamiast wypić truciznę z pierścienia?
Azisie!

Cisza zaległa za zasłoną.

Wtedy starzec począł schodzić powoli ze stopni schodów wraz z drugim przybyszem z miasta, a zszedłszy, usiedli spokojnie na marmurach.

— Na co czekacie? — spytał cicho niewolnik.

— Na śmierć — rzekł mu stary człowiek —
wszak i ty na nią czekasz.

— Odejdźcie!

Stary człowiek spojrzał na niego łagodnie.

— Pójdziemy — rzekł — aby i twego rozkazu
ktoś usłuchał raz w życiu.

I poszli dostojnym krokiem, nie spiesząc się, aby
nikt nie sądził, że ich w pośpiechu gna obawa przed
zemstą azisową.

Niewolnik patrzył za nimi długo, a kiedy się
rozplywać poczęły ich postacie w rozblasku wieczor-
nym, obejrzał się bacznie, a nikogo nie dojrawszy
w pobliżu, podniósł szybko ręce w górę i oczy pod-
niósł ku niebu, szepcząc:

— Żyście szczęśliwi!

Potem zniknął szybko, albowiem hałas się pod-
niósł w miejscu, gdzie za zasłoną ukryty był król
Azis. — — — —

Słońce, zjeżdżając w morze po pochyłej drodze

nieba, na której pokładły się cielska chmurne, żywe i leniwe, nie mogło snąć utrzymać swoich oszalałych koni, przerażonych widokiem morskiej przepaści; pędził tedy wóz słoneczny, jak kwadryga bohatera, tłumy złotego kurzu podnosząc w powietrze i purpurowego pyłu, który, wzbiwszy się, opadał potem powoli, ważąc się, na morze i ziemię, na cyprysy i marmury. Albo też kiedy słoneczna kwadryga pędziła po lazurowym jeziorze, napotkanem na drodze, rozpryskiwały się na boki fale i wzburzona ich piana skłębionej welnie owczej podobna, rozlewała się na obie strony, rodząc chmurki śnieżyste, podobne gromadzie owiec, które zwyczajem swoim, przeraziwszy się, w stado zbite, pobiegły.

Straszna się jednak rzecz stała po chwili, na którą niebo całe patrzyło, zaparłszy oddech w szerokiej, wspaniałej piersi, zadzwoniwszy przez chwilę zdumiałą z nagłą ciszą przedwieczorną. Leciał wóz słoneczny wprost przed siebie, krzycząc piorunowem, śmiercią zabijającym światłem, ażeby mu zeszło z drogi wszystko, co żywe, albowiem nie będzie żył, kto stanął przeciwko boskiej twarzy słońca. Ohe! Patrzcie! Patrzcie!

Olbrzymi, straszliwy smok, urobiony z chmury, tensam, który rankiem pełzał nisko na południowej stronie nieba i głowę zanurzywszy w morzu, żłopał

zeń wodę, on to teraz, strasznej potęgi słońca niepomny, położył się na jego drodze, dysząc ciężko, albowiem był senny, pożarłszy ogromne stado chmur małych i rozpiechłych w swawoli, które mu wiatr, liżący się pochlebca, w paszczę napędził; on też pożarł o południu dwugarbnego wielbłąda z szarej chmury, na którym mała, cudna, biała chmurka wędrowała w stronę, gdzie miał wzejść księżyc, albowiem urodzona wczoraj, a mająca umrzeć jutro, chciała ujrzeć srebrne dziwo miesiąca i jego odwieczne ruiny; on ci to olbrzymim ogonem rozbił białą łódź, ze śnieżystym żaglem chmurę, żeglującą ku wieczornej gwieździe, rozmiłowanej w morzu; on to teraz legł w pysze i dosycie, leniwy i senny, zły i ogromny i połowę nieba zajął swoim plugawem cieliskiem, na którym wiatr usługny gładził mu skłębioną grzywę.

Ohe! patrzcie!... patrzcie!...

Z hukiem tysiąca piorunów zadudnił wóz słoneczny, pędząc w szalonym biegu ku przepaści.

— Z drogi! — krzyknęło słońce, głosem tak jasnym jak kryształ, a tak potężnym, że posiniało niebo całe w nagłym lęku.

Dźwignął smok swój łeb leniwie, a usługny wichr, silniej zadąwszy, paszczę mu rozwarł potężnie własnymi rękoma.

— Z drogi! — krzyknęło słońce, a niebo i ziemia zamilkły z lęku.

Nie dźwignął się straszliwy smok, ciężki i zły.

Wtedy, nie wstrzymując koni, runął na potworne cielsko smocze słoneczny wóz i o zgrozo! — napoły je przeciął dwojgiem złotych kół; w tejże chwili potop krwi, z pod kół trysnąwszy, polał się po pochyłości nieba, obryzgał świetne szaty słońca i białe rumaki i rozlewać się począł powoli po niebie, aż się zakrwawiło całe, a strugi krwi sączyć się poczęły na morze. I zakrwawiło się morze. — — — —

W tym to czasie zgiełk się uczynił w miejscu, w którem się znajdował król Azis.

Czarny niewolnik, wieczyście strzegący króla, stał opodal zasłony i czekał, aż go kłaśnięciem w ręce król Azis do siebie przywoła; czekał długo, wreszcie się zaniepokoił, nie śmiał jednakże wejść poza purpurowe sukno, lecz kiedy zbyt długo trwała cisza, czołgać się począł na klęczkach ku zasłonie, oddech wstrzymując w piersi. Potem zawołał cichutko:

— Królu Azisie!

Na wiele się ważył ten człowiek.

Odpowiedziała mu cisza, więc powtórzył wołanie:

— Królu Azisie!

Jeśli słyszał król Azis, ten człowiek wołał własną śmierć po imieniu.

Nikt jednakże nie odpowiedział.

Wtedy niewolnik, nagle powstawszy z klęczek, pobiegł jak wicher w te strony marmurowego pałacu, gdzie mieszkała księżniczka Minoë i rozkazał kobietom, aby jej powiedziały, że król Azis co prędzej widzieć ją pożąda.

Ukazała się Minoë, brwi groźnie podniósłszy, albowiem właśnie grała na harfie pieśń przedwieczorną na cześć umarłych.

— Czy mnie pragnie widzieć król Azis?

Niewolnik przyklęknął.

— Rzekłś!

— Gdzie jest?

Niewolnik odrzekł:

— Albo na ziemi, albo też rozmawia z ojcem.

Minoë ściągnęła brwi groźniej jeszcze.

— Czy rozum ci się pomieszał? Dawno już umarł ojciec królewski. Gdzie jest król?

Niewolnik odpowiedział dziwnie:

— Jeśli jest, jest tam, gdzie był, za purpurową zasłoną, za którą przyjmował ludzi z miasta, aby złemi oczyma nie dostrzegli jego majestatu.

— Ohe! — szepnęła Minoë — idź przedemną!

Szli szybko i długo, zanim doszli do zasłony.

— Precz! — rozkazała księżniczka Minoë, potem weszła poza purpurowy błam.

Król Azis leżał na marmurowej podłodze, jak-gdyby nieżywy; wiele piany popłynęło mu z ust, które były sine. Żył jednak król Azis, albowiem oczy jego żyły; spojrzał dziwnym, strasznym wzrokiem i drżał. Nadludzkie przerażenie wycisnęło mu pot ze skroni, jakoby krwawy; palce miał zaciśnięte kurczem, który musiał być nagły i mocny. Straszny był w tej chwili król Azis.

Księżniczka Minoe dźwignęła go z mocą, szepcząc:
— Królu Azisie! Powstań...

Azis, dzierżąc się jej ramienia, utrzymywał się z wysiłkiem, drżąc ciągle jak liść.

— Zwołaj siły... — szeptała Minoe — aby nie ujrzał cię nikt, wspartego na ramieniu kobiety... Azisie!...

I wywiodła go z wielkim trudem na terasę, z której widać było miasto, już się w mgłę owijające.

Król Azis szedł jak bezwolne dziecko, patrząc uporczywie w stronę swojego miasta. Dyszał ciężko, jak człowiek ciężko w pierś samą raniony; twarz jego była tak żółta, że zdawało się, świeci trupim blaskiem w wieczornym mroku, tem światłem, którem od-decha próchno po nocy.

W tej chwili ozwał się u podnóża pałacu od-głos miarowych kroków.

— Straże idą! — szepnęła Minoe — bacz, żeby cię nie dojrzały królu...

Król Azis oparł się z trudem o obramowanie terasy; Minoe stała poza nim, patrząc dziwnie na postać królewską.

Nikt nie wie, co myśli Minoe, jakże się bowiem dowiesz o tem, co myśli potwór kamienny na brzegu pustyni w dalekim stąd kraju, ten, który milczeniem swoim zabija czas i ludzi?

Król Azis milczał bardzo długo, tylko drgania nagle biegły przez jego twarz na znak, że bije serce królewskie i że się lęka. Oczy miał utkwione w białe widmo miasta, które jakby równocześnie patrzyło w niego, uporczywie a łagodnie, lecz tym wzrokiem, którym patrzy jasnowłosy bohater, mający oczy niebieskie, a w piersi serce lwa.

Wtedy, po długiej chwili król Azis, wciąż w dal wpatrzony począł mówić, słowa z trudem dobywając z gardzieli:

— Przyjdą tu dziś... po mnie... aby mnie zabić... Nie widzieli lęku... Minoe...

Pochyliła się Minoe, nasłuchując.

— Królu Azisie! — szepnęła — noc ci śpiewa słowa szalone...

— Milcz! — rzekł Azis — przysięgli, że przyjdą...

— Są strażę.

— Zdradzą mnie...

— Tysiąc łuczników strzeże bram.

— Tysiąc strzał uderzy w moje piersi...

— Azisie!

Król Azis ważył coś w szalonej myśli, zalewającej mu płomieniem oczy. Trząsł się cały, jakby na chłodzie; spojrzała w jego twarz Minoe i odwróciła szybko oczy.

— Azisie! — szepnęła po raz wtóry z trwogą. Och! jak bardzo lękał się król Azis...

Odwrócił się nagle i, jak człowiek, zagnała przełękły, mówić począł:

— Niechaj tu przyniosą mój tron... Światła!... Niech mi przyniosą koronę i berło... Ohe!... Rozkaż, aby się stało... Niech mnie ujrzą i ulękną się... Minoe!...

Nie minęła chwila, a stało się, jak rozkazał. W oddali stanęło stu niewolników, dzierżąc w rękach pochodnie, buchające dymem. Krwawe blaski spadły ulewą. A wtedy rozkazał król Azis, aby mu Minoe pomalowała żółtą twarz różową farbą i oto dwie plamy, do krwawych plam podobne, wykwitły na obliczu królewskim.

Na królewskie ramiona nałożono płaszcz tak cudny i bogaty, jak niebo o wschodzie słońca; na głowę włożono mu tyarę, tłoczącą głowę nadmiarem rubinów i pereł, jakby łez jasnych i barwionych krwią, w rękę mu dano berło; na którego szczycie buchnął z nagle, wśród mroku nocy, pożar ogromnego dya-

mentu. Siadł potem na tronie król Azis, do trupa podobny, a Minoe stała przy nim.

Blask pochodni drgał ciągle, albowiem ręce, które je dzierżyły, drżały ogromnie.

W tejże chwili na spienionym koniu przybiegł pod pałac setnik, nad strażami mający nadzór, a porzuciwszy konia biegł szybko po stopniach schodów. Ujrawszy króla Azisa w całym majestacie, zdumiał się śmiertelnie, potem padł na kolana i wołać począł okropnym głosem:

— Panie wielki! Miasto całe idzie tutaj... Niosą miecze i włócznie... Ratuj się!...

Rzucił się nagle król Azis w tył, wydawszy jęk.

Blask pochodni zadrżał niespokojnie. Cisza krzyknęła nagle, aby nikt się nie ważył odetchnąć.

Gorze! Gorze!

— Panie! — mówił dalej setnik i płakać począł — wojsko twoje pierzchnęło...

Król Azis leżał na tronie jak nieżywy.

— ...Wszystkim koniom twoim ktoś podciął pęciny... Ratuj się!

— Precz! — krzyknęła księżniczka Minoe — nudzisz króla.

W tej chwili drgnął król Azis i uczynił ruch taki, jakby usiłował powstać; wtedy pochyliła się nad nim Minoe i pchnęła go oczyma w twarz.

— Jak ujdiesz? — szepnęła — niech cię ujrzą!
Kto z żywych nie ulęknie się ciebie, ujrzawszy?

Odpowiedział jej jęk, jakby wyszedł z podziemi.

Lęk, który się czał w piersi azisowej, wypełznął teraz na jego oblicze, jak wąż i grzał się przy ciepłym blasku stu pochodni, a zdawało się, że za każdym dotknięciem węzowego wilgotnego ciepła, gniła w oczach twarz króla Azisa. Oczy patrzyły nieruchome chorem, okropnym świecąc blaskiem; zdawało się, że król Azis oczyma już tylko słuchał dziwnego łomotu, który się zbliżał powoli jakby burza, aż nagle głos straszny, jakby z tysiąca związanych piorunów, zawył nagle opodal:

— Azisie!

— Azisie! — załomotało echo i ucieкло przerażone w gęstwę cyprysów.

Wtedy Minoe krzyknęła głosem ostrym i donośnym:

— Uderzcie w kotły i blachy!

Zgiełk się podniósł, jak gdyby wśród najsroższej bitwy; gromada niewolników biła w kotły i dęła w olbrzymie trąby wojenne; stu uderzało w blachy i tarcze.

Ohe! jak śmieszne rzeczy czyni lęk!

Głos piorunowy krzyknął po raz drugi:

— Azisie!

I w tejże chwili ucichły kotły i trąby, jakby przerażone.

A ktoś mówił z dołu:

— Łowca psów weźmie cię na pętlicę!... Gdzie jesteś?

— Azisie! — krzyknął tłum.

Wtedy król Azis wśród okropnego rzęzenia, szepnął z wysiłkiem do Minoe:

— Zabij mnie...

— Będiesz żył długo! — wołał głos.

— Zabij mnie! — charczał Azis i piana wybiegła mu z ust.

Na najniższym stopniu marmurowych schodów stanął pierwszy z tłumu, trzymając w ręku pochodnię.

— Zabij mnie! — rzęził Azis, leżąc na tronie nieruchomie.

Wtedy Minoe szybkim ruchem dobyła sztyletu, a pochyliwszy się nad królem, rozgarnęła szaty na jego piersi, chcąc ręką wyczuć serce; nie odejmowała ręki długo, jakby skamieniała w zdumieniu: oto głucha była pierś azisowa i serce w niej nie biło, więc nagle, oczy zmrużywszy, ugodziła sztyletem w gardziel królewską. I ją teraz lęk ogarnął: z azisowego gardła nie wypłynęła ani jedna kropla krwi.

— Azisie! — krzyknął tłum.

Przerażeni niewolnicy porzucali pochodnie, ucie-

kając. Dojrzał już jednakże tłum, że Minoe uratowała Azisa, śmierć mu zadawszy, więc, ochłonawszy, rzucił się w jej stronę, podniósłszy włócznię.

W tejże chwili Minoe, zwinęła się jak pantera, jednym szybkim ruchem zdarła z siebie wiotkie szaty i stanęła naga. Na usta jej wybiegł uśmiech zły i śmiertelny. Oto Minoe, naga i cudna jak śmierć, poczęła schodzić powoli ze schodów, po purpurowym kobiercu, który na nie rzuciły pochodnie.

Pierwszy, który ją ujrzał, krzyknął, a rękoma zakrywszy oczy w tył się zwałił ze schodów; a inni, jakby nagle przerażeniem zdjęci, cofali się w milczeniu i ciszy, rzucając miecze i włócznie.

Minoe szła powoli, uśmiechnięta jak śmierć.

BALLADA O ŚW. JERZYM

Oto wam mówię, że dobry Bóg ma serce tak wielkie, jak wszystkie światy razem, tęczą związane. I wszystko się w niem pomieści. I wszystkiemu przebaczy.

Dnia jednego przywiózł srogi książę w poszóstnej karocy córkę swoją przed bramy wielkiego klasztoru, który siadł na pochyłym górskim stoku, zasianym karlim gąszczem. Uderzył po trzykroć żelaznym młotkiem w bramę i czekał niecierpliwie, kiedy mu otworzą, albowiem dzień się miał ku skonaniu, a w kraju tym zbójcy czyhali nocą, zdarzyć się zaś mogło, że złe oczy zbójckie mogły nie dojrzeć w mroku wspaniałej twarzy księcia i zabić go mógł zbójca, jak zwykłego kupca, sprzedającego korzenie.

— Hej, tam! — wołał książę — niech mi otworzą.

Ujrzał snąć przez kraty mniszkę, albowiem groźnie zmarszczył czoło, mówiąc:

— U wrót raju grzesznik nawet największy nie czeka tak długo!

Skrzypnęły wrzeczadze i krzyknęły nagle jak człowiek, któremu na torturach wyłamują ręce ze stawów. Stała w nich biała, wyniosła postać, sroga niemal w mrocznych już odblaskach zachodniej zorzy, a skłoniwszy się księciu, rzekła silnym głosem:

— Nie chcesz chleba, gdyż przybyłeś poszóstną karocą; nie jesteś chory, albowiem pukasz w bramę tak głośno, że wszystkie serca w klasztorze umilkły; nie przyszedłeś prosić, gdyż głos twój wydaje rozkazy. Czego chcesz?

Rzekł książę:

— Widzę po krzyżu złotym na piersi, że jesteś przeoryszą, przeto ci powiem, ktom jest. Wiedz, że się mnie lęka tyle miast, ile ty, pani, widzisz gwiazd ponad klasztorem. Jam jest książę z Alty!

— Tedy niech ci Bóg przebaczy...

Wstrząsnął dumnie głową pyszny książę i mówi:

— Bóg przebaczyć może tobie, może przebaczyć zbójcy i lichemu człowiekowi. Wszak ci już raz rzekłem, że jestem książę z Alty.

— Tedy niech ci Bóg przebaczy po trzykroć.

Książę zmarszczył brwi i rzekł:

— Pani! Moja to jest sprawa, iż zabiłem żonę i gacha jej, co w przebraniu mniszem przyszedł na mój zamek. Widać wiesz o tem, Boga wzywając na mnie. Zna mnie Bóg i wie, ktom jest... Ty zaś, pani, słów nie trać, gdyż ci ich potem zbraknie przy końcu modlitwy.

— Czego żądasz?

— Tam, — rzecze książę — w karocy ukryta jest moja córka, którą do ciebie przywiozłem. Nie chcę, aby jej matka przychodziła do zamku w noc i uczyła jej szeptem, jak ma mnie nienawidzieć. Śpi teraz, zmęczona łzami, gdyż płakała przez drogę. Dziecko to jest niemal... Zabierz ją i ucz, jak się ma modlić... Włosienica jest szatą, która przystoi kobiecie... Idź, zbudź ją i niech się ta brama za nią zamknie... Czyń prędko, gdyż noc zapada, a ja przez trzy rzeki przeprowić się muszę z powrotem... Nie budź jej zresztą, niech mnie już nie widzi i nie czepta się moich kolan...

Ksieni spojrzała ciekawie w stronę, gdzie sześć olbrzymich rumaków, niespokojnie kopało ziemię i gryzło srebrne wędzidła. Pochyliła głowę i poczęła mówić ciszej, jak gdyby nie chcąc zbudzić śpiącej księżniczki.

— Książę! — rzekła — ubogie są służebnice Boga...

— Myślałem o tem — odpowie książę — i wiedz, że te pola, które stąd widzisz i owe lasy ciemne, po drugiej stronie rzeki, wasze są...

— O, książę!

— Sto worów zboża zabrać każesz z moich spichrzów co jesień... Mało jeszcze?

— Książę — rzekła ksieni — za wiele, lecz słyszałam, że psuje się nadmiar oliwy w twoim zamku...

— I sto dzbanów oliwy... — dodał książę — czy jeszcze mało?

— Książę! — mówiła ksieni, pochyliwszy nisko głowę — Anioł zapisuje w tym momencie twoje słowa. Czy mniemasz, że się już umęczyl?

Książę zmarszczył brwi i rzekł surowo:

— Niech tedy dopisze sto owiec i sto błamów sukna, lecz teraz niech już przyłoży pieczęć. Dość będzie!

— Niech ci Bóg zapłaci! — rzekła przeorysza — zawołam, aby przeniesiono twoją córkę.

A zwróciwszy się ku klasztornym dziedzicom, zawołała szeptem prawie:

— Niech tu przyjdą cztery siostry!

Chwila nie minęła, a cztery białe postacie wyszły z mroku i szły rzędem; pochyliły nisko głowy na piersi, ujrzawszy zbrojnego rycerza, potem się skłoniły nisko przed ksienią.

— Rozkaż, pani! — rzekła jedna z nich głosem niemal dziecięcym; była to córka słynnego rycerza, który więcej wytoczył krwi ludzkiej, niżli źródło rzeczne wytoczy z piersi swojej wody; zamknąć rozkazał córkę swą w klasztorze, a sam rozbijał na gościńcach bez trwogi, albowiem mniemał, że córka jego modli się za jego zbrodnie.

Przeorysza pochyliła się ku nim i mówiła cicho:

— Oto ten rycerz, który jest potężnym księciem tej ziemi, przywiózł do naszego klasztoru swoją córkę. Pragnie ona spokoju i ciszy, więc do nóg mu padłszy, błagała, aby ją oddał między nas, o siostry... Śpi teraz w głębi karocy, umęczona drogą, gdyż przybyła z poza rzek. Weźmijcie ją cicho na ręce, aby się nie obudziła i zanieście, milcząc do celi. Czyńcie, o siostry!

Cztery białe postacie skłoniły się po raz wtóry, potem podeszły do karocy tak cicho, że nie było słyhać ich kroków. Za niedługą chwilę wyniosły z niej na rękach księżniczkę, śpiącą tak głęboko, jak gdyby jej łaskawa śmierć pomazała balsamem powieki tak białe i przejryste, jak dwa płatki róży.

Odwrócił się szybko książę i patrzył gdzieś w dal.

Przeszły powoli mimo niego, bezgłośnie i bez szmeru; zdawać by się mogło, że cztery białe anioły

niosą piątego, który umarł, powąchawszy zatruty kwiat.

Księżniczka oddechala spokojnie lecz ciężko, jak dziecko, co po długim płaczu wreszcie w głęboki sen zapadnie. Pukle włosów, koloru miedzi, spadły jej na czoło. Poły płaszcza z drogiej materyi, wlokły się poza nią.

Niosły ją cztery siostry lekko i miłośnie, oczy spuściwszy, gdyż patrzyły pilnie, czy kamień nie leży na drodze, aby potknąwszy się z nienacka, nie obudziły śpiącej. Słońce, dawno za góry już zapadłszy, ostatnim zabłąkanym błyskiem otarło się o jej twarzyczkę, tak słodką, jak twarze anielskie na kościelnych obrazach.

Weszły za wielką, w żelazie kutą bramę, do której klucz przedziwny robił słynny mistrz, ten sam, który sporządził klucze do papieskiego skarbca i rozplynęły się poza nią w mroku wieczornym, co już rozpoczął budzić nietoperze i sowy, śpiące w kościelnej wieży.

Długo milczał książę, twarzą do tej chwili odwrócony, wreszcie rzekł:

— Pani! Będzie dziś długo płakało to dziecko...

— Czy są miłe Bogu — odpowiedziała przeorysza — bądźcie spokojni.

— Nie mówcie jej nic o mnie. Kiedy zaś przyj-

dzie za czas niedługi pismo do was, pani, pisane moją ręką, powiedzcie jej, że zginąłem na wojnie...

— Kazałeś, panie!... Lecz raczcie mi powiedzieć jeszcze jedno: czy nie przyjdzie tu pod nasze święte mury rycerz, albo ksiązę, albo paż i nie będzie płakał nocami i straszył mniszki? Chcę wiedzieć, czy psy należy spuszczać na noc z łańcuchów?...

Rzekł ksiązę:

— Serce jej jest tak jasne jak mój hełm w słońcu i tak czyste, jak źródłana woda. Jej jest i niczyje więcej... Możeby jutro było zapóźno, gdyż oczy jej patrzeć poczynąły coraz ciekawiej. Daję ci ją w ręce, jakbym dał lilie... Żegnajcie, święta pani!

— Niech was Bóg prowadzi, ksiązę. Żyjcie długo!

To rzekłszy, uczyniła znak krzyża świętego i powoli, a dostojnie cofnęła się poza bramę; jęknęły znów oddrzwia na zawiasach i klucz ogromny obrócił się dwa razy z trzaskiem.

Ksieni, ręce złożywszy na piersi przeszła przez klasztorny dziedziniec, mroczny bardzo, a doszedłszy do klasztornych zabudowań, dziwnie milczących, znak dała ręką komuś niewidzialnemu. W tejże chwili dzwon uderzył nieśmiało i dźwięcznie na Anioł Pański. Zaśpiewał po trzykroć, głosem jakby dziecinnym i umilkł, jakby mu nie starczyło oddechu. A za

chwilę długi rząd widm białych i śnieżystych wyszedł ze sklepionych drzwi i szedł ku kościołowi; cztery siostry, które niosły wpierw śpiącą księżniczkę, szły na samym końcu, dziwnie zadumane.

Na jedną z nich skinęła ręką przeorysza.

Zbliżyła się siostra ze czcią i pochyliła głowę, dziękując, iż do niej przemówi wspaniała, pyszna ksieni.

— Gdzie jest księżniczka i co czyni?

Odrzekła siostra:

— Jest w celi, o pani. Ułożona na łożu, śpi dalej, lecz zdaje się, że przez sen płacze, gdyż coś, jakby łyzy waży się na rzęsach. Co z nią rozkażesz uczynić?

— Niech śpi, — rzecze ksieni — a wy idźcie na modlitwy. Kiedy się obudzi, powiedz jej, gdzie jest i co ma czynić. Potem niech się modli, jeżeli umie...

— A jeśli nie umie?

— Będzie rąbała drwa tak długo, dopóki się nie nauczy. Jutro się z niej zdejmie brokaty, aby rozpustne suknie zlej na was nie przywiodły myśli. Czemu na mnie patrzysz przerażona? Myślisz, że nie wiem, jak we trzy stroiłyście się w ornat, pytając, której jest do twarzy złota lama? Jak płocze dziewczki... Odejdź! Czyń, com rozkazała.

Pochyliła się siostra, cała pokraśnawszy i ucałowała rękę ksieni, ona zaś, wyrwawszy ją szybko, otarła o habit, mówiąc podniesionym głosem:

— Ręka moja jest czysta, czemu ją obmywasz łzami? Precz!

Siostra odeszła, płacząc cicho, a łzy padały na jej szaty, bielsze od śniegu.

Późna już była noc, kiedy powróciwszy z modłów usiadła przy śpiącej księżniczce, wpatrzona pilnie w jej twarz, czekając cierpliwie, kiedy się obudzi. Lampa senna i ciemna, paląc w ofierze światłu, włókniste swoje trzewia, syknęła od czasu do czasu z bólu i znów w sennem zamarła cierpieniu, do cierpienia nawykła; światło było skąpe, a jednak czuwająca siostra dojrzała jednej chwili, jak się pierś księżniczki podniosła, potem zapadła w głębokim westchnieniu; równocześnie dwie łzy duże i przeczyste dobyły się, jakby siłą z pod osuniętych powiek i potoczyły się po bladej twarzyczce książęcej córki. Wtedy ją siostra ujęła lekko za rękę i wstrzymała oddech w piersi.

Księżniczka podniosła powieki i nie patrząc naokół, tylko w górę, zbierała, zdało się, myśli; po długiej dopiero chwili, czując, że rękę jej ktoś miękko ściska, odwróciła głowę i spojrzała, śmiertelnie zdumiona. Nagły lęk, związał jej ręce i nogi, gdyż chciała

powstać, a nie mogła się poruszyć. Księżniczka patrzyła zalęknionemi, pełnemi jeszcze łez oczyma, jak sarna, którą z nagła bór przeraził; napotkała oczyma oczy jakieś dobrotliwe, śliczne i jakby mgłą zasnutę, na dłoni czuła dotknięcie miękkie i łagodne.

Spojrzała głęboko w te oczy i szepnęła cicho, tak cicho, jak pyta człowiek, co się po długiej obudził chorobie:

— Gdzie jestem?

Pochyliła się w tej chwili ponad nią wiotka, biała postać i głos cichy mówił:

— Siostrzyczko moja!

— Nie mam siostry, — rzekła księżniczka — gdzie jestem?

— W domu Boga! czemu się trwożysz?

Księżniczka podniosła się z trudem i powiodła dookoła zdumionemi nad wszelki wyraz oczyma; ujrzała wydłużony w drgającym mroku stół zbity z desek, klęcznik, w którym jakieś kolana wyżłobiły wklęśnięcie i krzyż na ścianie.

Schwycił ją nagły skurcz za gardło, gdyż nagle szepnęła z cicha:

— Daj mi pić...

Mniszka, w biel owita, poszła bez szelestu ku stołowi i przyniosła gliniany dzban, pełen wody.

— Pij! — rzekła.

Przytknęła dzban do ust księżniczki, patrząc na nią miłośnie.

Milczały potem obie bardzo długo; mniszka usiadła u stóp księżniczki i patrzyła w jej twarz bladą, która zbladła jeszcze bardziej, tak, że się stała podobna do białego sukna, z którego szyją habity. Nie miała już siły, aby westchnąć i nagle, łzy niewołane, płynąć jej poczęły po twarzy, coraz większe i coraz szybsze. Wtedy biała siostra ujęła jej obie dłonie i uściskawszy je, poczęła szeptać:

— Wiesz już tedy, gdzie jesteś... Nie płacz... Nie płacz, siostrzyczko moja... Nigdy się już nie zaśmiesz, więc czemu płaczesz teraz, kiedy ci się jeszcze zaśmiać wolno?

Księżniczka patrzyła na nią przez tęcze łez.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytała, we łzach każde topiąc słowo.

— Ojciec twój odjechał w poszóstnej karocy...

— Najświętsza Panno!...

Biała siostra podniosła się z ziemi, bardzo zadowolona.

— Czemu się dziwisz? Wszak nie mógł tu pozostać...

— A ja, czy tu pozostanę?

Siostra pochyliła głowę na piersi.

— Chyba cię śmierć wyniesie stąd na rękach.

— Boże! Boże! — łkało książęce dziecko.

— Nie trudź Boga, — mówiła siostra — wszak on cię zabrał właśnie.

— Bóg tego nie chciał... Nie on!...

— Któż tedy?

— Ojciec... Mówił, że mnie wiezie do zamku, który stoi nad jeziorem... O, niech mu Bóg przebaczy... Czy ja spałam?

— Spałaś, siostrzyczko i śpiącą wzięłyśmy na rękę... Otrzyj łzy... Człowiek ich nie ma wiele... Siostrzyczko moja!... Serce twoje bije tak głośno, jak serce dzwonu, który woła na ratunek. Uciszyć je, albowiem ksieni usłyszy; trzeba umieć uciszać serce i kazać mu usnąć jak dziecku...

Księżniczka padła na posłanie, twarzą na rękę i łkała cicho; mniszka usiadła przy niej, jedną ręką ją objęła, a drugą gładziła jej włosy, koloru miedzi, mówiąc szeptem słowa dobre i tak miękkie, jak zamorska tkanina:

— I ja płakałam, długo, w dzień i w nocy. Płakałam jeszcze dziś.... Tak samo mnie przywieźli, jak ciebie. Mój Boże, tyś była szczęśliwsza i nie widziałaś zamykającej się bramy, a ja jej zgrzyt pamiętam do dzisiaj. Siostrzyczko moja! Nie myśl o łzach, lecz o kwiatach, gdyż niema tutaj kwiatów i nigdy już ich nie ujrzysz... Jesteś dziecko książęce i trudno ci

będzie zapomnieć, a przecież zapomnisz. Jedno ci tylko powiem: nie wychodź o południu na klasztorny dziedziniec, gdyż o tym czasie słońce stoi wprost nad nim, tak, że je będziesz musiała ujrzyć i będziesz musiała płakać. Złe jest słońce, gdyż przypomina... Serce moje było już ścięte w lód, a raz ujrzałam słońce i serce moje roztajało w łzy... Odtąd zasłaniam oczy ręką i patrzę w ziemię. Nie płacz, siostrzyczko... Powiem ci rzeczy radosne. Chcesz słuchać?

Odpowiedziało jej ciche, serdeczne łkanie.

Mówiła tedy tajemnym szeptem:

— Są chwile szczęśliwe, nawet w grobie... O, wierz mi, że są. Kiedy o północy uklękiesz w kościele, zakryj powiekami oczy i słuchaj pilnie. Wtedy się dzieją rzeczy przedziwne: spragniona dusza przychodzi, aby pić z serca; wtedy się nie zdradź, ani słowem, ani szelestem, lecz bądź, jak umarła i słuchaj. Dusza, jak ptak płochliwy, zajrzy ci w oczy i myśli, że są senne; posłucha oddechu i myśli, że jest spokojny. Wtedy uklęknie w piersi i poczyną śpiewać pieśni tak niezmiernej piękności, że serce w tobie omdleje z rozkoszy; niema kwiatów tak pięknych, jak słowa tej pieśni, a słońce wiosenne tak wspaniale hymnów swoich nie śpiewa, jak je zaśpiewa twoja dziecięca dusza, kiedy wszystko inne w tobie omdleje. Ujmie cię wtedy w ramiona zachwycenie

tak niezmiernie, że się podnosisz ponad ziemię i płyniesz, płyniesz jak obłok... Nie płacz, siostrzyczko moja... I to ci powiem... Kiedy usta twoje będą spiekłe, albo ci noc opowie dziwy i zaniepokoi serce, usiądź w mroku kościelnej niszy i módl się, ale nie słowami, bo każde słowo jest puste, lecz módl się każdą cząstką ciała. Nagle usłyszysz, jak, modlitwą twoją zakłęty, zahuczy gdzieś daleko grzmot, a potem ponad tobą pocnie płynąć burza; wtedy cię, omdlałą na pcły porwą jakieś ręce niezmiernie silne, owina cię jakieś skrzydła, jakby archanielskie i wśród tysiąca ogni i błyskawic ktoś potężny uniesie cię w górę, tak wysoko, że cię przytomność odbiegnie a nawiedzi niezmierna, nawalem krwi hucząca rozkosz. O, jak dziwnie wtedy jest i jak jest strasznie. Jesteś cała wśród ogni, a szczęśliwa; pożar cię pożera, a ty mu poddajesz serce, aby je spalił na węgiel. O! o!... To grały organy na kościelnym chórze... Archanioł w nich mieszka i dzierży pioruny na smycz... Nie płacz siostrzyczko moja...

Księżniczka płakała coraz ciszej i ciszej; czasem tylko wstrząsnęło nią silniejsze łkanie, a wtedy biała mniszka mówiła z tem większą słodyczą i tem miłośniej gładziła jej włosy.

— Czy kochałaś kiedy? — spytała cicho mniszka.

— Nigdy jeszcze! — odpowiedziała księżniczka dwiema łzami.

— I ja nie kochałam, zanim mnie tu przywiedli. Kocham teraz dopiero...

Księżniczka uniosła nieco głowę i spojrzała na nią ciekawie, jak dziecko, które płakało gorzko, lecz w tej chwili ujrzawszy motyla, zapomniało o łzach i patrzy za nim zdziwione.

— Teraz kochasz?

— Z całej duszy miłuję... Bóg wie o tem i nie gniewa się...

— Kogóż miłujesz?

— Powiem ci — szepnęła mniszka — lecz mi przysięgnij, że słowo moje zapadnie w twoją duszę, jak w studnię bardzo głęboką.

— Przysięgam ci!...

— Tedy ci powiem... Kiedy jutro będziesz w kościele, pójdz do prawej kaplicy, gdzie w ołtarzu jest obraz. Malował go podobno jakiś młody mistrz z Urbino, którego imienia nie pomnę. Na tym obrazie koło tronu Najświętszej Panny stoi jej paź, którego miłuje moje serce... Ile razy uklękne przed tym ołtarzem, patrzy na mnie i ku mnie się pochyla, ile razy odchodzę, wzrok jego idzie za mną. Prosiłam go w modlitwie, aby się odwrócił, gdyż oczy jego mnie dręczą...

— Czy odpowiedział ci? — pytała księżniczka, wstrzymawszy oddech w piersi.

— Odpowiedział. Rzekł mi: Miłuję cię i miłować cię będę po wieki wieków... Wtedy padłam zemdlna i on mnie podniósł leżącą, gdyż zdawało mi się, jakoby ktoś w omdleniu całował moje oczy... Cóż ci jeszcze powiem?... Nazajutrz zdawało mi się, że się Matka Boska uśmiecha do mnie i że mnie błogosławi... I oto jestem szczęśliwa, bo czyż jest grzechem czynić rzecz piękną? O, jakże piękna jest miłość moja! Jeślibyś mogła ujrzyć moje serce, ujrzałabyś, że jest podobne białej róży i że niema na niem skazy, chyba łza tak czysta, jak kropla porannej rosy... Tobie jednej to mówię, gdyż masz oczy jasne i bez fałszu. Kocham cię, siostrzyczko moja...

Wtedy księżniczka upadła jej w ramiona i poczęły płakać obie cichutko, jak dwoje dzieci, co zabłąkawszy się w lesie, płacząc, przytuliwszy się do siebie.

Świt je tak znalazł, płaczące.

Z dziwną trwogą przedostawało się co dnia słońce przez wysoki mur klasztorny, albowiem nikt mu szerokiej bramy nie otwierał; szło potem i pukało cichutko w maleńkie okna cel. Za chwilę dzwon, senny jeszcze, wyśpiewywał pieśń poranną i uderzeniami serca liczył mniszki, długim szeregiem idące.

Kiedy ostatnia weszła w ciemne kościelne wnętrze, milknął z nagłą, jakby przerażony, ujrzawszy ksienię klasztorną, na wysokiej lasce opartą, idącą powoli, z głową wyniośle podniesioną.

I tak było co dnia.

Stało się zaś jednego poranka, że dzwon, pukaniem serca liczący mniszki, już milknął, kiedy ujrzał jedną jeszcze, ponad zwyczajną liczbę, więc się raz jeszcze rozkołysał i uderzył rozgłośnie o brzeg dzwonu.

Księżniczka szła, jak ktoś, co stąpa po trzęsawisku i co krok się zapada, albo jak ktoś, pod którym drżą kolana. Błada była tak bardzo, jak ginąca róża; oczy jej stały się większe i patrzyły z zalekiem dziecka, które nie wie, dokąd idzie i co je czeka w nieznanej dali. Ubrana była w biały, długi habit, w którego rękawach ukryła dłonie. Pochyliła głowę na piersi, dumając o rzeczach nieznanych.

Już od dni trzydziestu szła tak co dnia o poranku i już przez trzydzieści nocy szła z innemi o północy w mroczną kościelną nawę, w której cisza żarliwie odprawiała wieczyste modły za konających.

Tuż przed nią szła zawsze, ślaniając się, biała siostra zakochana w obrazie; był to pochod lilji, które ruszyły gromadą, jasne o poranku, jaśniejsze jeszcze o północy. Biała siostra padała na twarz w prawej

kaplicy, a kiedy jej powstać przyszło, nie mogła się dźwignąć, bezsilna.

— Co ci jest? — pytała wtedy cichutko księżniczka, pod ramiona ją ująwszy — czyś chora?

— Nie, — mówiła siostra — lecz uwiędłam. Poraziły mnie słońca jego oczu.

— Łzy cię pokrzepią — mówiła księżniczka — pójdźmy...

Aż raz o północy, kiedy dłońmi zakrywwszy twarz, usiadła cudna księżniczka w dębowej czarnej stalli, podobnej trumnie stojącej, przyszło na nią samą dziwne, ogromne znużenie. Powieki opadły omdlałe, ręce były bezsilne; równocześnie niezmierna błogość ogarnęła każdą część jej ciała i owinęła ją jakby w miękkie, białe, wełniste obłoki. Księżniczka słyszała jak serce jej uderza słabo, i jak cisza, przysłoniwszy sobie ręką oczy, aby ich nie raził blask świec z ołtarza, chodziła po wielkim kościele, ciężko od czasu do czasu wzdychając, potem zaś, podszedłszy bez szelestu przed wielki ołtarz, upadła na twarz z głuchym jękiem.

W tej chwili ozwał się surowy głos ksieni, której odpowiedziały mniszki dziecięcą, cichą, łzawą i jakoby senną prośbą.

I znowu powstała z ziemi leżącą krzyżem cisza i znowu rozpoczęła wędrówkę po kościele, odwieczną,

od lat tysiąca tę samą; szła i błogosławiła dłonią drgającą jak u starców.

Szumy przedziwne, cichsze od ciszy, zerwały się nagle dokoła głowy księżniczki i latać poczęły jak nietoperze, padać poczęły potem, lataniem umęczone, jak białe płatki śniegu na jej gorące serce i tajać odrazu. Niemoc ją ogarnęła i jakby omdlenie; zdawało się jej wtedy, że postać jakaś wyniosła, szara jak noc, wyszła z mroku, z poza kolumn, dźwigających z niezmiernym trudem strop kościoła, podeszła ku niej i ręce jej położyła na oczy. Potem miękką dłonią sięgnęła w jej pierś, wyjęła z niej ostrożnie serce, które zatrzepotało się nagle jak schwytyany ptak i ujawszy je jak drogocenny klejnot w obie dłonie, poniosła je, idąc powoli i uroczyście, przed wielki ołtarz. Tam uklękła i dłonie obie, serce w nich dzierżąc, podniosła wysoko. Zamigotało w mroku serce księżniczki jak przepyszny rubin wyniesiony na światło, a lampa wieczna przed ołtarzem wisząca, w szkle na kształt serca wyrzeźbiona, zbladła nagle.

Trwoga niezmierna padła na księżniczkę, widzącą te dziwne sprawy, chociaż oczy miała zamknięte; wstrzymała oddech, słuchając.

Postać z mroku, klęcząca przed ołtarzem, mówiła:

— O, jakże czyste jest serce księżniczki. Hosanna!

Nie masz w niem fałszu ani zła. Hosanna, och, hosanna!

Podobne jest kielichowi kwiatu, albo też kryształowej czarze.

Uczyń mu tedy łaskę, Panie wiekuisty...

Niechaj je weźmie śmierć i zaniesie tobie, a ty je zmienisz w czerwoną gwiazdę.

Wszakże jest śmierci to serce.

Niech umrze, lecz niech nie cierpi...

Hosanna, och, hosanna!

Zalękała się niezmiernie księżniczka w tejże chwili, albowiem stała się rzecz niepojęta: oto anioł boży, śpiewający na obrazie przy tronie Boga, zszedł z ogromnego płótna, wziął ostrożnie z rąk szarej postaci serce księżniczki i ucałował je. Potem podszedł ku księżniczce i złożył je w jej piersi, ostrożnie, jak się kładzie w skarbcu bezcenny kamień.

Omdlała cudna księżniczka i dopiero o świcie zbudziła ją biała siostra, mówiąc:

— Śniłaś, twarz mając w zachwycie. Czemu płaczesz? Pójdźmy, bo oto już słońce zapala płomienie na szyszaku świętego Jerzego... Już jest dzień...

Dziwnie blada była tego dnia księżniczka i pełna lęku.

Kiedy pod wieczór obie, z białą siostrą, czer-

pały wodę w studni z omszałego wiadra, długo do siebie nie powiedziawszy słowa, rzekła nagle księżniczka:

— Siostro! czy tu kiedy przychodzi śmierć?

— Śmierć!! Czemu pytasz, czyś ją ujrzała na dnie studni?

— Nie...

— Czy w moich oczach?

— Nie...

— Więc czemu o nią pytasz?

— Powiedz mi, czy tu kiedy przychodzi?

Biała siostra spoglądać poczęła w dal, przez mur klasztorny na wskrós patrząc i mówiła cicho:

— Przychodzi. Zanim tu przyszłaś, była wśród nas przed niewielu dniami; któredy przyszła, nikt nie wie, gdyż wielka brama była zamknięta, a mur jest wysoki.

— Czy zabrała kogo?

— Śmierć nie przychodzi nadaremno: zabrała siostrę, która miała zawsze przerażone oczy i blade rumieńce na twarzy... Nie chciała zabrać nikogo więcej, pewnie była umęczona i nie mogła wiele dźwigać ciężaru. Czemu o nią pytasz?

— Nie ja pytam o nią, lecz może ona zapyta o mnie...

— Siostro!...

— Gdybym spała, kiedy ona przyjdzie, zbudź mnie czemprędzej.

— Siostro!

— Gdyby pytała o drogę do mojej celi, wskaż jej, biała siostrzyczko...

I umilkły obie, nagłym zdjęte lękiem, który krzyknął ku nim bulgotem wody z dna studni i powiał chłodem.

Księżniczka wpadała coraz częściej w zadumę i coraz częściej sen ją odbiegał. Drżały jej słabe dłonie i omdlewały oczy. Ile razy stuk młotka ozwał się przy klasztornej bramie, stokrotnym echem odpowiadało jej serce; wtedy się twarzą obracała ku drzwiom celi, czekając rychłoli otworzy je śmierć, co przed chwilą uderzała młotkiem w bramę. Przychodziły na nią zwidzenia i majaki.

A oto jednego dnia, kiedy klęczała oparta o krawędź kościelnej ławy, zagrzmiały z nagłą organy i burza niezmierna zwała się na kościół. Zbiegły najpierw z chóru dźwięki jakby srebrne i rozgłośnie, i pędziły po kościele, jak chłopcy z dzwonkami, idący przed procesją; potem, jakby wojsko na wielkich, złotych trąbach grające, szły z łupotem ogromnym potężne głosy w wielkim porządku ku ołtarzowi. Potem chmury całe głosów, wspaniałych i huczących, zwały się w kościelną nawę, jak nie-

zmierny tłum ludzi, pokrzykujących i śpiewających rozgłośnie.

Tuż za nimi, płacząc wielkim głosem, szedł tłum biczowników, bowiem się cały kościół nappełnił płaczem i jękiem, aż mu kolumny oddźwiękły ponuro a groźnie.

Wichr ogromny uderzył w księżniczkę, powalił ją na ziemię, a po jej ciele przewalała się burza, lecąca z chóru, rycząca tysiącem grzmotów, pełna wrzawy i dzikiego śpiewania, pełna błyskawic i piorunów, tak potężnych, że się kościół zatrzęsł w posadach i drżał jak lepianka na wichrze. Oo! Oo!

Wołały jedne głosy:

»Jesteśmy lwy boże, któż się nie ukorzy przed Wiekuistym?«

Wołały inne:

»Jesteśmy płomienie w Jego dłoni, któż nie zadrży przed Panem?«

Śpiewały inne ze straszną mocą:

»Na kolana! na kolana! Bóg idzie pomiędzy kolumny!«

Padła na twarz księżniczka i usta jej zbladły z trwogi; tysiąc płomieni oplotło ją dokoła i owinęły się dokoła niej, jak węże. Pioruny trzaskały ponad nią i burza wyła tak niezmierna, że kolumny, strop dźwięgające, szumiąc głowicami, giąć się poczęły jak

sosny, błyskawice latały po olbrzymiej nawie, jak ośle-
płe ptaki i tłukły ognistemi łbami o wielkie okna,
aż padły pokrwawione na stopnie wielkiego ołtarza,
konając. Potop dźwięków leciał z góry straszliwym
wodospadem, a wicher hulał ponad nim, wyjąc obłę-
dnie, jak lwy w pustyni; porwał przerażone mnisze
serca, jak złote liście z drzew i w górę je gdzieś
poniósł.

Lęk padł na księżniczkę.

Wtem zagrało tysiąc trąb, w które wicher zadał,
głęboko odetchnąwszy; burza nagle ucichła, tylko one
grały potężnie i rozgłośnie, jak gdyby przed bitwą
na polu, gdzie stoją dwa niezmierne wojska. A głos
jakiś czysty i mocny, zaśpiewał:

»Oto idzie Archanioł boży! Chwała! chwała!«

Trąbom odpowiedział radosny a wspaniały
dźwięk niezliczonych dzwonów i stała się oto chwila
uroczysta i cudna: z mroku, pod sklepieniem chóru,
wyszedł nagle mąż wspaniały i pyszny, w słonecznej
zbroi, w której paliło się słońce; sto płomieni paliło
się w jego szyszaku, a na rękojeści miecza grało sto
dyamentów. Szedł ten mąż potężny mocnym kro-
kiem, aż pogłos szedł po kościele, a złote ostrogi,
do których dwie świetne przytwierdzone były gwia-
zdy, z niebieskiego stropu zdjęte, dzwoniły roz-
głośnie.

Chryste Panie! Oto idzie tędy właśnie, gdzie
lękiem powalona leży księżniczka; jeszcze krok je-
den, a zranić może jej skroń rycerskim swoim bu-
tem, albo ostrą gwiazdą, drgającą na ostrodze. Sta-
nął... Pochylił się... Podniósł ją, ani drgnąwszy, wziął
na ręce i niesie lekko, jakby niósł ptaka, albo gwia-
zdę, albo kwiat; idzie, idzie, aż przyszedł przed wielki
oltarz. Tam stanął i głosem, podobnym piorunowi,
mówi:

— Znalazłem ją, leżącą krzyżem, powaloną przez
niebieskie głosy. Serce jej wędnie jak kwiat. Niechaj
śmierć przyjdzie po nią, która jest w pobliżu, al-
bowiem ją widziałem, jadącą na wojnę. Rozkaż,
o, Panie!

— Siostrzyczko! — szepnęła w tejże chwili biała
siostra — czemu nie idziesz z nami?

Księżniczka otworzyła oczy pełne łez i spoj-
rzała dokoła siebie, jakby z ciężkiego zbudzona snu.

— Pójdź — mówiła słodko biała siostra — ko-
ściół już pusty i organy grać już przestały.

— Czy to organy grały?

— Grał na nich dziś ten stary mnich z doliny
poza rzeką, który jest obłąkany, lecz ma dziwną
sprawność i układa pieśni. Czemu tu klęczysz, czy
się modlisz do świętego Jerzego? Zdawałoby się, że
patrzy na ciebie ten rycerz, piękny jak Archanioł.

— Archanioł!?

— Uciszyć się, cisza roznosi nasze słowa po pustym kościele.

Księżniczka podniosła głowę i ujrzała przed sobą, na kamiennym cokole, rzeźbionego w marmurze rycerza na pysznym siedzącego rumaku, którego rycerz zdarł wędzidłem, albowiem na drodze leżał martwy smok.

Spojrzała na rycerza i w jednej chwili krew jej oblała twarz; przytuliła się do białej siostry, szepcząc:

— Czy to jest święty Jerzy?

— On, siostrzyczko.

— Rycerz bez zmary?

— On, siostrzyczko.

— Ten, który zmógł smoka?

— Tak, siostrzyczko najmilsza. Czemu drżysz?

Księżniczka drzeć poczęła, jak na zimnie.

— Nie wiem, — szepnęła — chłód wieje zewsząd... Pójdźmy stąd... Czy on na mnie patrzy tak dziwnie?

Biała siostra podniosła swoje słodkie oczy, na posąg patrząc i mówiła:

— Rycerzu najpiękniejszy w świecie, czemu trwożysz siostrę moją, księżniczkę, płochliwszą od gołębia? Czy tak czyni rycerz?

— Zamilcz! — szepnęła księżniczka — święty jest to rycerz i może go ranią twoje słowa. Pójdźmy stąd...

I nie patrząc już na posąg wspaniałego rycerza, odeszła szybko, a za nią biała siostra.

Płakała tej nocy rzewnie księżniczka, zamknięta w cichym klasztorze, sama nie wiedząc dlaczego. Nazajutrz zaś, również nie wiedząc czemu to czyni, uklękła nie przed posągiem cudnego jak słońce rycerza, który powalił smoka, lecz po przeciwnej stronie przed posągiem świętego Marcina, równie rycerza, tego, który się płaszczem podzielił z żebrakiem. Rycerz ten, surową i zimną patrzący twarzą, oczy miał jakby przymknięte, jakby w siebie patrzył, nie w kościelną nawę. Siedział na potężnym koniu bojowym, spokojnym i ogromnym, ciężkim i nieprzybranym we wspaniałe rzędy. Zaś biała siostra, spotkawszy pod wieczór księżniczkę, niosącą drwa, rzekła jej cicho:

— Widziałam dziś świętego Jerzego i modliłam się przed nim.

Księżniczka nakryła powiekami oczy i widać było tylko, że wstrzymała oddech w piersi.

— Czy cię wysłuchał? — spytała szeptem.

— Nie, — odrzekła również szeptem siostra — albowiem był bardzo smutny.

Drwa wypadły z zaciśniętych ramion księżniczki, która zbladła jak śmiertelne zgłó.

— Co ci jest, siostrzyczko? — zaniepokoiła się biała mniszka.

— Och, nic! Zbyt ciężkie niosłam brzemię i oto z rąk mi wypadło.

Tej nocy uknęła księżniczka w mroku pod chórem i modliła się tak cicho, że jej dosłyszeć nie mogły anioły, dźwigające na mocnych kamiennych barkach strop chóru i pochyliły ku niej głowy, chcąc usłyszeć słowa modlitwy.

Poblady nagle wszystkie, usłyszawszy, że się księżniczka modli o śmierć. Czoła im się zmarszczyły i oto mocniej się zaparli, potężne barki kamienne podstawiając pod niezmierny ciężar stropu; zaduma powlokła ich kamienne, świętą powagą obleczone twarze.

Księżniczka modliła się długo, bladą twarzą świecąc w mroku; klęczała jeszcze, kiedy mniszki wychodzić poczęły z kościoła, nie patrząc za nią, albowiem każda patrzyła w zakątki swojej cichej, łzami zasnutej duszy. Tylko biała mniszka podszedłszy do księżniczki, szepnęła jej cichutko:

— Czemu się modlisz w mroku? Nie czyn tego, słodka siostro, albowiem poprzez habit widać twoje serce, świecące jak wieczna lampa. Czy cię boli?

Księżniczka powstała z klęczek i poszły razem przez długi krużganek.

Spytała księżniczka:

— Czy widziałś moje serce?

— Widziałam — odpowiedziała siostra.

— Czy ksieni może je ujrzyć także?

— Nie trwóż się, siostró, ksieni ma oczy stare i nie lubi kwiatów, a twoje serce jest jak kwiat...

— O, siostró!

Biała mniszka zbliżyła twarz do jej twarzy i mówiła cichutko:

— Oparł się na łęku siodła i szukał ciebie pośród nas.

— Modliłam się o śmierć! — rzekła księżniczka głucho.

— A czyż miłowanie nie jest śmiercią?

— Zamilcz, to klasztor.

— Miłość jest wszędzie — rzekła siostra — a śmierć jest tam, gdzie jest miłość.

— Zamilcz!... zamilcz!...

— Umiera człowiek ze szczęścia, kiedy poczuł miłość, a kiedy miłość w nim zamrze, umiera poraz wtóry z bólu.

— Skąd to wiesz? — jęknęła księżniczka.

— Nie wiem... Słowiki o tem śpiewały w gąsz-

czu za klasztornym murem... Nie wiem, nie wiem...
noc o tem śpiewa...

— Chciałabym umrzeć... — rzekła księżniczka.

— Przeto jesteś szczęśliwa!

— Nie rozumiem ciebie... Wszak serce moje drży
od bólu...

— Nie może bowiem pomieścić szczęścia.

— Siostro moja.

Łzy ogromną strugą popłynęły z oczu księżniczki.

— Czy cię pieką te łzy?

— Nie, siostro, lecz chciałabym płakać wciąż...

Spojrzałam teraz na księżyc i dlatego płaczę. Czy to
nie dziwne?

— Bóg z tobą! — szepnęła mniszka — niema
łez złych, są tylko łzy dobre. Serce twoje przepę-
nione jest jak złota czara, dlatego płaczesz. Śpij sło-
dko, siostro moja najmilsza. Będę się modliła długo
w noc za ciebie.

Księżniczka przystanęła nagle.

— Siostro! — szepnęła.

— Mów, dziecino.

— Módl się... za mnie... do niego...

— Śpij w spokoju! I nie patrz przez okno na
księżyc, albowiem księżyc ma dzisiaj twarz smutną.

Zamknęły się cele cichutko i noc zaległa ka-

mienny dom, zamknięty wysokim murem. Gasły po celach światła jak westchnienia, blade i ciche.

Księżniczka weszła do celi jak senna i jak ślepy człowiek rękoma dotykała przedmiotów, albowiem oczy miała jeszcze pełne łez.

Przez małe okienko, księżyc rzucił złocistą smugę, powoli wędrującą po podłodze, noc wiosenna zaś oddechała głęboko na dworze, jakby się przygotowując do śpiewu, czekając tylko, kiedy ludzie usną. A kiedy już zamarł wszelki szelest i cisza krzyknęła, znak dając bezgłośny, że wszystko już umilkło i że się dzwony kościelne z nagła nie odezwą — wstał z ziemi nagle i szybko ciepły powiew; lecąc cicho jak ptak, otwierał miękkimi rękoma kielichy kwiatów, prostował trawy, różom wygładzał płatki, nietoperzom muskał skrzydła; toczył się po wzgórzu, na którym stał klasztor, coraz szybciej, nie mogąc schwytać oddechu i budził wszystko po drodze, szepcząc zdyszany głosem, aby się radowało wszystko, w czym tylko życie tętni: aby się radowały rośliny, proste i czule serca mające w ziemi, drzewa, których dusza mieszka wśród gałęzi, złomy skalne, które nad losem swoim twardym i złym wiecznie płaczą przeczystym źródłem; aby się radowała rzeka, wesola kiedyś, tuż za swem źródłem, a teraz poważna i zadumana przed śmiercią, albowiem duszą jej rozlewną a słodką, du-

szę żywiącą i wieczystą, pożreć ma za niewiele dni morze niedalekie, potwór zachłanny a bezlitosny; aby się radowała ziemia, królowa smutna i milcząca, raz w rok tylko jedno złote mówiąca słowo i niebo płaczące przez wiele nieraz dni, nad duszą swoją płochą i zmienną; aby się radowało powietrze; duch niewidzialny i bez grzechu, rozmiłowany w ziemi, do której przywarł, ramionami ją objąwszy:

O, hej! o, hej!

Raduj się i ty murze klasztorny, nieczuły i zły stróżu, milczący wiecznie i niespożyty, zawarłszy paszczę bramy.

Wiosna śpiewa. Śpiewa i las i góra, drzewo wszelkie i kamień.

Westchnął las, jak tłum dostojnych rycerzy, w dęby zmienionych i szumi:

Tysiąc lat trwam i będę trwał po wiek wieków. Tysiąc jest we mnie serc, a przecież jest serce jedno. Raduje się serce lasu, albowiem jest częste. Piorun uderzy we mnie i korę na pniu rozedrze i krew ze mnie płynie, a serce ostało się całe i raduje się. Głośno! głośno! szumnie! Śmiech mnie rozpiera, albowiem wczora chciała burza wyrwać z ziemi moje serce. Ooch!

W tejże chwili ozwał się głos jakby z pod ziemi:

Kamienne jest moje serce, serce nieszczęsne...
Skaliste jest moje serce nieszczęsne... Czemuż żyję
i żyć będę, ciężarem gniotąc pierś ziemi? O czemuż
ziarno padłszy na mnie, nie wszędzie? O, czemuż?
A oto się raduję nadzieją, och nadzieją!... Tysiąc lat
podmywa źródło pierś moją, chcąc się dostać do
serca. Raduję się, albowiem za lat sto tysięcy ujrzy
je wreszcie w kamienistym cielsku...

Głos szmerzący i łagodny śpiewał w kotlinie,
jak śpiewa ktoś stęskniony:

Z dali w dal... z dali w dal... bieży fala, śpiewa
fala... od stu lat i od tysiąca płyną prosto z bożej
piersi. Z dali, w dal, z dali w dal... Na dnie mojem
leży złoto, a ja płynę wciąż... Na dnie mojem spią
widziadła... Burzy się we mnie nurt i przewala, a twarz
moja jest spokojna, albowiem jestem jak życie czło-
wieka, co krok smutniejsze, ja rzeka, w dal płynąca.

Uschłe było drzewo na wybrzeżu, napiłam je,
a ożyło.

Przeto się raduję.

Przybiegł rycerz po walce, śmiertelnie spragniony
i dałam mu pić.

Och, jak wielka jest radość moja...

Śpiewaj falo, falo, falo!...

Podniosła swoje senne oczy ziemia i głosem
słodkim mówi:

Raduję się, bowiem jestem jedna. Jedzcie, o jedzcie, albowiem to jest ciało moje! Pijcie, o pijcie, albowiem to jest moja krew! O jakże wielką jest męka rodzenia, o jakże wielka jest rozkosz rodzenia... Zabijam tego, kto się mnie zaprze... Wróci we mnie, albowiem jestem jedna...

Cisza wielka zapadła na tę chwilę, kiedy mówiła ziemia; lecz się wraz podniósł niezmierny śpiew, jak kurzawa ku górze i drżał na wietrze, dzwonił w niezmiernej pustce, wołał i huczał, aż noc omdlała z rozkoszy, poczem nabrała oddechu i krzyknęła nagle przeczystym głosem nad wody i góry, nad drzewa i skały i szła wesółą jak dziecko, śpiewając do wtóru ziemi i drzewu.

Zadrżał, nagle wzniesieniem zdjęty rycerz przy zwodzonym moście na straży stojący i oczy przymknął, zapomniawszy o wszystkim; zawył gdzieś w borze dziki zwierz, czując, jak nim owładnęło omdlenie; przystanął zbójca, skradający się z nożem; umęczony wydawaniem wyroków książę wyszedł na mury zamkowe i stał się nagle dobry i łaskawy; oszalał złoty paż i skrada się po drabinie plecionej ze sznurów, zapomniawszy o śmierci; dziecko gdzieś zapłakało nagle cichym, cichutkim płaczem.

Księżniczka patrzyła przez małe okienko celi, zasłuchana w przedziwny, rozkoszny krzyk ziemi; i jak

człowieka, co wejdzie nagle w rozśpiewany tłum, pieśń porywa na swoje szerokie, huczące skrzydła i niesie, tak ją, bezwolną i drżącą, porwały jakieś przemożne siły wichrom szumiącym podobne, oderwały od ziemi i nieść poczęły powietrznym szlakiem, coraz wyżej i wyżej, aż do zatraty oddechu.

Świat cały śpiewał ponad nią i dookoła niej, a ona, leżąc na chmurze, lecącej jak orzeł z rozwiniętymi skrzydłami — rozpostarła ramiona, przymknęła powieki, a odetchnawszy, krzyknęła śpiewem z całej piersi:

— Rycerzu! rycerzu!

— Miłuję cię, wicherze! — zaśpiewała ziemia.

— Miłuję ciebie, ziemio! — odwodził wicher.

I znów lecieli na niezmiernych skrzydłach. Szał radosny objął płomieniem niebo i ziemię i radość upoiła wszystko żywe jak wino; więc księżniczka, z której dusza, zda się, wybiegła z ciała, aby lecieć na wicherze, rękoma rozdarła habit na piersi, a padłszy na wznak na posłanie, ukazała nocy piersi dziewicze i cudne, dyszące jak białe róże, na słonecznej spieczęcie śpiewać poczęła nieprzytomnie i tak głośno, że zadrgały mury celi:

— O, przybądź słoneczny i nienazwany... Jakże się zaprę mojej miłości?...

— Ohej! — krzyknęła radośnie ziemia.

— Niech się stanie cud i szaleństwo, o słoneczny, o promienisty...

— Ohej! — zaśpiewał wicher.

— Miłowałam cię w marzeniu, czemuś się ukazał oczom?... Rycerzu!

— Rycerzu! — oddźwiękło echo jak tysiąc dzwonów i potoczyło się osłabłe stokiem wzgórza.

W tejże chwili ktoś pchnął z ogromną mocą drzwi celi i z mroku wyrosła nagle wyniosła postać ksieni, opartej na wysokiej lasce, jak na królewskim berle.

— Gorze! — szepnęła ksieni i ręką zakrywwszy oczy, odwróciła się szybko; zniknęła na chwilę, poczem się ozwał stuk jej kija o drzwi najbliższej celi. Biała mniszka ukazała się we drzwiach błada jak widmo i drżąca jak liść.

— Pani! — jęknęła, osuwając się do kolan ksieni.

Twarz ksieni była straszna; oczy miała jakoby śmiertelnym zdjęte lękiem, usta zaś wykrzywione nieludzkim gniewem. Mówiła, tchu schwytać nie mogąc:

— Wstań!... Pójdź za mną...

— Dokąd pani? — pytała mniszka.

— Ujrzysz!... Spiesz się... weźmij bicz...

— Pani!

— Weźmij, bicz!

— Chryste Panie! — szepnęła biała mniszka; wyniosła po chwili bicz z celi i słaniając się, jak bardzo chora, szła za ksienią. Oparła się o ścianę, aby nie upaść, ujrzawszy otwarte drzwi do celi księżniczki, ją zaś samą, w śnie, czy też omdleniu leżącą, z rozdartym na białych, cudnych piersiach habitem.

Przerażenie zdjęło ją tak straszliwe, że kroku uczynić nie mogła i stała tak, jak trup zastygłszy, z rozszerzonymi oczyma.

— Umarła! — rzęsnęła wreszcie jękiem.

— Milcz! — rzekła ksieni cicho — uderz biczem!

— Pani!

— Uderz biczem! Przez pierś...

Biała mniszka bledsza niż śmierć, oparła się o mur, zsiniałemi wargami usiłując coś mówić; z tysiąca słów, które umarły na jej wargach, zanim z nich wpłynęły dźwiękiem, padło jedno wreszcie tak ciche, jak szelest i tak rzewne, jak łza i tak proszące, jak dziecko:

— Zmiłowania...

Ksieni zbliżyła twarz do jej twarzy i powtórzyła głosem, drgającym od niezmiernego gniewu:

— Uderz ją biczem przez pierś!

— Jezu! — krzyknęła biała mniszka i osunąwszy się nagle na kolana, poczęła całować nogi ksieni, jęcząc:

— Zmiłowania... zmiłowania...

Ksieni stała nieporuszona, dysząc ciężko, długo nie wyrzekłszy ni słowa. Była to pani mądra i wiele rzeczy widząca w ich wnętrzu, dlatego też na surowej jej twarzy jawił się wielokroć razy uśmiech zły i nienawistny. W tej właśnie chwili wypełznął gdzieś ze szczeliny warg i twarz całą naznaczył; zdawało się, że każde jej słowo, które teraz wyrzekła, owite było w ten uśmiech gorzki i gniewny. Mówiła:

— Niedługo już północ... Idź i uderz w dzwon, siostrom zaś powiedz, aby się zebrały w wielkiej sali, gdzie w ścianie jest skarbiec. Potem ją obudzisz, jeśli śpi lub jeśli nawet umarła... Bóg cię skarze, jeśli przemówisz do niej choćby słowo... Dasz jej czarne okrycie żałobne i przywiedziesz do sali. Odejdź!

Biała mniszka podniosła się z ziemi i opierając się rękoma o mur szła jak błędna; za chwilę dzwon klasztorny ozwał się dziwnym głosem, jakby nie mógł z siebie dobyć jęku, albo jakoby się bał dotknąć obojętnym sercem spizowej swej krawędzi; nie dzwonił, lecz łkał urywanym jękiem, gdyż ręce, targające sznur, omdlewały co chwilę. Rozbrzmiał w kamiennym

domu ten dziwny płacz dzwonu i wkrótce drzwi cel wszystkich się otwarły i gromada białych widm za-jaśniała w mroku.

— Czemu dzwonią — pytał cichy szept — wszakże jeszcze nie północ?

Podeszła ku nim biała mniszka i tłumiąc ciche łkanie, rzekła:

— O, siostry!

Otwarły się w przerażeniu senne wszystkich oczy.

— Czy to ty dzwoniłaś, biała mniszko?

— O, siostry!... — mówiła ona łkając — idźcie do wielkiej sali...

Milczenie nagłe, lękiem dzwoniące, padło na wszystkie siostry; pochyliły głowy bez słowa i powoli, długim szeregiem, jakby senne i nadmiernie umęczone, poszły przez mroczne krużganki, długie, jak nieszczęśliwe życie i ciche, jak wielki ból. W sali tej, o której powiedziała im teraz biała mniszka był zawsze mrok najgęstszy i najstraszniejsza cisza, tak straszna, że ją opuściło nawet echo, przeto każde powiedziane tu słowo ginęło w tejże chwili, bez pamięci.

Biała mniszka, z sercem ściśniętem jak w kleszczach, z głową opadłą na piersi, poszła po czarne, żałobne sukno, którem nakrywano trumny; potem, łyż

ocierając rękawem, powlokła się z trudem do celi księżniczki.

Księżniczka leżała w głębokiem uśpieniu, podobna martwej dziewczynce, która umierając, widziała szczęście, gdyż uśmiech leżał na jej ustach, jak wiśniowe kwiecie. Pochyliła się ponad nią biała mniszka i tłumiąc oddech, patrzyła na nią bardzo długo, potem westchnąwszy, pochyliła się bardziej jeszcze i ucałowała leciuchno jej oczy. Dreszcz nagły wstrząsnął ciałem śpiącej; otworzyła powoli oczy, jak wtedy, kiedy obudziła się w celi po raz pierwszy i uśmiechnęła się słodko, ujrawszy pochyłoną ponad sobą białą mniszkę.

— Siostro! — krzyknęła cicho.

Biała mniszka opuściła głowę na piersi, na którą padały ciężkie łzy.

Księżniczka przetarła rękoma oczy i spojrzała zdziwiona.

— Czemuś tu przyszła — szeptała — i czemu płaczesz?

Biała mniszka nie odpowiedziała ani słowa, tylko, odwracając oczy, podała księżniczce płat czarnego sukna.

— Co to jest, siostrzyczko? Siostro!... odpowiedz!... Czemu płaczesz?

Mniszka, mocą nadmierną tłumiąc łkanie, mówiła

jej tylko mokremi od łez oczyma, że się stało coś strasznego. Księżniczka obejrzała się dookoła zdumiona, jak człowiek, co z dalekich powrócił krajów i wygrzebuje ze szczelin duszy wspomnienia na widok rzeczy kiedyś znanych, potem nagle zbladła jak trup i szybko zakryła habitem obnażone piersi. Zabrzmiał w tejże chwili jej cichy, zdumiony, przerażenia i lęku pełen jęk, jak nagły krzyk załęknionego śmiertelnie ptaka.

— Na rany Chrystusa! — szepnęła szeptem, w którym zabulgotała krew.

Przymknęła oczy i stała tak długą chwilę, jak biały posąg, rzeźbiony w marmurze; wszystka krew spłynęła z jej twarzy, usta jej tylko drgały lekko, znak dając, że jeszcze w niej jest życie. Ogromny ból ujął tę drobną twarz, do anielskiej podobną, w swoją dłoń, strasznymi kleszczami gniotąc skronie, lecz ani drgnęła; więc sięgnął ręką w pierś i chwycił serce w szpony i gnieść począł, czekając, kiedy pęknie; przez jedną tę chwilę księżniczka była martwa, lecz kiedy okropny ból odejmować począł rękę swą od jej serca, którego nie zmógł, wschodzić zaczęła na białą twarz księżniczki jakaś niebiańska radość, jak uśmiech porannego brzasku wschodzi na blade niebo, a w serce jej, umęczone przed chwilą, napływać poczęła błogość, jak napój rzeźwiący spływa do złotej czary.

Uśmiech zajaśniał bladym promieniem na twarzy cudnej księżniczki.

Otworzyła oczy i ucałowała spojrzeniem białą mniszkę, drżącą jak na zimowym wicherze; potem, jakby wszystko zrozumiałwszy, wzięła z rąk jej czarne sukno, zarzuciła sobie na ramiona, skrzyżowała ręce na piersi i rzekła dziwnie słodko:

— Wszakże się miłość żywi męką... Prowadź mnie, siostrzyczko!

Biała mniszka spojrzała na nią wzrokiem tak pełnym miłości, jakiem patrzy słońce na czyste ludzkie serce, poczem, odwróciwszy się powoli, iść poczęła przez kurytarze, zasnutę nocą, swoją białością, sama sobie oświecając drogę, a za nią stąpała księżniczka, mrokiem czarnego płaszcza nakryta. Księżniczka nie myślała o tem, dokąd ją wiodą, lecz drgnęła, kiedy biała siostra położyła rękę na rzeźbionej, wielkiej kłamce potężnych drzwi, które się cicho rozwarły.

Ogromna, sklepiona sala, dyszała mrokiem, chłonną olbrzymią, swoją paszczą strawę światła, które płynęło nieustanną strugą z woskowych świec, osadzonych w potężnych lichtarzach; w podobnej sali sędzi święty biskup w książęcem mieście sprawy jego należące mocy i w podobnej zasiada na sądy sam książę, czerwonym okryty płaszczem, na znak, że może

wytoczyć krew, jeśli mu tak rozkaże sumienie. W takiej oto sali, na dębowem krześle, jak na twardym, surowym tronie, siedziała teraz wspaniała ksieni, w rękach trzymając różaniec. Błysk nagły świecy spłoszył z jej ust zły uśmiech i ukazał go załęknionym mniszkom, które siedziały na ławach po obu stronach dębowego krzesła.

Oddech nawet nie zmącił ciszy, kiedy blada jak śmierć biała mniszka, przeszedłszy całą salę, skłoniła się głęboko przed ksienią i głosem, dziwnie drgającym rzekła:

— Otom ją przywiodła!...

Przerażenie padło na siostry; westchnęła któraś cicho, a inna znów, twarz ukrywszy w dłoniach szeptać poczęła szybko:

— Bądź jej miłościw, Boże! Boże! Boże!...

Modliła się inna szeptem warg:

— Nie znam jej winy, lecz czyż może zawinić kwiat? Ulituj się nad nią, Panie miłościwy... Oto jej oczy są oczyma dziecka, a dusza podobna duszy gołębia... O, Panie wielki.

Szeptala inna przerażeniem oczu:

— W oczach jej jest niebo, a słońce w piersiach nosi. Jeśli popełniła grzech, tedy go popełniła w obłądnie. Ratujcie ją aniołowie niebiescy!...

Księżniczka, stała nieruchomo, ręce skrzyżowawszy

na piersiach; oczy miała zamknięte, lecz się z pod powiek dobywał promień szczęśliwego uśmiechu, jak przez niedomknięte okienice dobywa się chyłkiem słoneczna poźłota.

— Ukłęknij! — rzekła głośnie ksieni.

Wtedy ona, jakby w śnie słuchając, przyklękła na oba kolana i pochyliła nisko cudną głowę, na którą padł niespokojny, nasycony złotem blask pobliskiej świecy.

Ksieni przeżegnała się krzyżem świętym i mówić poczęła głosem twardym i bezlitosnym:

— Wie Bóg, co uczyniła... Grzech jej nie ma równego sobie... Przeto słuchajcie siostry: nie widziały moje stare oczy większego zła, które doradził jej szatan, sługa nocy. Mocą władzy mojej zadam jej pokutę, która nie jest wielką, albowiem grzech jej był po stokroć większy...

— Boże! bądź jej miłościw! — szeptały mniszki, blednąc w mroku.

A księżniczka głowę jeszcze niżej pochyliwszy, szeptała niesłyszczanym szeptem:

— Dla ciebie rycerzu święty, dla ciebie...

— Od dziś — mówiła głośnie ksieni — żyć będzie w ciemnicy...

— Dla ciebie królewiczu bez zmayı...

— Ratujcie ją aniołowie niebiescy...

— ...W lochu klasztornym...

— Jezu! — jęknęła szeptem biała mniszka.

— Cóż mi męka, o jasny, o święty!... — drgał szept.

— Życ tam będzie tak długo, jak długo potrzeba, aby wyrósł z ziemi krzew róży...

— Rycerzu! cudny rycerzu!

— Oto jest — mówiła ksieni — ziarnko z mojego różańca, który uczyniono z różanego drzewa. Niech je wetknie w doniczkę i podlewa łzami tak długo, aż z tego ziarnka wyrośnie krzew różany. Niech nie widzi słońca tak długo, aż na tym krzewie rozkwitnie róża...

Zdawało się, że niespokojne płomienie świec zamarły nieruchomie, taka zgroza powiała po ciemnej sali; przestały bić wszystkie serca i nie słychać było ani szelestu, jaki wydają wargi, kiedy człowiek modli się tajemnie.

Trwała ta cisza niezmierna tak długo, jak długo człowiek może zatrzymać oddech w piersi, gdyż nagle lęk, który zapadł we wszystkie piersi, westchnął tak strasznie, jakby się wszyscy obudzili z pozornej śmierci.

Wtem, wśród wielkiej ciszy, ozwał się jasny głos księżniczki:

— Pobłogosław mnie święty rycerzu!

— O rycerzu mówi... — szepnęły przerażone siostry.

Wtedy ksieni podniósłszy się nagle, krzyknęła wielkim głosem:

— Precz! Szatan ją opętał...

Biała mniszka, cisnąc rękoma zbyt głośno bijące serce, przekradała się wzdłuż murów po zachodzie słońca, które tego dnia było blade i bezsilne. Siostry poszły na spoczynek, aby powstać o północy i zwlec się na modlitwy, długie jak droga pod górę i smutne, jak jesienny dzień. Czuwały tylko gwiazdy, patrząc sennie na sprawy nocy i wiatr, włóczęga wieczysty i wieczysty tułacz, płochliwy jak ptak i zalękniony, jak zły człowiek. Zerwał się, przyczajony pod murem, usłyszawszy szelest idącej mniszki i przysiadł w oddali pod sklepieniem, ciężkiem jak grzech.

Mniszka przystanęła, usłyszawszy szmer: to nic, to powiew wiatru potrącił liście, które sam kiedyś zniósł jakby gniazdo sobie ścieląc, z poza klasztor-
nego muru i które wnet uwiędły na klasztor-
nym dziedzińcu i teraz drżały zalęczone za każdym pod-
muchem. Klasztor spał czujnym snem człowieka, który

zasypia na krótko i śpi niespokojnie; więc szła dalej ostrożnie, raz w raz odwracając głowę, przerażona białością własnych szat, które jaśniały w mroku anielską bielą. Weszła w tejże chwili w długi krużganek, w ciemną dal wiodący, tak długi, jak powieść o smoku i tak pusty, jak serce ludzkie po szczęśliwej dobie; wyciągnął się jak wąż i spał. Biała mniszka obejrzała się szybko, potem uczyniwszy na piersiach znak krzyża, wbiegła weń i zadyszana iść poczęła, własnego nie czując serca. Zdawało się jej, że każda, dziwnie kręcona kolumna, z owych wielu, na których spoczywał strop krużganka, zwija się w ramię i że ją każde chwyta za ręce i za gardło, zatrzymując siłą; tedy poczęła biec, jak człowiek, który poczuł poza sobą pogoń, oczy przymknąwszy od nadmiernego wzruszenia.

Pogoniło za nią echo jej własnych kroków, jak wężący, wciąż naszczekujący ogar, który w boru dopada łanię; lecz już przebyła krużganek i dopadła cichego podwórza, opasanego dookoła murem, tak wysokim, że tylko gwiazdy patrzyły przez jego szczyt, którego nie mógł dosięgnąć rycerz na rosłym nawet, bojowym siedzący koniu. O mur się oparła, dysząc. Osłabła, jak gdyby po drodze długiej i pełnej niebezpieczeństw, zaś rękoma uciszała serce rozkrzyczane z przelęku, trwożąc się, aby nie omdlało i nie opadło

ze sił, pętając jej niemocą nogi, tak, żeby powrócić nie mogła. Dreszcz ją przebiegł na samą myśl, a przed oczyma błysnęły jej jak węże krwawe pręgi; nagły lęk orzeźwił ją jak chłód, więc wypatrując oczy, poczęła błądzić po podwórzu, szukając zamkniętego kratami przyziemnego okna ciemnej celi, w której zamknięto księżniczkę. Uklękła przy murze i tak wlokąc się na kolanach, jak czynią pielgrzymi, święte przed sobą ujrzawszy schody, posuwała się powoli, szukając krat rękoma. Znalazła je wreszcie. Wtedy cicho, tak bardzo cicho, jak nawet nie szmerze fala, szepnęła, twarz do rdzawych przytuliwszy krat:

— Siostrzyczko!

I serce w niej zamarło.

Kiedy umiera człowiek, wielką mający zwierzyć tajemnicę, wtedy ktoś, kto jej pragnie, twarz do jego nachyla ust i słucha nie uchem, lecz całym sobą; tak nasłuchiwać poczęła biała mniszka.

Nikt nie odpowiadał.

Przeto szeptem głośniejszym, lecz jeszcze takim, który może być przypodobany jedynie do pajęczego przędziwa, zawołała:

— Siostrzyczko!

Gdyby można ujrzyć słowo ludzkie, ujrzałby człowiek, że słowo białej mniszki miało kształt serca

i pełne było gorącej, niespokojnej, cudnej krwi, podobnej świętemu winu.

Ważąc się, jak cicho lecący ptak na skrzydłach, zapadł szept w czeluść poza kratami; więc najpierw cisza, stękająca i mrukliwa, jak stary zrządzający oddźwięwny, wyrzała z poza krat i powróciła znowu w czeluść, jak sługa, który idzie budzić śpiącego pana, bowiem gość się pojawił przed zwodzonym mostem, potem zasię cichutko szept podniósł się z ciemności i chwyciwszy cudnemi rękoma rdzawych krat okna, trwał tak, drżąc. Zaśpiewał szept:

— Kto mnie woła?

— Siostrzyczko! — krzyknęła biała mniszka, a ostrożna noc, spraw tajemnych świadoma, szybko i gniewnie nakryła głośnie słowo rękoma, aby się nie rozdzwoniło, obłąkane radością, jak dzwon, śpiewający o poranku.

— Jam jest... jam jest!... — szeptała biała mniszka, a słowa te były bardzo ciężkie, gdyż padając w czeluść, wlokły za sobą łyzy.

Błyskiem przedziwnym rozjaśniła się jedna chwila takiej niebiańskiej piękności, że wśród niej prochem i pyłem jest najpiękniejsze słowo ludzkie; chwila taka rodzi się z łez szczęśliwych, a trwa krótko, bowiem nie zniosłaby dusza ludzka takiego światła i musiałyby oślepnąć ludzkie oczy. Jeśli się urodzi we dnie,

w blasku słonecznym, świat ciemnieje, kiedy przemienie, a słońce świeci blade, jakby zasnuté mrokiem. Oto w chwili takiej człowiek spełnia największy czyn swego żywota, albo też umiera i dlatego wielu ludzi umarłych ma uśmiech na ustach. Mówią ludzie nieszczęśliwi, że chwila ta jest szaleństwem szczęścia, mówią zasię ludzie źli, że jest kłamstwem; ludzie, którzy jej pragną, schną w tęsknocie, którzy w nią zwątpili całują straszne, cudne, złe, trujące usta melancholii. O, chwilo!

Przymknęła nagle oczy biała mniszka i tylko usta jej drżały w nadmiernem wzruszeniu, pierś zaś, bujna i pyszna pierś dziewicza wznosiła się powoli, dźwigając brzemień szczęścia, jak morze, rozradowane i szczęśliwe w chwili wieczornego przypływu; zdawać się mogło, że z niej dusza wyszła na moment i weszła w czeluść, aby ucałować usta księżniczki, teraz zaś powraca i wkrótce w smutek zapadnie, że wrócić musiała. Powiała noc chłodem i zbudziła białą mniszkę, która z nagłą, jeszcze silniej twarz do krat przytuliwszy, zaczęła mówić tym szeptem, co się przewala jak gorący war, tym, którym mówią kochankowie i zdrajcy:

— Jam jest!... jam jest!... wszyscy śpią... czekałam, aż ksieni uśnie... Modliła się długo jeszcze, lecz ją sen zmorzył... O, siostrzyczko!... Czy spałaś?

Odrzekł szept:

— Czy można spać i płakać?

— Nieszczęśliwa...

— Skąd wiesz? — odpowiedział szept — czy widziałś szczęście?

— Siostrzyczko!

Biała mniszka czuła na ustach rdzę krat; oczy rozwarła szeroko, patrzyła długo, potem mówić poczęła wśród łez:

— Nie mogę cię dojrzeć, siostro... chora być musisz, jak uschnięty kwiat, o Boże miłosierny!... Mów do mnie, ujrzę chociażby twoje słowa i po ich twarzy poznam, czy omdlałaś w smutku... Mów do mnie, siostrzyczko najmiłsza... O, mów, o, mów!.. Nie widzę cię, a zdaje mi się, że słyszę jak padają twoje łzy. Czy ty płaczesz?

Nikt nie odrzekł.

Biała mniszka oczy przymknęła, jak ktoś, komu nagle niezmierny ból przeszył serce.

Mówiła:

— Trzydzieści już razy zadzwonił dzwon na jutrznię, a tyś nie wyszła z celi... Czy płaczesz, księżniczko?

Nikt nie odrzekł.

— Trzydzieści razy leżałam krzyżem w kościele i błagałam Boga, aby się nad tobą zlitował. Przy-

szałam cię zapytać, czy był w twojej ciemnicy anioł
boży, wymodlony przezemnie?

Nikt nie odrzekł.

Noc, zda się, w jeszcze straszniejszą niż wprzód
zapadła ciszę, słuchając tajemnej rozmowy.

— Trzydzieści już razy chciałam tu przyjść przed
północą, kiedy śpią wszystkie i dziś mi się dopiero
udało... On mi pójść kazał...

— Kto? — ozwał się szept tak przejmujący,
jak najokropniejszy krzyk.

— On! — szepnęła powoli biała mniszka —
rycerz bez zmazy... Co ci jest, siostrzyczko?... Czy
ty płaczesz?

— Płaczę... — odrzekł szept wśród łkania.

Wtedy rozpoczęła biała mniszka opowieść, je-
dną z najdziwniejszych, jakie słyszał kiedykolwiek
człowiek:

— Dziś pod wieczór uklękałam przed nim..
Bachmat jego cały był w ogniu, a kopyta miał we
krwi, gdyż słońce weszło w kościół przez okno...

— O, mów, mów!...

— ...Szyszak miał cały we złocie, a tysiąc pro-
mieni na nim, jak pióropusz...

— Siostro!

— ... Zdarł konia, jakby gniewny i zdumionemi
oczyma wodził po kościele, ciebie szukając...

— Chryste Panie!

— Siostrzyczko! Noc słucha, mów ciszej... Oto ci powiem wszystko... Patrzył długo i brwi zmarszczył... Konia tak ściągnął gniewną ręką, że krwawa piana pociekła mu z nozdrzy... Ujrzawszy mnie, wpił się we mnie oczyma... Wtedy mu, jakby się modląc, powiedziałam wszystko...

— Rycerzu!...

— Powiedziałam mu, że w ciemnicy płakać masz tak długo, jak długo z różanego ziarnka nie wyrośnie krzew róży...

— Rycerzu!...

— Wtedy on pobladnął nagle i oto przysiądz mogę, że z jego oczu popłynęły dwie łzy. Rzekłam mu: nie przystoi wam, święty rycerzu płakać, jak niewieście...

— Mów, o mów... prędezej! prędezej!...

— A on w tej chwili podniósł oczy ku niebu, jakby się modlił, kiedy zaś organy zagrały, zdawało mi się, że się szybko ku mnie nachylił z konia i szepnął: »idź do niej i powiedz, że ją miłuję«...

— Chryste Panie!

— »... I że się rycerskim klęk słowem, jako ją wybawię: tak mi Boże dopomóż!«

Płacz szczęśliwy, a tak cichy, jak smutek, ozwał się z ciemnicy; potem szept wśród łkania:

— Powiedział, że mnie wybawi?

— Tak, siostrzyczko!

— I powiedział, że mnie miłuje?

— Tak, siostrzyczko!

— Powiedz to raz jeszcze.

— Powiedział, że cię miłuje i że cię wybawi —
rzekła biała mniszka, jak gdyby uroczyście wśród
wielkiej nocnej ciszy.

A po chwili:

— Siostrzyczko! Czy pragniesz czego?

Odrzekła z głębi księżniczka:

— Pragnę, abyś ty była tak szczęśliwa, jak ja
nią jestem...

— Niech ci Bóg zapłaci! Powiedz mi, co mogę
uczynić, aby umniejszyć twą niedolę?

— Bluźnisz!

— Siostro!

— On powiedział, że mnie wybawi... Cóż może
twoja ręka?

— Tak, on powiedział... — powtórzyła cicho
biała mniszka, jak gdyby pełna nabożnego lęku.

I obie, jak gdyby rozmyślały nad czemś, za-
milkły na chwilę, patrząc we własne dusze, tak czy-
ste, jak najbielszy kwiat i tak jasne jak gwiazdy.

— Biała mniszko! — szepnęła cicho księżni-
czka — jeśli mnie miłujesz, powiedz mi, co widzia-

łaś oczyma; ja widzę tylko noc i białą rękę siostry, która mi przynosi chleb i wodę.

— Pytaj, siostrzyczko...

A księżniczka, jakby przypominała sobie długą chwilę, milczała; rzecze potem:

— Czy jest jeszcze słońce?

— Jest — szepnęła mniszka — było przed niewielu dniami w mojej celi i przez chwilę odpoczywało na podłodze... Uklękałam i całowałam złote ślady..

— A gwiazdy świecą?

— Świecą, siostrzyczko. Niedawno spadła jedna i umarła, zanim dotknęła ziemi...

— A czy przeleciał kiedy ptak ponad klasztorem?

— Ptak? — przypominała biała mniszka — nie, nikt dawno już nie widział ptaka.

— Dziwne, dziwne... I bramy są zawsze zamknięte?

— Otwierano je niedawno... Ktoś pukał...

— Człowiek?

— Tak, człowiek, lecz podobno obłąkany; mówił, że jest mędrce i naucza.

— Co mówił, biała mniszko?

— Mówił, że życie jest cudem, a cierpienie jest grzechem; ksieni kazała z łańcuchów spuścić psy, aby go od bram odegnąć.

— Dziwne, dziwne... Mów mi jeszcze biała mniszko... Powiedz mi, co czyni cudny paż w prawej kaplicy?

— Siostro!

— Jest piękny jak kwiat... I jak miłość...

— Siostro!

Nagły jęk ozwał się wśród nocy.

— Na Boga! — szepnęła biała mniszka — to dzwon... Bądź zdrowa, siostrzyczko...

— Zaczekaj... jeszcze słowo... powiedz mu...

— Mów czempredzej...

— Powiedz rycerzowi, że go miłuję...

— Powiem... — Bądź zdrowa!...

— Och, zaczekaj! Powiedz mu, że go miłuję na śmierć...

— Dzwon dzwoni!...

— Siostro! siostro!

Dzień skończył z taką cichą słodyczą, jak święty męczennik, który wielkie spełniwszy dzieło, odchodzi śpiewający w mrok śmierci, z zieloną gałęzią w dłoni. Grając na tysiącach cichych, ledwie drżących gęśli nadciągała pyszna, bujna noc wiosenna, pijana przeczuciem rozkoszy, lekkomyślna jak ów poeta z wielkiego miasta, który ucałował usta złej potwornie a cudnej donny, wiedząc, że są umazane trucizną. Tysiąc szumów powiało z lesistych wzgórz, tysiąc kwiatów buchnęło zapachem ku gwiazdom, błyskającym w oddali jak rozbawione, zapalone błyskiem radości oczy dziecięce. Śmiały się w wieczornym mroku bielą kwiecia osypane gałęzie, które kosmaty wiatr całował oślizgłymi wargami; milczały miłośnicie zadumane wody, nie chcąc spłoszyć gwiazd, po toni wędrujących; huczał tajoną, poważną radością las omszałych buków, jak gromada sędziwych, broda-

tych rycerzy, którym nie przystoi śmiech pusty, byle z czego; w dziwne omdlenie zapadła ziemia, umęczona jak kobieta po wielkiej rozkoszy, uśmiechnięta przez sen, który jej wróży błogosławieństwo owocu; przeto legła bezwolna i tysiącem woni wonna, a noc objęła ją miłością, wpatrzona w nią oczyma głębokimi jak morze.

W serca ludzkie spłynęła słodycz i błogość i omdlały zarówno, zadumane o sprawach tajemnych.

Dzwon klasztorny, ujrawszy, że słońce zapadło za las, na wyniosłem wzgórzu dumnie rozparty, krzyknął dźwięcznie, a głośno, jakgdyby w trwodze, że słodkie dusze białych sióstr zapamiętają się w uroku przedwieczornej chwili i zapomną modlitwy. Wołał tedy uporczywie, jak czujny strażnik i nielitościwy, serce mający ze spiżu.

Oto już idą szeregiem, oczy wpół przymknawszy, nieme i ciche; ostatnia idzie ksieni, bystro naokół patrząca i nasłuchująca każdego szelestu.

Już miały wejść w drzwi kościoła, kiedy się nagle stała rzecz dziwna: oto jedna z sióstr, której nie było w gromadzie, wybiegła z mroku dziedzińca i ujrawszy ksienię, poczęła biec ku niej szybko, jakby w przerażeniu. Przystanęły mniszki i zbiły się jak białe owce, pojawiawszy, że się stało nieszczęście. Siostra przybiegłszy do ksieni, nie skłoniła się nawet, lecz

mówić poczęła szybko zdyszanyym głosem, który jednakże nie wróżył nieszczęścia, bowiem słowo każde rozpierała radość, jak wzburzony, rwący nurt.

— Pani! — krzyknęła siostra.

Ksieni spojrzała szybko i ściągnęła brwi.

— Czego chcesz? — rzekła — skąd powracasz?

Siostra mówiła zdyszana:

— Kazałaś mi, pani, nosić co wieczór chleb i wodę księżniczce...

— Boże Wiekuisty! — szepnęła w gromadzie biała mniszka i oparła się o ramię którejś z sióstr, aby nie upaść.

— Wiem o tem, — rzekła ksieni — czy przysłaś mi powiedzieć, że umarła?

— Pani!

— Jeśli nie umarła — mówiła ksieni — czemu zatrzymujesz mnie i siostry, idące na modlitwę? Odejdź precz!

— Pani dostojna! — szepnęła siostra — stał się cud!

Ksieni uczyniła nagle krok ku niej i spojrzała jej w oczy wzrokiem zagnęła rozgorzałym, a tak przejmującym, że siostra powoli uklękała.

— Powtórz! — rzekła mocnym szeptem ksieni.

— Pani! — szepnęła siostra — powiedziałam,

że stał się cud, o jakim nie słyszał nigdy nikt od początku świata...

— Szaleństwo! — rzekła ksieni — czy i ciebie opętała zła moc?

— Dostojna pani, widziałam na własne oczy...

— Czy i oczy twoje oszalały? Co widziałaś?

Siostra podniosła się z klęczek i jakby nagle nabrawszy odwagi, zawołała głosem donośnym:

— O, pani! o, siostry moje! Byłam w ciemnicy księżniczki i widziałam cud... Weszłam milcząca, jak co wieczora, odwracając głowę, albowiem nie mogłam patrzeć na siostrę moją od wielu dni nieustannie płaczącą. Kiedy przestąpiłam dziś drzwi ciemnicy, nie usłyszałam żadnego głosu... Myślałam, że umarła, albo śpi... Pochyliłam się ponad nią i nagle ogarnęła mnie niezmierna woń róży... Niech będzie pochwalone imię Pana Chrystusowe!... Księżniczka tam leży omdlała, zacisnąwszy w rękach krzew różany tak cudny, jakiego we śnie nawet ujrzyć nie można...

— Hosanna! — zawołały siostry.

Ksieni uderzyła w nie wzrokiem, jak pasterz biczem uderza w trzodę owiec, co się rozbiegły; więc umilkły, zaparłszy oddechy, wielkiem załęcznione szczęściem, napojone cudem, jak winem. Tylko biała mniszka załkała cicho, albowiem szczęście jej było większe, niż jej pierś.

Twarz ksieni powlokła się nieprzebitą chmurą, a ręce jej drżały tak mocno, że je zacisnęła wkoło laski.

Wszystkie oczy spoczęły na jej twarzy, starając się promieniami spojrzeń dotrzeć w głąb chmury i ujrzeć tajemny zamysł. Nikt go nie dojrzał, więc wszystkie usta, modląc się, drżały niespokojnie.

Wtem ozwał się głos ksieni:

— Niech cztery z was pójdzie do ciemnicy... Niech przywiodą księżniczkę... Niech przyniesie z was jedna ów krzew różany, dzieło szatańskie... Prędszej!... Noc zapada... Żle jest z szatanem walczyć w ciemności... Do kościoła!

Cztery białe siostry odłączyły się od gromady i zginęły w mroku, inne weszły w kościelną nawę, dziwnie radosne, siłą dławiące gardła, aby się nie rozkrzyczało w świętem miejscu ich niezmiernie szczęście.

Padły na kolana, lecz nikt się nie modlił; białe ich dusze poszły za czterema siostrami do klasztornej ciemnicy. Biała mniszka klęczała błada śmiertelnie i modliła się łzami; kościół się cały rozświecił i napełnił jakimś niezmiernym blaskiem, który padł na nie wszystkie; woskowe, długie świece, które płaczą zawsze długim strumieniem łez, żółtych od palącej bolesti, jaśniały teraz cichem, niezmaconem, radosnem,

kojącem światłem. Oto w tę mroczną nawę weszło, przebrane chyba za mniszkę, ciche, smutne szczęście: ciche, albowiem szczęście umiera, ugodzone w pierś krzykiem, smutne, albowiem każde szczęście jest smutne przeczuciem śmierci; zimny zawsze mrok kościoła stał, zda się, otarłszy się o rozplamienione i w słońce rozbłyśnięte dusze sióstr, podobnych w tejże chwili do kwiatów, które szeroko ogniste swoje rozwarły korony.

Hosanna! hosanna!

Oto się modliła siostra, zawsze smutna:

»...Umarło na świecie wszelkie szczęście... Czy doświadczasz, Boże Wiekuisty, ukazawszy bladą jego twarz, dawno umarłą?

Są tu dzieci prawie i uwierzą... Są tu pragnący i uwierzą...

Nie wódź nas na pokuszenie... Panie!... Panie!... Panie!...«

Modliła się inna, młoda bardzo, podobna lilji, co się pod wieczór rozchyła:

»...Jeśli z cierpienia rośnie różany krzew, dziwo niepojęte, daj mi cierpieć, o, Panie! A jeśli śmierci potrzeba, aby ostatnim oddechem przywołać szczęście, poślij ją do mojej celi...«

Mówiła szeptem warg biała mniszka:

»...O, rycerzu chrześcijański!... o, rycerzu słone-

czny i bez zmaży, święty i jasny! Czyś ty słońcu rozkazał wejść do ciemnicy, czy sercu? Otom jest szczęśliwa i czołem przed tobą uderzę i włosami zamiotę pył z pod kopyt twojego konia... Hosanna, o rycerzu najpierwszy w świecie!...«

Skrzypnęły w tejże chwili drzwi kościoła i orszak, śmiertelnemu podobny, wszedł w nawę. Cztery mniszki niosły na rękach ostrożnie księżniczkę, która cisnęła do serca krzew różany z pysznem, niezmiernej piękności kwieciem u szczytu; róża była podobna płomieniowi, albo krwi.

Kościół cały nappełnił się wonią róż.

Spojrzały zdumione siostry i szept najtajniejszy zamarł im na wargach: oto siostra księżniczka blada była śmiertelną bladością ludzi umarłych, raczej widmu podobna, niż człowiekowi; w twarzy jej, bielejszej od śniegu, nie było kropli krwi, a dłonie były przejrzyste. Oczy miała zamknięte, lecz żyła, bowiem usta jej drgały w chorym oddechu; nachyliły się przerażone siostry, które ją niosły, nie czując ciężaru, zdawało się im bowiem, że coś szepce.

— Chce mówić! — rzekła jedna wśród łez.

I słuchały, na chwilę przystanawszy.

— Czy pragniesz czego siostro?

— Tak! — ozwał się szept, podobny kwileniu konającego ptaka.

— Powiedz, siostrzyczko, słuchamy...

Księżniczka zbierała siły, pierś z trudem podnosząc; wreszcie, powiek nie otworzywszy, szepnęła:

— Zanieście mnie...

— Mów, mów!...

— Zanieście mnie przed ołtarz świętego rycerza...

Spojrzały na siebie siostry zdumione, lecz bez słowa poniosły ją przed ołtarz, na którym stał kamienny, cudny rycerz.

Nie wiedząc, dlaczego ją tam niosą, powstały z klęczek wszystkie siostry i otoczyły ją kołem; biała mniszka straszniej jeszcze pobladła i chwiejnym krokiem podeszła również w tę stronę, oczu nie śmiejąc podnieść w górę. Siostry ułożyły ją na ziemi, dwie zaś z nich ukląkszy, podtrzymywały ją pod ramiona, jak się czyni z człowiekiem bardzo chorym i bezsilnym.

— Ksieni! ksieni! — pobiegł nagle szept.

Rozstały się siostry, czyniąc miejsce dostojnej ksieni, która podszedłszy, patrzyła na nią długo i przenikliwie.

Rzekła wreszcie:

— Czy żyje jeszcze?

— Tak! — szepnęły siostry.

— Kazałam, aby jedna z sióstr przyniosła ten chwast. Czemu go jej nie wzięto?

Przybladły cztery siostry, jedna zasię odpowiedziała:

— Nie można było wyjąć świętej róży z zaciśniętych jej dłoni...

— Milcz! — szepnęła ksieni — ta róża nie jest świętą. Czemuście tu ją przyniosły?

— Prosiła o to...

— Więc mówi? Księżniczko! — krzyknęła nagle ksieni tak donośnie, że echo odpowiedziało jej, zerwawszy się nagle z ciężkiego snu pod sklepieniem chóru.

Zamarty wszystkie oddechy; zdawało się, że czekają wszyscy, czy się obudzi umarły.

Księżniczka oddechala z trudem; widać było, że czyni niezmierny wysiłek, aby podnieść powieki. Chwila była okropna.

Jak człowiek, który spał nieprzerwanym snem przez wiele nocy, budzi się wreszcie z niezmiernym trudem, sił mając za mało, aby unieść ołowiany ciężar powiek, tak księżniczka z bolem widocznym otwarła powoli oczy, dziwnie senne, a tak cudne i tak promieniste, jakgdyby niemi nie patrzył człowiek żywy.

Powiał cichutki szept:

— Słucham cię, pani...

— Co ona mówi? — spytała ksieni.

— Mówi, pani, że cię słucha...

— Księżniczko, — rzekła głośno ksieni — czy możesz mówić?

Piers księżniczki podniosła się kilkakroć z trudem.

— Mogę!... — odrzekł cichy, słodki szept.

— W imię Chrystusa Pana pytam ciebie: czy możliwem jest, aby róża ta wyrosła z różańcowego ziarenka? Czy tak było?

— Tak! — ozwał się szept.

— Chryste Panie! — krzyknęły siostry.

Ksieni pobladła; oddechała ciężko, a palce kurczowo zacisnęła wkoło laski.

— Chce mówić, chce mówić! — szepnęły siostry.

Pochyliły się wszystkie ponad nią, łowiąc szelest każdego oddechu. Księżniczka raz i drugi poruszyła ustami, potem zaczęła wymawiać słowa urywane:

— ...Ziarno było w ziemi... Płakałam dzień i noc... Modliłam się tylko, aby mi nie zabrakło łez... Przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy... Bóg nie chciał...

— Jezu! — szepnął ktoś.

— ...Wreszcie mi powiedział, że mnie wybawi...

— Kto!?

— Powiedział i przysiągł...

— Kto, przez Boga, kto?!

— Tejże nocy ujrzałam krzew, wyrastający z ziemi... Wylałam wszystkie łzy... Krzew rósł i rósł... Dziś zakwitła róża... Łzy były krwawe, przeto róża jest pełna krwi... Sił mi brakło, lecz łzy jeszcze płynęły... On to sprawił...

Ksieni pobladła jak widmo; pochyliła się ponad nią i głosem chrapliwym i złym spytała:

— W imię Boga żywego odpowiedz, o kim mówisz?

Cisza jęknęła przerażona.

— O nim! — szepnęła księżniczka i podniosła oczy, wskazując bladym spojrzeniem na posąg świętego rycerza.

— Św. Jerzy! — szepnęły siostry.

Ksieni chwyciła się ręką za pierś, potem nagle, w nieprzytomnym obłędzie, podniosła w górę czarną swą, żelazem okutą laskę, aby nią uderzyć. Krzyknęły siostry przerażone i, niczego już niepomne, chwyciły ją za ramię.

— Pani! Ona umiera!...

Księżniczka zasię, jakby nie widząc niczego naokół, tylko cudny posąg, podniosła się na ramionach siostr i wyciągnęła ręce, w których trzymała krzew różany.

Mówiła:

— ...Jemu go oddaję... Tobie, rycerzu... Oto ci

oddaję nie różę, lecz serce, wszak moja krew jest w tym kwiecie... O, siostry!... Wiedźcie, że go miłuję na śmierć... na śmierć...

— Gorze! — krzyknęła ksieni — zabijcie ją!

— Umiera! — krzyknęły przerażone siostry.

W tejże chwili stała się rzecz tak dziwna, że jej nie pojmie rozum ludzki.

Zdawało się, że kościół zatrzęsł się w posadach, a tysiąc błyskawic uderzyło w okna. Oto święty rycerz rozbłysnął nagle jak pożar, zdarł bachmata i skoczył z ołtarza, jak w przepaść; nachylił się z siodła, ujął szybko prawem ramieniem konającą księżniczkę, która ostatniem wołała go tchnieniem, przycisnął do piersi i krzyknął. Musiał równocześnie złote ostrogi wbić w boki rumaka, gdyż bojowy, biały jak mleko ogier runął przed siebie, jak wichr.

Skamieniały mniszki, krzyknąć nawet niezdolne.

Lęk padł na kościół.

W oddali słyhać było tętent.

Nagle ogromny krzyk rozdarł powietrze:

— Siostro! siostro!

To biała mniszka wyciągnęła przed siebie ręce, zanim omdlała.

Rycerski, wspaniały bachmat świętego rycerza przesadził wysoki mur klasztorny i aż przysiadł na zadzie, dotknąwszy kopytami wilgotnej ziemi. Zarżał głośno i tak radośnie, że mu echo radośnie odpowiedziało, poczem poczuwszy, jak szlachetny rycerz boki mu kolanami ścisnął i złotem lite cugle zupełnie niemal puścił, wyciągnął się w nagłym pędzie jak sarna, co głos ogarów tuż za sobą posłyszeli.

Świsnął wiatr, jakby żaków sposobem palce do ust włożył i nie wiedząc, co się stało nagle wśród spokojnej nocy, gnać począł śladem białego rumaka, budząc po drodze przeraźliwym świstem drzewa i krzewy; gonił, węsząc przy ziemi i szukając śladów, które jako żywo, były złote. Rumak rycerski, przez wiele wieków wypoczęty, upojony świstem wiatru, przerażony nocą, gnany rozkoszą pędu, podniecany cichym krzykiem rycerza pędził tak szybko, jak

pierzasta strzała i rwał przed siebie jak ognista raca, pełna złocistych skier i błysków, jaką mogłeś ujrzyć w owym czasie na dworze bogatych książąt w dniach wesela. Przesadził w szalonym skoku rzekę, mignawszy świetnem odbiciem w jej śpiącej toni i wpadł w las, jak burza. Zerwały się przerażone ptaki, ośleple nagle od nieznanych błysków, zaszumiał stary las nieporadnie mruczając słowa porannej swej modlitwy, zdumiony, że tak wczesnie wstało słońce.

Rumak gnał przez gęstwę drzew, ziemi nie tykając, przesadzał parowy i wądoły, piersią rwąc splątane gałęzie przyziemnych krzewów i giętkich leszczyn; a las, ujrawszy, że to nie słońce oszalałe tak pędzi, lecz na pysznym bachmacie goni złoty rycerz, cisnący w ramionach dziewicę nieporównanej i nieziemskiej piękności, tak białą, jakgdyby umarłą, krzyknął nagle tajemnym krzykiem, a stare, dumne buki na drodze rycerzowi stojące, ustępować poczęły z drogi, jakby przejście czyniąc, kładły się paprocie i leszczyny na ziemię, aby nie wstrzymywać pędu, którądy zasię przebiegł rycerz, tam las się zamykał, jakby na ściągaj, jakby rozumnie czyniąc, pogoń chciał udaremnić.

Święty rycerz usta zacisnąwszy, zmarszczył brwi, tak, że się zbiegły na czole, podwójne sklepienie czyniąc nad oczyma i patrzył przed siebie orlim, bystrem, czujnym wzrokiem, wypatrując przepaści, które

przesadzić należy, albo rzeki, albo skał. Kiedy ujrzał na drodze przeszkodę, wtedy silniej przyciskał do piersi księżniczkę, śmiertelnym ogarniętą snem, zapierał się mocniej w strzemionach, a kolanami parł rumaka, ten zaś, rozumiejąc, że się sprawa rozgrywa śmiertelna, rozdymał nozdrza, oddechu nabierał we wspaniałe płuca, wrył z nagłą, a mocno tylne kopyta w ziemię, ważył się przez jedno mgnienie, a potem czynił straszliwy skok. Jęknęła ziemia, kiedy pyszny bachmat przepaść przesadziwszy, albo rwący strumień, uderzał w nią kopytami, a potem, radosny i jakby śmielszy jeszcze, leciał jak ptak. Stęknął czasem, jak człowiek, kiedy poczuł, że po skoku ziemia, wilgocią zroszona, z pod nóg mu się usuwa; wtedy złota, rycerska ostroga, podobna promienistej gwieździe, ze złotej, ostrej blachy, wpila mu się złym pazurem w bok, a rumak, ukąszony jak przez węża, stawał cały w ogniach i śmiertelnym, straszliwym podrzutem, drgnąwszy dziwnie, wydostawał się na skraj przepaści.

Krew w nim grała tak potężnie, jak wtedy, kiedy straszliwy smok buchnął ogniem i łapy wyciągnął ku jego piersi białej i pysznej, jak piersi kobiety; pracowały płuca jak miechy w klasztornych organach, szyja zaś wyciągnęła się, jak szyja łabędzia. Piana, od śniegu bielsza, padała płatami po obłędnej dro-

dze, uciekającej w dal szybko, jak wspomnienie. Pęd był tak szalony, że gdyby ich gonila śmierć, mająca najszybszego na ziemi rumaka, straciłaby szybko ich ślad, nadążyć nie mogąc.

Noc już zapadła głęboka, mgły wieczorne, zmęczone włóczęgą osiadły już dawno na skraju bukowego lasu, leniwe i senne. Roziskrzyły się gwiazdy, jak brylanty na królewskim płaszczu, wyniesionym ze skarbcza i rozpalaly się coraz jaśniej, jak pyszne świece, blado z początku tłące, coraz jaśniejsze po chwili.

Niezmierny spokój płynął z gwiazd i niezmierna cisza, w siebie wpatrzona, jakgdyby oglądała na swem przeczysnem sercu rany, które jej zadał dzień, pełen wrzawy i krzyku. Usiadła nad cichemi wodami wielkiej, zadumanej, mądrej rzeki i jej mgłami chłodziła rozpalone czoło i skronie. Zaniepokoił ją nagły, rwący, huczny tętent, więc oddech wstrzymawszy w piersi, poczęła nasłuchiwać, pojąć nie mogąc, kto się waży pędzić na koniu wśród nocy po ostępach, nie widząc zdradliwych przepaści ani jarów, w których śpią węże; może to być śmierć, nieznająca pory i rada jeżdżąca nocą, lub widmo pokutującego rycerza, który w czarną zakuty zbroję, skrwawione ręce cisnąc do piersi, gnał zawsze nocą, na nic niebaczny.

Krzyknęła nagle cisza i serce w niej bić prze-

stało, zdumione: oto na białym jak śnieg rumaku go-
nił rycerz, cały we złocie, dziewczkę omdlałą tuląc do
piersi. Mignął jak błyskawica, lejąca roztopione, ogni-
ste złoto i zniknął w oddali, w przepaścistym mroku
wiosennej nocy. Świsnął wiatr, zdumiony, że ktoś
szybciej pędzi niżli on i padł, wyczerpany na toń
rzeczną, która ugięła się pod ciężarem.

Rumak rwał przed siebie, chrapy szeroko roz-
dawszy, wyciągnięty jak struna; święty rycerz patrzył
wciąż przed siebie ostrym wzrokiem, blady niezmi-
ernie, lecz spokojny; od czasu do czasu spojrzał z dzi-
wną tkliwością na księżniczkę, śmiertelnym ujętą
snem; wtedy osadzał się pewniej w siodle, obejmo-
wał ją silniej mocnem, rycerskim ramieniem, poda-
wał się wprzód i bódł ostrogami bachmata, który
wydawał z siebie jęk, do ludzkiego płaczu podobny
i szalonym skokiem parł jeszcze szybciej, szybciej,
szybciej.

Ponure, śpiące zamki, na garbach gór leniwie
rozparte, uciekały w tył; migały wsie, śpiące nad wo-
dami, miasta opasłe, otoczone pasem murów; kła-
sztory, czuwające w nocnym mroku; tylko od czasu
do czasu krzyknął ktoś, stojący na czatach na zam-
kowym murze, lub przerażony, pognał w las z go-
ścińca jadący noga za nogą błędny rycerz, włóczący
się nocą, ujrzawszy w niezmiernym pędzie złociste

widmo na rozhukanym, oszalałym koniu, którego podkopy nie dotykały ziemi.

Pochylił się nagle święty rycerz, poczuwszy, że rumak drzeć począł trwożliwie, jak kobieta, rycerskiej nie znająca odwagi zadrży znagła, ukryć nie umiejąc przestachu; rzucił pyszny koń głową raz i drugi, jęknawszy; święty rycerz wpatrzył się w ciemność i ujrzał zielone płomienie, podobne owym, któremi wabi bagno. Dalekie, złe, chrapliwe wycie oderwało się od ziemi: wilki gnały od strony boru, który spał na górskim stoku. Śmignął rumak, jak oszalały i pędził cały jakby w obłoku pary, buchającej z niego. Rycerz wargi zacisnął, lecz mu oko nie drgnęło; puścił purpurowe lejce i szeptać począł cicho, jakby przemawiał do swojego bachmata, który drżał na całym ciele. Nie minęła chwila, a byli już daleko, wśród spokojnej nocy.

Minęli wiele rzek i wiele gór. Rozścielił się nagle przed nimi step, tak daleki, jak noc tylko sięgła i tak szeroki jak niebo, które go nakryło, równy i niezmierny. Ułożyła się na nim noc na spoczynek i oddechala ciężko, gdyż raz wraz słychać było jej westchnienie ciężkie i głębokie, kołyszące burzany i trawy. Rumak gnał przed siebie równym wciąż, szalonym biegiem, nie ustawszy ani na chwilę; raczej szaleńszym jeszcze stał się ten jaskółczy lot, bowiem na

drodze nie było ani gór, ani skał, ani rzek. Ciemność tylko stawała się coraz większa i zimno wiało ze wszech stron; było zasię coś dręczącego w tej ciemności, jakby gęstniejącej i tak wielkiej, że niemal dotykalnej; zdawać się mogło, że tu jest siedlisko nocy, że tu jest źródło ciemności i że stąd pelza ona i rozlewa się niezmiernem morzem na całą ziemię. Wisiały ponad tym stepem ciężkie, mokre od rosy niezmierne płachty mroku, który jakgdyby żył, ślizki, leniwy, nieruchomy i ustępujący z trudem a niechęcią przed białymi piersiami rycerskiego konia. Nie było słyszeć ani szeptu na straszliwym tym ugorze, a jednak zdawać się mogło, że nieznana ta ziemia dudni jakimś ogromnem, tajemniczem słowem, potwornem i złem, niemającym znaczenia i znaczącem wszystko, nieprzerwanem i jakby wieczystem, nigdy nie milnącem, oślizgłem, pełzającym tuż przy ziemi, pełnem niesamowitej, chmurnej, plugawej, lepkiej grozy. Step ten leżał na niezmierzonej przestrzeni jak na poły senny potwór, oddechający wilgotną chmurą.

Echo tętentu biegło drogą białego rumaka, dziwnie brzmiąc wśród stęchłej ciszy stepu. Kiedy zaś już byli daleko, rwąc przez burzany, drgnął nagle święty rycerz; błysnęły w ciemności niespokojnie jego oczy, a ramię, którem obejmował księżniczkę, zaci-

snęło się silniej. Zdawało się, że począł nasłuchiwać pilnie, głowę lekko obróciwszy poza siebie. Krzyknął w tejże chwili i pochyliwszy się, uderzył kolanami w boki konia i bóść go począł nielitościwie złotem ostróg.

Jak kamień rzucony z procy, takim pędem runął przed siebie rumak nieporównany, chrapiąc tak, że zdawało się, iż każdej chwili krew mu wytryśnie z chrap fontanną; aż się zachwiał na siodle wspa-
niały rycerz, nagły zamęt poczuwszy w skroniach, które tętnić poczęły nadmiernie. Błady był, jak marmur, a cudny jak sen; oczy przymknął i jakgdyby się położył na wichrowych skrzydłach, szumiących w tej chwili jak burza.

A poza nimi grzmiał tętent równie szalony.

Święty rycerz zdał się na łaskę rumaka, który jakgdyby sam poczuł pogoń, albowiem strzała wypuszczona potężnem ramieniem najsprawniejszego z łuczników, tak nie leci, jak oni lecieli w tej chwili.

Tętent był poza nimi, a tuż przed nimi zawył nagle jakiś potężny, straszliwy, do niczego nie podobny szum; jakgdyby tysiąc mórz biło o skaliste brzegi; jakgdyby wichry wszystkich ziem, razem się sprzęgły; jakgdyby dzwony ze wszystkich wież świata były potężnie, jednym jakimś potwornym poruszane sznurem; jakgdyby wszyscy ludzie, jacy żyli na ziemi

od początku świata i jacy żyć będą do chwili jego zagłady, razem zebrani, śpiewali szalonemi głosy okropną, rozpaczliwą pieśń; jakgdyby tysiąc potężnych borów waliło się z trzaskiem i hukiem; jakgdyby padały, w miał i proch się krusząc, wszystkie góry ziemi...

Otworzył oczy święty rycerz i szaleństwo trwogi błysnęło w bystrych jego źrenicach:

Oto w czasach tych, w których za dopuszczeniem bożem działa się ta najdziwniejsza ze spraw ludzkich, ziemia nie była jeszcze okrągła, lecz płaska, jak potężny krąg, pływający po niezmiernem morzu, na grzbiecie strasznego Lewiatana; zrozumiał w tejże chwili święty rycerz, że w szaleństwie pędu dobiegł nad skraj ziemi, poza którą nie było nic — otchłań, przepaść, próżnia, strach i trwoga.

Rycerzu! rycerzu!

Chwila była okropna.

Zadrżał wspaniały rycerz, blady jak płótno i drżącą ręką chwycił cugle konia. Rumak zwietrzył przepaść i również drzeć począł; rycerz czuł, że się szaleństwo ima jego serca, poznał, że za kilka chwil zwali się w otchłań, tak straszną, że omdlewały mózgi ludzi uczonych, kiedy myślą dotarli nad jej brzeg tylko, nikt zaś z żywych nie dotarł nawet w jej pobliże.

Podniósł oczy w niebo, jakby szukając ratunku;

przed nim, w oddali, nisko ponad ziemią lśnił Wielki Wóz, zaryty w granatowy, przepojony nocą ugór nieba. Jakaś szalona myśl przebiegła po bladym, rycerskim czole, gdyż nagle święty rycerz, osadził się w kulbace, krzyknął przeraźliwie, rozegnał bachmata, zdart go nagle straszliwem ramieniem, podał się w tył i skoczył...

Chryste Panie!...

Widziałem ten skok własnymi oczyma. Czemu mi nie wierzysz, zły człowieku?

Kiedy poczerniały od dymu kowal, płachtą skóry okryty, wściekłem od siły ramieniem uderzy młotem w rozpalone żelazo, a ono, śmiertelnie uderzone, jęknąwszy nagle, snop iskier z siebie wyrzuci, jak rozpyloną strugę krwi — taki snop ogni buchnął z pod kopyt oszalałego rumaka, gdy uderzył kopytami o gwiazdę. Cugle wyleciały z rąk rycerza, bowiem koń nozdrzami niemal tknął gwiazdzistej ziemi.

Rycerz poczuł w uszach niezmierny, dzwoniący jednostajnie szum, jakgdyby stał pod spiżową kopułą ogromnego dzwonu, albo jakgdyby potwornej wielkości koncha nakryła świat cały. Zrozumiał równocześnie, że się wspaniała gwiazda, drgnąwszy, zachwiała w posadach, kiedy się na nią zwałił ciężar

jego bachmata i osuwać się poczęła w dół, jak skalny złom, który coraz głębiej osiada w trzęsawisku; przeto czemp prędzej, zebrawszy w dłoń cugle, pchnął swego rumaka z gwiazdzistej ostoi na ciemny w tej chwili, mrokiem przepojony, niebieski ugor bez końca.

Parsknął rumak, pianę z krwią wyrzuciwszy z nozdrzy i ostrożnie, nogą próbując, zanim stąpi, schodzić począł z gwiazdzistego, rozświetlonego złomu, pilnie bystreimi patrząc oczyma. Ugrzęzły z nagła jego ko pyta jakby w piasku pustynnym, czarnym i sypkim. To złoty, gwiezdny pył, wiatrem naniesiony, od lat niepoliczonych leżał na niebieskim ugorze. Rumak, jakgdyby go skok bohaterski nowemi siłami nappełnił, rzucił głową raz i drugi, gotów do orlich lotów. Drżał cały jak liść od nadmiernego wysiłku, który ich na gwiazdy rzucił i biec począł szybko w siną ciemność nieskończoną drogą, którą jak, milowe kamienie, znaczyły gwiazdy, jedne umarłe i blade, inne żywe, patrzące rubinowemi oczyma, inne śpiące cicho, bez westchnienia, inne zasię chodzące po niebie powoli, jak zadumane włóczęgi, końca swojego szukające smutku.

Święty rycerz, do okutej złotą blachą piersi cisnąc księżniczkę, dzierżył mocno cugle w dłoni i patrzeć począł dookoła pełnemi zdumienia i trwogi oczyma, szukając drogi. Dokądże się teraz uda?

Gdzie koniec i gdzie kres? Gdzie przyczaiła się prze-
paść i która gwiazda zadaje śmierć? Oto jest tu sam
i ona, nieszczęsna umarła — przed nim lęk i zgroza,
poza nim ktoś, co go goni zajadle i wściekle na wy-
trwałym, potężnym rumaku.

Nagły lęk tknął żadnym dotąd strachem nie ska-
lanego jego serca na myśl, co uczynił; oto się ważył
na sprawę straszną, od której rozum się mąci. Po-
myślawszy, spojrział trwożnie naokół, patrząc, czy się
w którejkolwiek stronie niebieskiego pola nie zjawi
Bóg, straszliwy sędzia i skinieniem palca nie rzuci
go w odmęt, pod nim szumiący. Uczynił, jak przy-
stoi rycerzowi, którego oczy krew zalewa na widok
krzywdy, słabemu uczynionej dziewczęciu, jednakże,
zakłęty w posąg potężnym rozkazem, powinien był
ścierpieć, usta zaciąwszy i przed tronem bożym zdać
sprawę, Sędziemu Najwyższemu zostawiwszy wyroki
i karę. Ważył szlachetny rycerz w myśli te sprawy
niezbadane i słuchał poszeptu serca, wyniesionego
ponad inne, podobnego przeczystej łzie.

Mówił sobie:

Nieprawość padła na ziemię, jak chmura sza-
rańczy, czyż mogło ścierpieć moje serce? Małe jest
plemię ludzkie i zapomniało spraw rycerskich... Prze-
tom wzniosł ramię... Albowiem wśród żywych nie ma ry-
cerza ani bohatera, lecz jest zbójca i przekupień... Szcze-

ście ich jest małe i małym jest ich nieszczęście, któż tedy urodzi wspaniałość, a z serca wysnuje jasność rycerską, świetniejszą niżli poblask słońca w złoconym puklerzu i pyszniejszą, niż biała kita na szyszaku, rozwiana na wietrze?... Przetom ja się zbudził, zaklęty w kamień, albowiem w kamieniu śpi wszelki bohater... Kupczy miłością robak ludzki i sprzedaje za miedziany pieniążek serce człowieka, nie wiedząc, że sprzedaje słońce... Przetom ja wyjął serce z kamiennej piersi... Przebac mi, Panie, szaleństwo, albowiem i słońce czyni szaleństwo, płonąc nad miarę; wszakże czyniłem pięknie wedle Twego rozkazania, a oto każeś, aby człowiek był bohaterem, nie wężem i aby czynił pięknie, zanim uczyni roztropnie!...

I myślał, że jeśli go Bóg nie straci w odmęt tego straszliwego morza, po którym na grzbiecie potwornego Lewiatana pływa ziemia, tedy mu rozkaże przez nieskończony, nieskończony czas błądzić po straszliwszym jeszcze niebieskim stropie i gnać go będzie do skończenia świata ręka boża, jak na ziemi niezaspokojone serc pragnienie gna przez góry i rzeki bladych, cichych, w czarną zbroję zakutych błędnych rycerzy, których śmierć unika, albowiem są tak smutni, że śmierć płacze, słuchając ich ostatniej, dziwnie rzewnej piosenki, podobnej pękniętemu sercu...

Rumak rycerski biegł szybko po pochyłej dro-

dze, nurzając kopyta w złotym piasku; biegł bez celu, albowiem nie kierowały nim purpurowe cugle i czuł, że ręka rycerza, dzierżąca je, była niepewna. Nagle rycerz puścił je zupełnie, albowiem zdjęło go niezmiernie zdumienie: oto ujrzał, że się otwarły ciche oczy umarłej księżniczki i spojrzały zachwycone na jego twarz. Drgnął szlachetny ten rycerz i drugą ją objął ręką, aby snąć, bezwolna dotąd, przewieszona przez siodło, nie padła na nieznanej, obłądnej drodze. Przygarnął ją do piersi, uradowany nad miarę, tak, że oczy przymknął, jakby nie mogąc patrzeć w słoneczną zjawę i tylko sercem słuchał, czy jej serce bije. A oto ono uderzyło radośnie, jak dzwon z nagle rozkołysany, śpiewający coraz głośniejsze, coraz głośniejsze, a rycerz, jakgdyby muzykę rajską usłyszał, poił się nią do szaleństwa, zachwycony niezmiernym cudem, nie rozumiał bowiem sprawy znanej astrologom, uczonym w piśmie i ludziom podłego rzemiosła, układającym pieśni, lecz wiele tajemnych rzeczy wiedzącym, że człowiek umarły na ziemi, ożywa znowu, przebywszy ten kraj straszliwy, który ziemię rozdziela od nieba.

Podniósł powieki i spotkały się ich zachwycone oczy, pełne nieziemskich blasków, jakgdyby patrzyły w siebie blade, niezmiernie piękności gwiazdy; patrzyli w siebie takim przeczystym, rozbłyśniętym wzro-

kiem, jakim patrzą sobie w oczy dzieci, których duże mieszkają nie w piersi jeszcze, lecz w niezmaconym błękanie źrenic, albowiem dusza ludzka mieszka najsamprzód w oczach, potem się kryje w pierś, zaś na koniec, goryczy zaznawszy, złości i jadu, czołga się w ciemną kryjówkę mózgu, jak eremita w jaskinię. I tam ją zjada mądry, wieczysty, nienasycony czerw.

Chciał przemówić święty rycerz, lecz mu się gardło ścisnęło zbyt mocno, a słowo rycerskie ogromne jest i szorstkie, nie zaś gładkie, a puste; więc ją tylko silniej przycisnął do piersi, pokrzykując oczyma tak radośnie, że jej usta drżały od upojenia i tak rozgłoszenie, że zamęt poczuła księżniczka w cudnej głowie, gdyż nagle przywarła twarzyczkę, jakgdyby w zapamiętaniu, do jego piersi, w złotą blachę zakutą. On tedy, czując, że mu serce przepali blachy pancerza, albo też dusza, nagle w ogromy rozrosła, rozsadzi jego pyszną, młodzieńczą pierś, zachciał nagle uciszyć dzwony serca w niezmiernym, obłąkanym pędzie, więc konia kolanami ścisnął i krzyknął. Poderwał się rumak i śmignął jak szczuka w rzecznej toni, tak, że chmura gwiazdzistego pyłu wzniosła się poza nim, a w uszach zawył im nagle wichr.

Ohej! nie ucieczesz przed sercem, rycerzu!...

Złote i rozbłyśnięte, a nieraz do rubinów podo-

bne grudy gwiazdne leciały gradem z pod kopyt pysznego bachmata, lecącego wciąż po lekkiej pochyłości, przesadzającego potężnymi skokami szczyrby i bruzdy, wyryte na niebie tam, kędy kiedyś przed wiekami może lub przed chwilą przeszła wędrująca gwiazda, własnym, odwiecznym się włócząca śladem, podobnym tej rysie, jaką tęsknota na ludzkim pozostawia sercu. Czasem rumak stulił nagle uszy i w bok uskoczył, rwąc dalej w obłąkanym pędzie, kiedy nagle z mroku gwiazd wyszła postać ludzka, jakby z mgły uczyniona, zupełnie przejrzysta, z twarzą bladą; szła tak błędnie, przed siebie w dal patrząc, nie zdumiona nagłym błyskawicowem zjawiskiem z ziemi, wszystko wiedząca. Koń gnał w nieznanym kierunku, uniesiony szaleństwem lotu, jak goni obłądny wicher, co własne serce, podobne do uschłego liścia, niosąc w dłoniach, ucieka w potwornym locie przed śmiercią. Poznał szlachetny rumak, że pan jego, rycerz, nie nadaremno ostrogi wpija w jego ciało; wyciągnął się tedy jak struna i gonił przez niebieski step, tak, że z oddali podobni byli złotej błyskawicy, drącej swą złocistą smugą spokój śpiącego nieba.

Kiedy zasię rumak przesadzał w szalonym skoku kurhan gwiazdny, w którym pochowana była zagasła, oślepla gwiazda, rozstrzaskana owego dnia, kiedy to

potężny archanioł wiódł śmiertelny bój z owym, pychą nadętym, co śmiał spojrzeć w twarz bożą, krzyknęła lekliwie księżniczka i silniej jeszcze wiotkie, do mgły podobne i do lilii ciało, przywarła do szerokiej, rozgorzałej, rycerskiej piersi. Opamiętał się rycerz, w szalonym pędzie zapamiętały i twarz dziwnie bladą nachylił ku księżniczce.

— Nie lękajcie się, pani! — szepnął z trudem, albowiem wicher porywał każde słowo, zwiewał je z ust, zanim rozbrzmiało i niósł pomiędzy gwiazdy, słuchające chciwie, rozszerzonymi od zdumienia patrzące oczyma.

Wtedy radość niezmierna ubarwiła twarz księżniczki; podniosła powieki, zawarte z nagła w chwili zaleku i wpatrzona w usta rycerza, z trudem szeptała, rzekła cicho:

— Gdzie mnie wieziecie, rycerzu?

Stropił się złocisty jeździec i odpowie:

— Gdzie nas zaniesie rumak...

Pojać nie mogła odpowiedzi tej księżniczka, więc się strwożyła bardzo i poczęła szeptać niespokojnie:

— Czy daleko jestem od klasztoru?

— Tak daleko — odrzekł rycerz — że potrzeba ludzkiego żywota, aby przebyć tę drogę.

— Chryste Panie!

— Szybki jest mój rumak, — rzekł rycerz.

Potem się pochylił ponad nią, tak, że ich twarze były tuż przy sobie i jął szeptać:

— Przebacz mi, zem cię śmiertelnie senną wziął na ramiona i uniosłem, jak orzeł unosi... Wszakże ścierpieć nie mogłem katuszy, które wypily z ciebie wszystką krew, żeś padła na kościelną podłogę, jak kwiat ścięty kosą... Rycerz jestem i przysiągłem, że nie dopuszczę krzywdy... Przeczyste jest twoje serce, a oto kazano mu cierpieć... Przetom cię uwiózł, ciśnącą w dłoni różany krzew, znak twojej męki...

— Rycerzu! — szepnęła dziwnym szeptem księżniczka — nie jest tak, jak mówicie... O, nie!... Ten krzew nie jest znakiem męki... Wywiodła go z różańcowego ziarna nie męka, lecz miłość. Czyż męką jest miłość?...

— Męką! — rzekł rycerz głosem niezmiernie drżącym i ostrogą ubódł konia, jak szalenciec, co się chce rzucić straszliwym skokiem w gęstwę bitwy, szukając śmierci.

Burza, goniąca struchlałe szczęście ludzkie, które spało o południu wśród pozłoconych pól i zbudzone grzmotem, ucieka, nie goni tak, jak biały ten bojowy rumak pędził wśród pysznych gwiazdzistych cudów. Serca zaś tych dwojga nic uciszyć nie mogło; umilkły na chwilę, zachłyśnięte krwią własną, pijaną niezmiernym pędem i rozgraną, jak wiosenny wichr, lecz

kiedy minęli gromadę gwiazd, które objąwszy się miłością ramionami z promieni, spały spokojnie, oddychając cichem światłem przez sen, mówić poczęła urywanemi słowami księżniczka.

— Słyszałam ten wyraz, co wymawiany, poi usta posmakiem krwi... Moje serce go kiedyś wyrzekło... Kiedy, nie wiem... Może wczora, może dawniej... Mówiłam go białej mniszce... Och, jak szybko pędzi rumak twój, rycerzu?... Na Boga!... A oto teraz słowo to jest mi obce i puste... Czemuście je wyrzekli? Oto serce moje pieni się krwią, a szczęście je rozpiera i miłość, tak, żebym śpiewać chciała w głos, aby mnie słyszała cała ziemia... Och, rycerzu święty! Szczęśliwa jestem tak bardzo, jak szczęśliwym pewno jest człowiek po śmierci... A jednak nie chcę umierać... Chcę tak przez całe życie... w twoich ramionach... na rozhukanym koniu... Gdzie mnie wieziecie, rycerzu?...

Rycerz w dal obłądnie patrząc, nie odpowiadał długo, jakgdyby oczyma szukał w niezmierzonej przestrzeni celu, któryby można nazwać ludzkim słowem; ubiegli niezmierny szmat gwiazdnej drogi, z nim odrzekł:

— W szczęście.

— Czyż nie jestem szczęśliwa?

— Każde szczęście jest myślą o większem jeszcze...

- Gdzie jest największe?
- Dalej, niż sięga ludzka tęsknota...
- Czy znajdzie je kiedy człowiek?
- Umarłby, gdyby je ujrzał...
- Rycerzu!...
- Czego pragniesz, księżniczko?
- Chcę umrzeć, aby je ujrzeć...

Rycerz przymknął na chwilę oczy, a niezmierna tklivość okryła mgłą jego twarz, tklivość tej podobna, którą srogi a nieugięty trojański bohater zmiękczył na chwilę swe marsowe serce, dziecko ująwszy w ramiona, ostatni raz je całując przed skonem — jeśli wierzyć można włóczędze, co z nieznanых krain przybywszy, śpiewał o tem po zamkach, płacząc. Potem, spojrzawszy na księżniczkę wzrokiem jakby tajemnym, rzekł:

- Pragniesz śmierci?
- Modliłam się o nią do ciebie, rycerzu...
- Aby ujrzeć szczęście?
- Aby być z tobą, po wieki wieków... Wszak

to jedno...

— Przeto jesteś ze mną — rzekł dziwnie rycerz.

Nie mogąc pojąć tajemnego znaczenia jego mowy, podniosła nań oczy, na usta mu patrząc, aby ujrzeć każde słowo i poznać je po drzeniu. Twarz rycerza

była dziwnie poważna i okryta zadumą, podobną chmurze.

— Jestem z tobą... — powtórzyła księżniczka.

— I będziesz ze mną po wiek wieków...

— ...po wiek wieków... — powtórzyła jak echo; — wiem, porwałeś mnie, jak orzeł porywa, kiedyś omłala.

— Księżniczko! — rzekł mocnym głosem rycerz nieskalany — wziąłem cię w ramiona i uniosłem na białym moim koniu, kiedy śmierć zamknęła ci oczy.

— Śmierć?!!

— Dusza twoja odeszła na gwiazdy... Znalazłem ją tedy wśród gwiazd.

— Boże miłościwy! Gdzie my jesteśmy?

— Wśród gwiazd! — krzyknął rycerz głosem tak donośnym, jakim woła herold na pobojuisku, kiedy ogłasza zwycięstwo i pragnie, aby go tysiączne usłyszały rzesze. Jak grom padł ten okrzyk w gwiezdne przepaście i huczał wśród nich, grzmiąc radośnie i śpiewając, jak śpiewa człowiek, uwolniony z krwawych pęt. Szaleństwo, pyszne i wspaniałe jak ogień, wionęło zewsząd na rycerską głowę, tak, że ją wzniosł hardo a dostojnie i jak król, siedmiu władający ziemiom i siedmiu morzom, mówić począł dumnie a rozgłośnie:

— Wśród gwiazd cię wiozę, a gwiazdy padają

w proch... A jeśli spotkam słońce i zejść mi z drogi nie zechce, roztlukę je piersią rumaka...

— Rycerzu!

— ...Otom się ja jeden ważył na męstwo... Któż to uczynił przedemną i któż to uczyni po mnie? Dla ciebiem to uczynił, bowiem cię miłuję, a jeśli mi śmierć ciebie wyrwać nie zdołała, któż inny tego dokona?

— Rycerzu!

— Podjąłem sprawę straszliwą, lecz rycerską i piękną, bowiem żołnierzem jestem z pod chorągwi Pana, którą nad nim nosi archanioł, boski chorąży. Oto spójrz, jak gwiazdy bledną na widok złocistej mej zbroi, która lśni bardziej, niż one... Strach je opętał i trwoga, albowiem za moment kopytami je podepce rumak mój!

Zapamiętał się w rycerskiej pysze i niepowściągliwym wzrokiem zatoczył dokoła, jak zwycięski król patrzy z siodła na pochylone w pokorze zniewolone rzesze, leżące twarzami w prochu ziemi. W tejże chwili skamieniała nagle jego cudna twarz, jak gdyby ją nagle przerażenie zmieniło w marmur; kiedy burza jego słów opadła ciężką chmurą daleko poza nim na struchlałą gromadę gwiazd, podobnych gromadzie dzieci, ogarnęła niebieski przestwór cisza, wśród której słyhać było tylko potężny oddech rumaka i ci-

chutki, szczęśliwy płacz księżniczki. Rycerz jednakże, czujny na wszystko tą czujnością, której uczy step i wojna, noc i bór, skamieniał, pochwyciwszy uchem daleki, daleki, miarowy tętent, jakim znaczy swój chód ciężki, wytrwały koń, nie znający szaleństwa lotu, lecz bieg uporczywy, nieskończony, jednostajny. Obejrzał się więc, uszom własnym nie dowierzając i rozrywając oczyma drżący mrok, jak się silnemi rękoma splełtane rozślania chaszczce, patrzył długo.

Pot mu wystąpił na czoło.

— To on! — szepnął dziwnym szeptem.

I zadrżał rycerz nieustraszony.

Księżniczka podniosła na niego wzrok, rozumiejąc, że go szaleństwo biegu przejęło dreszczem, który poczuła wyraźnie, mając twarz tuż przy jego sercu.

Spytała tedy cicho:

— Czemuście niespokojni, rycerzu?

On, blady bladością człowieka, który wewnętrznym ogniem palony, stanąwszy nad przepaścią na wszystko się waży, odrzekł nieswoim głosem:

— Słyszę poza nami tętent...

— Chryste Panie!

— Goni nas ktoś na potężnym rumaku...

— Ojciec mój, książę! — szepnęła księżniczka, tuląc się mocno do rycerskiej piersi.

— Nie on to jest, — rzekł rycerz — człowiek tego nie zdoła.

— Przeto archanioł?

— Spaliłby nas piorunem z dala, nie goniąc... Ten, co za nami pędzi, goni nas jeszcze z ziemi... Jest to ktoś potężny i moc mający nadludzką... Wszak skoczył na gwiazdy poprzez przepaść, w której oddecha ziemia... Jako i ja skoczyłem...

— Czemu nas goni?

— Nie wiem... Może nam zajrzy szczęścia... Bóg wie, Bóg jeden wie...

— Tedy wstrzymaj rumaka i zmierz w jego piersi z łuku, lub natrzyj nań kopią, jak czynią na ziemi, tylko ratuj mnie, rycerzu...

— Gorze! — szepnął rycerz — nie zdoła tu nic łuk ni kopia, tu tylko piorun zabija lub gwiazda, którą rzuci z procy archanioł... Goni!... Nie spieszy się, jakgdyby pewny, że nas dopadnie... Ohej! Jeszcze nie pada mój rumak... Chwyć się silnie mej piersi... Choćbym go miał zagnać na śmierć... Przez miłość! Ooch!

Krzyknął swoje ostatnie słowo z taką mocą, że padło jak lawina na pochyłość nieba i potoczyło się, grzmiąc. A rumak, który zrozumiał w tym rycerskim okrzyku śmiertelne do siebie wołanie, rzucił się, obłąkany wprzód, chrapiąc tak strasznie, jak człowiek ko-

nający. Wicher ich począł sieć, świszcząc, a oni biegli jak widma, jakby na orlim osadzeni grzbiecie, biegli tak szybko jak wieść o nieszczęściu, albo też jak wspomnienie szczęścia, co lat dziesiątki, podobne przepaściom i grobowym dołom w jednym przebywa momencie.

Szaleństwo! szaleństwo! szaleństwo!

Krzyknęła cicho księżniczka, bowiem uderzona kopytem śpiąca cicha gwiazda, ugodzona śmiertelnie, oderwała się od podłoża niebieskiego ugoru i kilkakroć jeszcze błysnąwszy przerażeniami świetlistymi oczyma, potoczyła się w dół i poleciała w przepaść, w której spała ziemia, cicha i daleka.

Po chwili znów targnął się rumak w szalonym skoku i rzucił się w bok, nie wstrzymując straszliwego pędu: oto gromada psów, złote mających obroże, zaskowyczawszy nagle, rzuciła się śladem rumaka, grając głośno.

— To psy gończe! — szepnął rycerz — uspokój się... Nie pobiegną daleko, albowiem tu się zaczyna pustynia, gdzie wśród złotego piasku odpoczywać może lew...

I w istocie, rumak zmieniawszy drogę, przerażony ujadaniem psów, zagnał się w piaski, rozsypane jak daleko okiem sięgnąć. Mrok wisiał nad pustynią i cisza, która straszniejszą jeszcze stała się

w chwili, kiedy umilkły psy gończe, gwiazdzistych skarbów strzegące i mające czuwać pilnie, aby wielka, straszna, bezlitosna niedźwiedzica nie podeszła chyłkiem na niebieskie łąki, kędy szalas swój rozbił Wolarz, człowiek mądry i pogodny.

Poznaawszy, że to nie zwierz dziki pędzi, lecz rumak, cudny i jak śnieg biały, zawracać poczęły, naszczekując od czasu do czasu, jak w kniei, kiedy fukający dzik zapadnie w niedobyte ostępy, a psiarnia powraca bez łupu, skarżąc się skomleniem własnemu wstydowi.

Cisza tedy, niczem niezmacona, pustynna cisza w której wnętrzu czai się zmora, głuchoniema cisza, która jednak w fałdach żałobnej swej, miękkiej, czarnej, powłóczystej sukni nosi sztylet, aby nim uderzyć z nagłą w serce, kiedy się jej jadem człowiek dał ukoić, legła przed nimi, patrząc na nich spokojnie szerokimi, niczemu się nie dziwiącemi oczyma. Usłyszeli nagle bicie własnych serc i niepokój padł na nich, nigdy bowiem człowiek nie trwoży się bardziej, jak kiedy posłyszcy wyraźnie, uszyna, serce własne łomocące i dzwoniące dziwnym rytmem; wtedy się je ucisza krzykiem i wołaniem, szlochem, albo rozgłośnym, źle i nieszczerze brzmiącym śmiechem, aby słyszeć wszystko inne, tylko nie serce i szum krwi w jego przepaściach, podobny szumowi piasku,

co się przesypuje z jednej wyschłej piersi śmiertelnej klepsydry w drugą.

Patrzył przed siebie święty rycerz i czuł, że widzi straszliwe potworne oczy, które nie mając powiek, nie zamykają się nigdy; rozumiał, że oczy te, stopiwszy zbroję na jego piersi, widzą jego serce i widzą w nim wszystko najtajniejsze; czuł, że mu ten zły, wszystko wiedzący wzrok ziębi serce, rozplamione jak rubin i że je otacza chłodem mgły i mrokiem, tak, że się skurczyło nagle w lodowatym bolu, który niewiadomo skąd w pierś jego spłynął i poczęło drżeć niespokojnie, jakby dreszczem wołając ratunku przed tą nienazwaną, tajemną przemocą pustkowie, gadającego przerażającami oczyma. Przemożny, cichy, zły strach patrzył prosto w oczy rycerza, który, jakby wzięty przezeń w pęta, bezbronny i bezwolny, nie wiedząc dlaczego czyni to, co czyni, przycisnął mocno książniczkę do serca i śpiewać począł drżącym głosem rycerską pieśń, której jedno słowo od drugiego było daleko, albowiem je rozłączał od siebie, związane, szalony pęd konia.

Śpiewał rycerz:

»Rzekł król: rycerzu, daj mi swoje ramię,
ramieniem twojem chcę dosięgnąć wroga...

— Mam dwa ramiona, weźmij oba królu,
jeśli wróg w siłę przychodzi przemożnej!...

Rzekł król: rycerzu, daj mi swoje serce,
spragniony jestem, nie mam złotej czary...

— Pij z mego serca, najwspanialszy królu,
Szumi w niem dziwne, rubinowe wino!...

Rzekł król: rycerzu, daj mi swoje oczy,
Stary już jestem, nie dowidzę kroku.

— Każ mi je wyjąć, o sędziwy królu,
i przebacz, żem je raz zamrocył łzami!

Rzekł król: rycerzu, daj mi swą kochankę,
zabiłem moją, gdyż była niewierna...

Słowem nie odrzekł na to świetny rycerz,
lecz miecz utopił w sercu swego króla...«

— Na Boga! — szepnęła księżniczka, jakby nie
słyszała pieśni — tętent się zbliża.

— I ja go słyszę — rzekł rycerz — lecz kiedy
miniemy tę pustynię, ukryją nas wzgórza... Ucisze
serce...

Znów się pochylił na siodle i znów patrzył
w złe, straszne, tajemnicze oczy pustyni, jęczącej głu-
cho przeraźliwą niemotą i trwożącej bezustannie, zło-
śliwie, głucho i strasznie.

— Gdzieś musi być kres, — mówił rycerz, jakby
na poły do siebie — choćby tam, gdzie koń mój
padnie. Czy wszędzie jest lęk?

— Wszędzie! — jęknęła cisza potwornej, bez-

gwiazdnej pustyni, takim głosem, że na chwilę serce w nim zamarło i przez chwilę czuł obłęd, który na oczy rzucił mu zasłonę. Tedy w szaleństwie czyniąc, bódł ostrogami nieszczęsnego rumaka i pokrzykując dziwnie przeraźliwym głosem, chciał w swem szlachetnem zwierzęciu ten sam rozpalić obłęd, który zimnemi rękoma chwycił się jego twarzy, jego rąk i nóg. Czuł bowiem rycerz nieustraszony, że jeśli nie przebędzie w mig tej pustyni, zdrętwieją mu ramiona, zeszywnieją mu nogi, oczy pokryje szkliwo, a w bryłę lodu zamieni się serce; czuł zarówno, że rozpacz, której się nie obroni najtęższy, za gardło go ciśnie. Otrząsnął się tedy i na nic niepomny, widząc przed sobą tylko straszliwe, ogromne, nieruchome oczy pustki, coraz olbrzymiejące, gdyż jakoby coraz bliższe, wołać począł nagle głosem pełnym nie lęku, lecz rozpasanego gniewu:

— Ukaż się! Uderz mieczem, lub kopią, lecz zamknij oczy...

— Chryste Panie! — szepnęła księżniczka — na kogo wołacie?

A rycerz, na słowa jej nie zważając, wołał głosem jeszcze straszliwszym:

— ...Powiedz, gdzie jest twoje serce?...

— Rycerzu!

— ...Gdzie jest twoja pierś lub gdzie jest twoje

gardło... Jeśli masz krew, wytoczę z ciebie krew, albo ty weźmiesz moją...

— Na Boga, rycerzu!

— ...Serce twoje chcę ujrzyć... Zamknij oczy, albo w nie zwalę konia, jak w przepaść. Gorze! Gorze! Gorze!

I pchnął konia w tak wściekłym pędzie, że się rumak na pierś zwałił i nozdrzami wrył w pustynny piach. Krzyknęła księżniczka jak człowiek, co w toń wodną pada, zasię rycerz, oprzytomniawszy, dźwignął rumaka, poderwawszy lejce, bowiem stopy rycerza nie wypadły ze strzemion.

Pustynia zawarła swoje straszliwe oczy.

Rycerz czuł spływający po czole lodowaty pot, jak człowiek, który przeżył najokropniejszą w życiu chwilę i przetrwał przez jedno мгновение dotknięcie oślizgłej, kosmatej, zimnej ręki strachu na oszalałym sercu; ogarnęło go nagłe znużenie, tak ciężkie, jak choroba, złe i podstępne jak woda powodzi, zalewająca wszystko; stężało rycerskie ramię i głowa pochyliła się bezwolnie na piersi, które zaległa ciemność i cisza, jak dom, opuszczony przez wszystkich; osłabło serce, jak człowiek srodze spracowany, co zanim nowy podejmie wysiłek, z trudem oddecha. Oczy rycerza zalała ciemność drgająca i żywa i w niej był cały, zapomniawszy na krótką chwilę, co się dzieje

naokół, gdzie jest i co czyni; gdyby tuż przed kopytami szalejącego w pędzie konia rozwarła się nagle przepaść, jak się otwiera paszcza żarłocznego rekina, skoczyłby w nią niechybnie, nie widząc, że się wali w czeluść; gdyby sto piorunów, warcząc i wyjąc, zwiedzionych złotym błyskiem jego szyszaka zawisło nad nim, drgając przed straszliwym ciosem, nie przytknęłyby nawet oczu, albowiem źrenicy śmiertelnie zmęczonego człowieka nie zatrwoży przecie śmierć. Siedział skamieniały na wysokim rycerskim siodle, jakgdyby jego rumak nie gnał obłądnym lotem przez gwiazdne pustynie, lecz jakgdyby w udanym, pysznym ruchu stał na ołtarzu w klasztorze na stoku góry, zdarty potężnem ramieniem; jak gnany przez sokoła ptak, uszedłszy śmierci, zapadnie w leniwe, miękkie trawy i napół żywy, oddechu schwycić nie może, tak myśl rycerza, goniąca dotąd daleko przed nieokiełznanym rumakiem i wypatrująca błędnych gwiazdzistych szlaków, zapadła teraz w mrok, w ciemną przepaść duszy, znaku życia nie dając. Zabłyśnęło się własną krwią szaleństwo lotu, pędu i szumu, słabnąc rozpacznie.

A rumak gnał i gnał i gnał.

Ujrzawszy zaś rycerza twarz chmurną i jakby w śmiertelnej powłoce, przelekła się bardzo księżniczka, mniemając, iż daleki tętent pogoni srogą go

napelnił troską. Tętent grzmiał gdzieś w dalekiej pomroce, równy i uporczywy. Tedy księżniczka przemawiać poczęła cichutko, w twarz rycerza ustawicznie patrząc, jak w słońce, przysłonięte chmurą, co jednak w niwecz za chwilę się rozplynie, znieść nie mogąc straszliwego pożaru promieni. Śpiewał jej głos cichy i słodki, jak zaduma w cyprysowym gaju o zachodzie:

— Goni nas człowiek zły, jak potwór... I cóż nam o to, święty rycerzu? Jeśli zabije twojego konia, pójdziemy pieszo, choćby stopy krwawiąc, aż zajdziemy gdzieś, gdzie jest cisza i szczęście chodzi bez miecza, bowiem nikt na nie nie nastaje... I cóż nam o to?... Jeśli ciebie zabić zechce, ja pierś nadstawię pod miecz i stępię jego ostrze, tak, że ci już żadnej nie uczyni krzywdy... Spójrz na mnie rycerzu, abyś ujrzał w moich oczach miłość... Cóż mi zagłada, kiedy w twoich jestem ramionach? O, jakże cię miłuję, rycerzu bez zmazy, któryś mnie wyrwał z domu niewoli... Czemu się trapisz? Jeśli zbyt wielki ciężar niesie twój rumak, tedy rozewrzyj jeno ramiona, abym z nich wypadła, jak liść... Niech mnie stratuje koń tego, który nas goni, wtedy, potknąwszy się, upadnie, a ty ujdiesz bezpiecznie... Och, uczyn tak rycerzu boży! Jeśli można umrzeć tysiąc razy, chcę umrzeć tysiąc razy, abyś ty był szczęśliwy tem wspa-

niałem szczęściem, które miłuje wspaniałych... Rycerzu, o, rycerzu!... Rzuć mnie na jego drogę, pod kopyta jego konia... Zbyt już jestem szczęśliwa, a oto szczęście bez ofiary jest jako człowiek z połową serca, lub jako ptak z jednym skrzydłem... Zbyt już jestem szczęśliwa, a serce moje jest pełne radości... Niech w nie koń jego uderzy kopytem... Wtedy cię oddzielę od niego rzeką, albowiem rzeka krwi wypłynie z mego serca i płynąć będzie wśród gwiazd... Twojem jest moje serce, tobie na śmierć oddane... Albo mnie zamień w obłądną gwiazdę, a ja go wodzić będę po niebieskim stepie tak długo, aż koń jego krew wytoczy z nozdrzy i padnie... Pozwól mi płakać ze szczęścia, a utonie ten człowiek w morzu moich łez... Któż bowiem na ziemi i niebie jest szczęśliwszy nademnie, któram poznała miłość?...

Jak kiedy po dniu dżdżystym i mrocznym, promień słoneczny błysnie z załzawionych oczu chmury, sennie po długim płaczu, okrytej żałobą po śmierci spalonych kłosów na ludzkich polach, tak w zamgłonych źrenicach rycerza zaświtał cichy, dobry błysk. Patrząc w mroczne wnętrze swej piersi, słuchał słów księżniczki, jakby słuchał odgłosów, które dał przynosi echem, albo jak człowiek senny słucha zciszonych, niezwiązanych z sobą słów piosenki, które wiatr porwał z czyichś ust i przyniósł jak okruchy lub jak

oderwane od zielonej gałęzi liście. Rozumieć jednak począł wkrótce, że go księżniczka prosi o rzecz szaloną; słuchać począł pilniej i całował ustami każde jej słowo, którego matką była miłość tak niezmierna, jak niebo i słowo tak wiotkie, jak kwietny puch, wędrujący nad łąkami, słodkie jak cisza, czyste, jak dziecięca łza i piękne, jak dobroć. Niezmierna tkliwość rozsloneczniła surową twarz rycerza; niemasz bowiem na świecie całym słowika, któryby śpiewał cudniej, niżli śpiewa rozmiłowane serce niewieście i niemasz takiej harfy i takiej gęśli, któraby grała rzewniej, niżli gra upojona miłosnym zachwytem dusza w kobiecej piersi. W jakież to pancerz zakujesz wtedy piersi, jaką się zasłonisz tarczą rycerzu, choćby najokrutniejszy? Oto ci śmierć będzie igraszką, a ból będzie słodyczą nad słodycze, jeśli ci w tejże chwili miłość swoją opowie jedno czyste, ciche, dobre serce. Wierżaj mi, bowiem się świadczę łzą szczęśliwą, ja, człowiek lichy.

Słowa jednego nie odrzekłszy, wyniesiony ponad niebo, pijany wonią słów dziewiczych, spojrział rycerz na księżniczkę tym wzrokiem, którym patrzy pogodna śmierć i śmiertelna miłość, zasię w spojrzeniu takim jest tyle słów, ile jest piasku na morskiem wybrzeżu, tyle głosów, ile ich jest w dzwoniącej nieustannie ciszy, tyle blasków, ile ich nieci

pożar wielkiego miasta. Szczęście niezmierne rzuciło na nich złoty swój niewód i przygarnęło ku sobie. Ożyła dusza rycerza, jak ożywa orzeł, słoneczną zbudzony pożogą w górskich ostępach i wyrosła w jednej chwili z upadku, jak rośnie sosna z miękkiego, piaszczystego podłoża; chciały śpiewać teraz ich dusze, lecz milczały świętem, niezmaconem milczeniem, rozumiejąc, że lichem kwileniem ptasim byłby śpiew najpotężniejszy; chciały wołać w przestwór o niezmiernej miłości, lecz milczały, rozumiejąc, że nie mają komu powiedzieć o niej, gdyż miłość ich jest większa niżli przestwór, wszystkie światy mrokiem swym żywiący. Bóg o niej wie, i niebo wie, ziemia i gwiazdy, komuż powiedzą jeszcze? Przeto ich serca stały się w owem mgnieniu większe niż wszechświat, albowiem gorzało w nich słońce: nie jedno, lecz tysięcy; oto w tobie tylko, miłości nieskończona, w twojem tchnieniu świętem i czystem rośnie w potęgę marna i licha dusza ludzka i głową sięga cudu. A ktoby nie wierzył, niech zemrze w upodleniu i nędzy, albowiem z sakwy podróжной uрониł duszę, a po tysiąc razy szczęśliwszem od niego jest owo chłopię, które czeka pierwszej swej wiosny, drząc duszą i ciałem.

Jak rozświetlona słoneczną pożogą chmura na oślep lecąca, tak oni gnali nieustannie, na nic nie

bacząc, niczego nie widząc naokół, tylko własne oczy, dziwnie błyskające i niczego nie słysząc, prócz szumu własnej krwi. Daleko przed nimi, w pustynnem pustkowiu błysnęło światło, lecz go rycerz nie dojrzał; księżniczka spostrzegła błysk nagły w zwierciedle jego zbroi, mniemała jednakże, że to blask jego rozradowanych oczu pożar taki rozpałił w złotych blachach; dreszcz nią wtedy wstrząsnął niespodziany, kiedy ich oblała w jednej chwili luna, podobna światłu stu błyskawic, a przestworzem zatrząśł potężny ryk temu podobny, jaki wydaje w gorącej, piaszczystej puszczy pyszny lew, co napiwszy się wody w strumieniu, straszliwym głosem obwieszcza, że wychodzi na łowy, albowiem tylko zbójca podchodzi podstępnie, zasię nie czyni tego lew i rycerz, wołający, iżby wróg dobył miecza, gdyż trzeba, by popłynęła krew. Echo, chwyciwszy się grzywy wichru pognało w dal, powtarzając przeciągle głos, który w nich uderzył. Stropił się szlachetny rumak i począł prychać trwożliwie i głośno, zaś rycerz, bywały spraw, które rozrządza noc i wojna, wyprostował się w siodle i puściwszy koniowi cugle położył dłoń na szorstkiej, karbowanej w żelazie, głowni miecza. Poczem spojrział.

Blask nagły go oślepił i poraził źrenice, tak, że się mocno zaparł rycerz w siodle, aby nie paść w tył; kiedy zaś jednym skokiem szalonego z trwogi konia

przebył świetlisty tuman, a rumak wrył kopyta, cały drżący, ujrzał rycerz tuż przed sobą rozplómiennione oczy strasznego lwa, który się podniósł na przednich łapach, jakgdyby zbudzony ze snu, a ogonem tłukł niecierpliwie, jakgdyby gniewny; potężna jego grzywa cała była z włochatych ogní i drżała na wicherze, który z niej rwał wysiłkiem ogniowe strzępy i niósł w mrok, jak z płonącej strzechy. Był to ów straszliwy, złotopłowy Lew, co, za ledwie zmrok zapadnie na ziemi, wychodzi powoli z niebieskiego jaru i napiwszy się wody w lazurówym jeziorze, trwoży gwiazdne gromady; zdumiał się w tej chwili dziwnym widokiem i nozdrzami poruszał szybko, wietrząc, poczem przysiadł powoli, wyprężył ogon i ważyć się począł przed skokiem.

Płazem mizernym a nędznym był ów smok, dymem buchający z gardzieli, którego ongiś zgłębił na śmierć święty rycerz strasznym uderzeniem kopy, wobec tego gwiaździstego zwierza, mającego grzywę z żywych, wijących się płomieni, a oczy, złym gwiazdom podobne, zalane krwią; ów słynny na całą ziemię bój ze smokiem mignął mętnym obrazem przed wzrokiem rycerza, który zrozumiał w tejże chwili, że niema ramienia, któreby nie osłabło z samej trwogi, zanim by zadało cios, że niema miecza, któryby się nie zwinął jak pręt z wikliny, na tym łbie ognistym

i że niema kopji, tak długiej, by nią można dostać serca tej bestyi potężnej, jakiej niemasz podobnej na ziemi i na morzu. A oto zwierz ten od najdzikszego dzikszu ważył się już, drgając i jakby podrzucany tem drganiem, zanim się rzuci i jednym uderzeniem łapy ich nie powali. Myśl, obłąkana od pospiechu przebiegła przez czoło rycerza, który nagle, wszelką nadzieję o mieczu porzuciwszy, szepnął tym strasliwym szeptem, ostrym jak nóż i bardziej niewołącym niż rozkaz, wykrzyczany wszystką siłą płuc:

— Odwróć się!

Nagły lęk, sprawy sobie z niczego nie zdający, chwycił oszalałemi rękoma księżniczkę za włosy i zmusił ją do odwrócenia głowy, na rycerskiej dotąd spoczywającą piersi.

Skamieniała księżniczka.

Oczy jej utonęły w oczach potwora, zmrużonych, łyskających, krwistych i okropnych; oto w tym momencie, w którym wspaniałe płowe cielsko zadrgało ostatnim skurczem i miało runąć strasliwym łukiem, rozszerzyły się nagle lwie ślepie, dotąd zmrużone i buchnęły krwistą łuną, zasię cielsko przypadło do niebieskiej ziemi, jakgdyby nagle niezmożonym przywalone ciężarem, nagle osłabłe; księżniczka, blada jak niebo po burzy, głęboką, szarą, jakby spopielającą od lęku bladością, utonęła czystym wzrokiem w lwich

oczach, jakgdyby jej źrenice zapadły w morze krwi, nagle zamarte, bez ruchu, straszliwie spokojne. Znać było, że za tą szklistą, groźną powłoką ogromnych źrenic huczy burza i dzieją się rzeczy okropne, iż na samą myśl o nich serce zamiera, lecz oto lew drzeć począł, jak szczenię, przerażone odgłosem wilka i trząśł się, jak lichy zwierz, co poczuł wężem kąśliwe ogary, goniące gęstwiną boru.

— Nie odwracaj oczu! — rozkazał jej przejmujący szept rycerza.

Patrzyła tedy z śmiertelnym uporem jasnymi oczyma dziecka, nie wiedząc o niczem, nie czując i nie widząc niczego, tylko te straszliwe źrenice, podobne dwom czerwonym księżycom, nieruchomym i olbrzymim.

W on czas rycerz począł wymawiać cichutko pieśzcotliwe słowa, jakgdyby prosił swojego bachmata, aby zbywszy lęku, rzucił się w bieg; rumak przysiadł na zadzie i tocząc z pyska pianę zarżał przejmująco, przebierać począł nogami niespokojnie, rzucać łbem, stąpił powoli kilka kroków i znów przysiadł, aż wreszcie rycerz, w siodle się pochyliwszy, krzyknął z całych piersi i rzucił konia w skok, na oślep, znów do szalonego lotu.

Zdawało się, że księżniczka omdlała; to wyczerpanie nadmierne odebrało jej siły; mniemała przez

chwilę, że oślepla, gdyż nieprzebity mrok padł na jej oczy, jak ciężka żałobna zasłona i dopiero dwie łzy obmyły jej źrenice tak, iż mogła spojrzeć na twarz rycerza, drżącą od wzruszenia. Daleko już za nimi podniósł się ryk, podobny temu, który wydaje z niezmiernej swej gardzieli burza, kiedy się pyszny buk, korzeniami wsparłszy w ziemię, zbyt mocno opiera jej ramionom, nie znającym oporu i podnoszącym w górę morze. Rzucił się koń, usłyszawszy ryk i zboczył w lewo, jakgdyby chciał zbiedz z tej drogi, którą gnało echo; w ryku tym drżała wściekłość i jakgdyby potworny równocześnie lęk zwierza, który się nie budził na grzmot tysiąca piorunów i nie otwierał oczu, kiedy tuż przy jego piersi syczało tysiąc błyskawic, kłębiących się w węzowym splocie; teraz wył, zmiażdżony poraz pierwszy od początku swoich dni, których nie masz liczby, wspaniały, ognisty, złoto płowy Lew, a gwiazdy naokół przymknawszy oczy, truchlały jak ciche, dobre antylopy, niewiedzące, czemu się tak niepomrotnie rozsrożył gniew pana, władającego puszcą. Lęk padł na niebieską połąć, śpiącą w mroku, co się sam z siebie przedzie, poczem pada jak czad na wzburzone ziemskie morza; oszalały lew, nastroszywszy grzywę z płomieni, tłukł potężnym ogonem, wył wciąż i wciąż.

A oni biegli na nieznane losy, uszedłszy zagłady,

rozświetleni, z resztką lęku w duszach i śmiertelnej troski na czołach, myśląc w tajni duszy, że jeśli uszli najstraszliwшему zwierzowi, ujdą i pogoni, bowiem ten, co ich pędzi, nie może być od niebieskiego lwa sroższy. Dziwna lekkość podniosła wzwyż ich dusze, a słowa ich stały się pogodne, podobne lazuiowi morza i uśmiejchom pól.

Zdawać się mogło, że oto skończył się turniej, a rycerz, na jedno przyklęknąwszy kolano, mówi do cudnej dziewczki książęcej słowa gładkie i kuszące, choć je wymawia z trudem, gdyż mu jeszcze zmęczenie tamuje oddech, bowiem ciężką miał przeprawę z owym rycerzem nieznanym, ze słońcem złocistem na tarczy, który poległ w leciech pewnie młodych, co poznać można łatwo po owym złocistym puklu włosów, wychylonych z poza przyłbicy, zlepionych rubinową krwią, schnącą na wietrze; święty bowiem rycerz, patrząc w księżniczkę, jak w obraz przez wspaniałego malowany mistrza, więc rwący oczy i duszę i serce, mówił:

— Jeśli mnie Bóg wiekuisty ukarać zechce srogo, że czyniąc wbrew, na koniam cię podniósł i uwiózł, jakże łatwo się obronię. Rzeknę Bogu: jakże mogłem ujść tym oczom, ja rycerz lichy, kiedy im nie mógł ujść Twój srogi lew, o Panie?

— Rycerzu!...

— Czy nie mówię prawdy? Czy nie widziało sprawy tej niebo?

— Błuźnisz, rycerzu bez zmayı.

— Niechaj uchowa Bóg, któremu powiem to jedno jeszcze: jeśli jest wśród aniołów jeden, mający oczy tak cudne, jak ona księżniczka, tedy mnie strąć, Panie, na dno piekielnej czeluści i każ mi nosić miecz za hetmanem djabelskim...

Pokraśniała córka książęca, jak niebo o poranku i oczy przymknąwszy szepnęła:

— Jeśli powiesz rycerzu słowo jeszcze jedno o oczach moich, wróć tam, kędy się sroży lew...

— O, lwie po trzykroć szczęśliwy! — rzekł rycerz i spoważniał nagle, gdyż z niezmiernej już od dali przyniósł wicher ryk płomienistego lwa, potężniejszy jeszcze, niżli go słyszał, w pobliżu będąc. Wy tężył słuch i zważał pilnie.

Pobladnął i trwał w niepokoju.

— Czemuś zamilknął, rycerzu? — spytała księżniczka.

On jej dał znak oczyma, by zachowała milczenie; dopiero po długim czasie, szeptać począł, jak-gdyby się obawiał, że go ktoś usłyszy w straszliwym pustkowiu:

— Ten, co nas goni wpadł w biegu na lwa...

— Zginie! — szepnęła księżniczka.

— Cicho, na Boga!... Wstrzymam konia... Słuchajmy...

Zawisała nad nimi chwila, ciężka jak opar; słyszeli tylko własne serca i szybki, zmęczony oddech bachmata.

Potem okropny ryk rozdarł przestwór, aż gwiazdy, zdało się, przygasły; wrzasnęła nagłym jękiem cisza i skończyła.

Serca zabiły w nich mocniej.

Słuchali tak strasznie, jak chory bardzo człowiek nasłuchuje cichych kroków śmierci:

Urwany przed chwilą tętent zagrzmiął na nowo.

— W konie! — krzyknął rycerz i pognał, jak wicher.

Zła i dręcząca myśl nie goni tak szybko serca, zapadającego w ciszę, jak oni gnali przez przestwór nieustannym pędem, podobnym rozpacz i zapamiętaniu; wicher już nie wył, lecz jakby skowyczał z bólu i we wściekłości kasał stalowe nogi rumaka, albo też długie swe palce w jego zaplątawszy grzywę, rwał ją na strzępy, wściekły, iż, wieczystą swą spełniając posługę, gnać musi śladem konia, podobnie jak cień, smętny i cichy włóczęga, co pełen fatalnego poddania, śladem wszelkim podąża; ginąc co chwila z wyczerpania, kiedy mu płuca pękły nagle z wysiłku, jak olbrzymie kowalskie miechy, rodził się w tymże mo-

mencie na nowo, straszliwym podmuchem podnosił
wzwyż swego wiotkiego trupa, ciskał go w po-
wietrzny odmęt, zawył obłądnie i gonił, gonił, go-
nił... Złośliwym ruchem zdarł z głowy księżniczki
biały jej mniszy czepiec, kryjący czujnie zwój wspa-
niały włosów koloru miedzi, których jej nie obcięto
w klasztorze, bowiem czas ten nie był jeszcze nad-
szedł; rozpostarły się pyszne zwoje na wichrze i jak
płomienie, żywe i drżące, albo też jak węże, owinęły
się dookoła szyi rycerza, którego głowa, zdawało się,
w zachodniej tkwi chmurze, wyłóconej ogniem.
Przymknął rycerz oczy, jak czyni człowiek, niezmierną
czujący rozkosz i oddający się jej ślepo, jakgdyby
na zatrącenie i na długą chwilę zapomniawszy o wszystkim
i nie słyszał dalekiego tętentu, który mroził krew
w żyłach; lekko jednakże i miękko obudziła go z roz-
kosznego snu czujność rycerska, szepcząc cicho, by
przetarł oczy, zasłute mgłą i aby wyteńczył słuch; tedy
jak ów dziwny ptak, co na moczarach usnąwszy, bu-
dzi się nagle, kiedy mu kamień wysunie się z bez-
silnej łapy, lub jak przy zwodzonym moście śpiący
strażnik, co chwytając za kopię, kiedy się silniej otrze-
jedno rdzawe ogniwo łańcucha o drugie, tak oto ry-
cerz boży, zaprawny w wszelkich sprawach boju, je-
dnym wstrząśnięciem ramion zrzucił z siebie miękkie,
dziwne, dobre, słodczące napojony sen, który cichemi

rękoma powieki na chwilę mu zawarł. Westchnął tylko głęboko, jak człowiek, co ma ruszyć w pole, na zamieć i chłód, rzucając ciszę, rozkosz przedzającą i wazyć począł w rozumie, co czynić należy w tej sprawie ciężkiej i niezwyčajnej.

Mniemał rycerz:

— Straszliwej ręki musi być ten, co w oddali, poza mną gna na rumaku, bowiem niechybnie zabił gwiaździstego lwa, dyszącego płomieniem... Winienem, rycerskim zwyczajem, zwolnić biegu, a zatoczywszy dalekie koło, stanąć naprzeciwko tego, który za mną goni i spytać go głośno: kto zacz jest i czego żąda? Cóż jednak uczynię z nią, która w moich ramionach, jak ptak trwożliwy, drży w niepokoju i coś może rycerz, jedno tylko ramię mający ku walce przeciwko niemu? Jeśli mi bowiem powie, że mi ją zabrać przybywa, nie ścierpię tych słów i natrę kopią. Na Boga! Łacno księżniczka może zaznać szkody tam, gdzie się zetrą w bojowym wicherze dwaj męże potężni...

Straszliwa troska otarła się o rycerskie czoło, gdyż mrok je pokrył i dwie się w niem głębokie uczyniły bruzdy; myślał, iż gdyby był sam, nie byłoby wtedy takiego wielkoluda, któryby przez pół nocy śmiał go gonić uporczywie i nie byłoby tak srogiego rycerza, któryby nie zadrżał, ujrawszy ły-skotliwy, błyskawicowej żmiji podobny miecz obosie-

czny, gniewnie nad szyszakiem wzniesiony. Gniew ogarnął w tej chwili świętego rycerza na myśl, iż ten, co go goni, mniemać może, że to trwoga pcha go do ucieczki; gniewem tym ukąszone rycerskie serce, napłynęło wzburzoną krwią, a oczy, jakgdyby nagle ujrzały przed sobą purpurę; zaparł się rycerz mocno w siodle, a nogami silniej nacisnął strzemiona, próbując, czy się nie zerwie które, kiedy by, w walkę nierówną się wdawszy, musiał się ciężarem dwóch ciał oprzeć na jednym z nich, nagłego unikając ciosu kopji, co zwinnie jak wąż, wydłużywszy się nagle, w skroń go zechce ugodzić. Szybki powziąwszy zamiar, co jest cnotą rycerza, odwagi tylko pytającego o radę, już już wstrzymywać począł konia, kiedy wprawnem uchem rozpoznał, że uparty, miarowy bieg rumaka, co go gonił, stał się nagle nierówny; jak rybałt, wprawnie grający na gęśli, z nienacka zapomni słów pieśni i źle je z sobą wiąże, niecierpliwie a niezgodnie targając równocześnie struny, pieśń zaś, wdzięczna i cudna przez swoją miarę i spokojność, potknie się tu i ówdzie i ku końcowi nadażyć nie może, tak oto koń straszliwego wroga, miarowym biegiem dotąd w tył poza siebie ciskający oddale, z nagłą, jakgdyby wspaniałego zapomniął chodu, urwał gon, począł go na nowo i znów urwał; zmącił się i poplątał uparty bieg; jeszcze raz zagrzmiał

nagły wichrowy tupot, widocznym wzmożony wysiłkiem, potem słyhać było chód słabnący, niecierpliwy, coraz cichszy i dalszy.

Serce zabiło silniej w piersi rycerza.

— Bóg czuwa nad nami! — szepnął.

W tej chwili z przeraźliwym świstem przeleciał tuż koło jego głowy głaz, czerwony jak olbrzymi rubin i wrył się opodal w ciemny grunt niebieski, syjąc skry i sycząc.

Poderwał się przerażony rumak i stanął dęba; obejrzał się szybko rycerz i ujrzał daleko, daleko w mrocznej mgle postać męża, co cisnąwszy straszliwie odłamek ognistej gwiazdy, ręce jeszcze miał wzniesione w górę, siedząc na potężnym, okulałym bachmacie.

— On ci to jest! — szepnął w niezmiernem zdumieniu.

— Kto? — zapytała księżniczka w śmiertelnym lęku.

Nie odrzekł jej jednak, gdyż dłoń podniósłszy do ucha, słuchał pilnie słów, które grzmiąc gdzieś w oddali doganiały go echem, coraz słabnącem.

Wołał daleki głos:

— ...Nie ujdziesz... zaprawdę, nie ujdziesz... Gardło dasz przed sędzią wiekuistym... żeś porwał dziewczkę... bezecnie i podle... Dopadnę cię tam, gdzie koń

twój padnie... Goń! ja dążę twoim śladem... Zbójco!... zbójco!...

— Panie miłosierny! — szepnęła księżniczka, nasłuchując mrących ech.

Rycerz pobladnął jak śmiertelna chusta; znać było, że się w nim straszliwym warem gotuje bujna krew, która wszystka zbiegła się w piersi, jak się w potężną warownię zbiega lud przed wojną. Powieki mu drgały niesamowicie, jakby raziły je krwawe błyski, ręce drżały niespokojnie. A z poza niezmierniej bladości twarzy wypłynęła powoli wielka rycerska duma i w jednej chwili zmieniła oblicze, tak, że wyglądało jakby wyrzeżane w nieskazitelnym marmurze, co nie drgnie, ani się zbeszcześci trwogą, ani się zohydzi strachem, ani się nie splami pełzającą prośbą. Ciemne smugi strzeliły z rozgorzałych, czarnych jego oczu i padły na twarz.

Znać, że się pohamował i stłumił w sobie pożar; odwrócił powoli głowę i słowa jednego nie wyrzekłszy, blady i cudny, dostojny i straszny, pełen nieprzepartej mocy i rozjaśniony poczuciem bohaterkiej siły, co nie słowami uderza, lecz mieczem, pchnął rumaka, który, drżąc, przebiegł obok syczącego gwiazdzystego głazu, co miał roztrzaskać dumną, w wspinały, lśniący szyszak strojną głowę rycerza.

Sprzyjał mu los szczęśliwy, co miłuje śmiałych,

a zabija nędznych; zanim się prześladowca na nowo rzuci w pogoń, on już będzie daleko, ukryty gdzieś wśród gwiaździstych gór, niedostępnych i skalistych, które kędyś być muszą; dopadnie ich, zanim się noc przesili i zanim słońce nie pozaciera dróg niebieskich, paląc na proch i węgiel kwiecie gwiazd, co rozbłysło na niebieskiej łące. Zadumał się głęboko rycerz, wspomniawszy słońce i aż drgnął na samą myśl, że je może napotkać na swej obłędnej drodze, nie znającej kresu. Straszny jest wróg, goniący na szybkim rumaku, wróg zacięty i surowy, nie znający litości, lecz można mu ująć; któż jednak ujdzie słońcu, kiedy nagle rozgorzeje przed oczyma, — a choćby mu ktokolwiek ująć zdołał, dalekoże zabiegnie ślepiec, wypalone mający źrenice?

Obejrzał się rycerz dookoła, myśląc o słońcu. Niebo legło ciche i milczące, łyskające gwiazdami — słońce spało gdzieś w przepaści, nieznanej nikomu. Niezmierny spokój i ukojenie legło nad niebieskim bezmiarem, jak cicha tęsknota legnie nierzad na ziemskich polach i patrząc gdzieś w dal wypłowiałemi, niebieskiemi oczyma, gładzi bezwiednie ręką chwytając się lekko kłosa. Zdawało się, że się odprawia rzecz niemożliwa: że niezmierne milczenie i najgłębsza cisza, o jakiej pomyśleć może człowiek, stają się jeszcze głębsze; brnęli przez tę straszną ciszę jak

przez śpiące, ciche, bezgłośnie wody, które nie zaszumią, ani nie zapluszczą. Milczeniem czcili wielkie milczenie, co ich objęło dookoła, zdławiwszy miękką dłonią wicher, który tu nie wiał i nie wył, zginawszy gdzieś niepostrzeżenie wśród wydm.

Rumak biegł szybko, lecz spokojniej już i nie tak szalenie, jak dotąd; nie było słyhać uderzenia kopyt, nie było słyhać parsknięcia.

Kiedy napotkasz taką niezmierną ciszę w leśnym ostępie, śpiącą na mchach, niepokój cię chwyta, dzieje się bowiem tak zawsze, że w zimnem sercu ciszy mieszka zdrada; rzecz straszną zwykł knować człowiek, który milczy i nigdy nie śpiewa, zdradę gotuje podstępne milczenie boru i puszczy; owa zaś cisza, która ich ogarnęła, jadących, podobna była owej dziwnej słodyczy, która oczyma w duszę się sący, a serce gładzi miękko, litościwie, pieszczotliwą dłonią, jakgdyby się kto nad tobą użalał serdecznie, a bez słowa. Nie mówi wtedy człowiek, tylko płacze cicho, kryjąc łzy. I poczyną pragnąć czegoś, czego nazwać nie umie, najpierw nieśmiało, wiewem myśli, potem mocniej i mocniej, niezrozumiałym szeptem wołając nieznane, zasię woła łzami i jękiem, drzeniem ust i rąk, wypatrywaniem oczu, aż się rozkrzyczy w końcu, w głos wołając, by się zjawilo to, co się zjawić powinno, co niema ani miana, ani twarzy, a jest i żyje

w niezmiernem pragnieniu ludzkim; kto zaś, podszeptu ciszy słuchając, raz zapragnął, pragnąć będzie aż do końca swoich dni i uwierzy w złudę, że się zjawi nie dziś i nie nazajutrz, lecz może w ostatniej godzinie, najkrótszej na zegarze ludzkiego żywota. Oto się wtedy żywi serce czekaniem tak smutnem, jak umarła radość i nadzieją bezkrwistą i chorą, jak uwiędły kwiat, a podobno nie ma człowiek w ulu swoim słodczy większej, nad słodczy tęsknoty, która jedna trwa wieczyście, stokroć potężniejsza od śmierci, albowiem ona jedna śmierci się nie trwoży i poza grób sięga oczyma.

I szepce:

»Uwierz we mnie, albowiem ja cię jedyna wywiodę z domu niewoli.

Jam jest, która obmywa oczy, pełne pyłu i prostuje pomięte skrzydła.

Uwierz we mnie, jak w kwiat i w słońce, jak w samotność i ciszę.

Nie dojdiesz tam, dokąd nikt nie doszedł, przeto uwierz w odbłask kresu, który jest we mnie.

Jam jest początek, nikt zaś nie zna końca.

Uwierz we mnie, siostrę szczęścia, które mieszka w sobie, a niemasz drzwi do tego domu.

Stworzonyś jest, abyś pragnął i zagasnął w pragnieniu, podobny świecy, co płonąc, sama się pożera.

Gdziekolwiek pójdiesz, pójdiesz za mną, mniemając, że uchodzisz — przedemną.

Jesteś jako ptak w sidle, a ostatnie twoje tchnienie, mojem jest.

Czemu wznosisz miecz w górę? Jakże mnie zabijesz, która jestem w tobie?

Oto cię napoję słodyczą, bowiem masz usta spierzchłe od pragnienia, napoję cię słodyczą jak winem, abys zbył smutku i usnął, mniemając, żeś odszedł na wyspę szczęścia...«

Niema słów głośniejszych, nad słowa ciszy. Słyszał je rycerz, jakby się urodziły w głębi jego piersi i tonął w nich, jak w cichej, głębokiej toni, bronić się nie mogąc; czuł, że ramiona ma osłabłe i że w nim roztajało wszystko hartowne, jakby w szczęśliwym, dobrem znużeniu; nieodparta senność, tej podobna, jakiej się nie może obronić człowiek, którego zamieć śnieżna namawia do śmierci, objęła go miękką chmurą, tuląc tkliwie, jak dziecko. W ramionach jego bezwolnych oddechała ciężko księżniczka, oczy mająca otwarte, lecz zarówno jakgdyby mgłą nakryte, półsenne, marzące, we własne zapatrzzone widma, które się przęda ze żrenic.

Zdawało się rycerzowi, że wjechali w zaczarowane niebieskie ziemie, gdzie nic nie może pancerz ze stali, ani hart rycerski, albowiem ktoś niewidzialny

rozwiązuje rzemienie, otwiera piersi i spragnione serce poi napojem słodkim i wonnym, aby omdlało i usnęło, szczęśliwe, lecz smutne i niewypowiedzianie ciche. Zebrał się w sobie rycerz i chcąc się wyzwolić z mocy cudnego czaru, wstrząsnął się nagle, jak człowiek, któremu się śni, że go w więzy biorą; wstrząsnął się i znowu zapadł w półsen, jakgdyby padł na mchy miękkie i pieszczące.

Jechał, nie patrząc dokąd zmierza rumak; siedział na siodle bez ruchu, zapatrzony w senne, leniwe mgły, które wylęgły się kędyś z oczu i snując się leniwo a miękko, malowały widziadła do niczego niepodobne, które zwykł malować smutek, malarz najdziwniejszy.

Nie poznał, że się powoli rozświećlać poczęła ta widmowa, ciszą przepojona ziemia światłem, jakgdyby barwy mleka, zimnem i spokojnem i że koń stąpa po twardym gruncie. Nie dziwił się niczemu, jak się nie dziwi człowiek, ogarnięty smutkiem, nie dziwił się tedy, że go zdala, na niezmiernem, rozświeconem pustkowiu doleciał głos ludzki, podniósł tylko z trudem głowę i słuchał w milczeniu.

Ważąc się długo, jakgdyby z uporem brodząc przez gęstą ciszę, leciał z dala śpiew, spokojny, a przemijający, raczej śmiertelnemu podobny zawodzeniu, niżli śpiewaniu, znużony a cierpliwy:

»Od lat tysiąca tysięcy
Przez tysiąc nocy i przez tysiąc dni
Płyniesz okręcie z dalekiego nikąd,
Przed siebie wciąż, przed siebie.
Umarło już wiele gwiazd,
Zagastało już wiele słońc,
I tylko żagiel twój wieczyście lśni,
I tylko wiosła twe o fale biją,
Tak równo, jak twe serce uderza, okręcie.
Wiele mineliśmy dróg,
I burz przetrwaliśmy wiele:
Sterniku! Gdzie drogi kres?
Już wypatrzyliśmy oczy, wyschły nam serca na wicherze,
Już nam sól morza wskrósł przeżarła twarze —
Sterniku, gdzie przystań spokojna?
Okręt nasz wiedzie tęsknota,
Tęsknota rozpięła żagle,
A szczęście, czy widzisz, sterniku?

— Sterniku! — odpowiedział zgodnem, jęklivem
echem chór wielu mężów.

W oddali zamajaczyło widmo potwornego okrętu.

Bez trwogi, na nic nie bacząc, dziwnie spokojny
i cichy, zwrócił rycerz rumaka w tę stronę i ujrzał
rzecz niepojętą: nie ujrzał morza, ani jeziora, ani rzeki,
a oto wspaniały okręt, wryty spodem w rozświetlony
grunt, kołysał się to wprzód, to w tył, podobnie jak
się dziecięce konie kołyszą na drewnianych biegunach.
Błada, cudnej piękności gwiazda, lśniła, zawieszona

na dziobie okrętu, gwiazda drżała na szczycie masztu. Pięćdziesiąt długich, rzeźbionych wiosł, które wyrosły z boków okrętu, uderzały miarowo w pustkę, jak wyprężone ramiona; drżało cielsko okrętu, jak żywe ciało ogromnego zwierza, ile razy niepojęta siła podniosła w górę straszliwy jego dziób, wyrzeźbiony na kształt orlej głowy, wyborną sztuką zręcznego cieśli, drżało, ile razy przód okrętu pochylał się, ryjąc grunt, jakgdyby piersią zapadał w morską otchłań. Potężny statek rozświetlony był całym bladem światłem i dlatego jakby widmu podobny. Na jego przedzie stał człowiek młody, śmiertelnie blady, nie odwracający oczu ani na moment, lecz patrzący wciąż przed siebie w jeden punkt; ręce założył na piersi i tak trwał, w posąg zastygły, milczący, kamienny, niezmienny, cichy. Tuż za nim, o burt się oparłszy, stał inny, który ręce położył na twarzy, jak czyni człowiek, w głębokiej pograżony zadumie. Pod masztem, wyniosłym i gwiazdę dźwigającym na szczycie, siedział inny jeszcze, co oczy szeroko rozwarłszy, w pustkę patrząc, grał na harfie, w tyle zaś okrętu, stał czwarty na podniesieniu wyniosłem, mąż silny i w barkach potężnie rozrosły; tenci oparł żyłaste ramiona na długim, potężnym sterze i całej z siebie dobywszy mocy, tak, iż mu sine sznury żył splątały się na białem czole, kierował nawą, nie bacząc, że

ster ryje pustkę, nie fale. Zasię w kadłubie okrętu, mrocznym i głuchym, ludzie niewidzialni śpiewali, dźwigając w górę ciężkie wiosła i znów niemi orząc pustkę ze straszliwym wysiłkiem.

W tej chwili człowiek, co dotąd stał, o burt wsparty, odjął ręce od oblicza i powiódł powoli oczyma w stronę, z której nadjeżdżał rycerz bez zmazy. Ten wstrzymał konia i głowę podniósłszy, patrzył w górę.

Zawołał głos z okrętu:

— Kto jesteś, który wędrujesz po fali?

Nie zdumiało rycerza pytanie, przeto odrzekł:

— Wędrowiec jestem, który jedzie z daleka...

— Jako my...

— Pozdrowienie wam, którzy jesteście smutni!

Ważył coś człowiek na pokładzie okrętu, bowiem rzekł po długiej dopiero chwili:

— Noc jest, przeto oczy twoje nie dowidzą; nie ma pośród nas ludzi smutnych.

— Któż wy jesteście?

— Żeglarze.

— Na wschód was niesie wiatr, czy na zachód?

— Nikt nie wie, dokąd dąży, — odrzekł głos dziwnej piękności — czy ty wiesz, dokąd jedziesz?

— Nie wiem! — rzekł rycerz.

Mówił człowiek z okrętu:

— Morze pod nami głębokie i morze przed nami dalekie, kres nasz na krańcu morza. Wiatr nas pędzi...

— Rycerzu! — rzekła cicho księżniczka — noc ich mami; powiedz im, że niema tutaj morza.

— Zamilcz, na Boga! Oni widzą morze...

— I wiatru nie ma...

— Oni słyszą wiatr!

Pochylił się nagle okręt, jakby w toń zapadał, więc się wiosła zaparły straszliwie i jak silne ramiona głąz podnoszą, wryty w ziemię, tak one podniosły okręt z wodnej przepaści, jakoby na toń spokojną.

Przechylił się w tej chwili przez burt błądy człowiek i zawołał donośnie:

— Fala się wzmaga i niecierpliwi się morze; mówi ci tedy przez moje usta dowódca, że możesz wejść na okręt i płynąć z nami.

— Jak się zowie twój dowódca? — spytał rycerz z zapartym oddechem.

— Jazon!

— Dokąd was prowadzi?

— Do Kolchidy! — odrzekł głos.

Rycerz podniósł dłoń do czoła, trąc je niespokojnie, jak człowiek, któremu myśl uporczywa mąci mózg; pobladnął w jednej chwili i spytał drżącym głosem:

— Żali okręt wasz zowie się Argo?

— Rzekłeś, a jam jest ten, który go zbudował.

Księżniczka słuchała pilnie, nie rozumiejąc ich spraw i nie wiedząc, co zacz mają znaczyć owe dziwne imiona, wołane na pustkowiu; ujrzała tylko, że rycerz w nagłą zapadł zadumę i jakgdyby smęt powiał po bladej jego twarzy. Milczał długo, poczem zapytał głosem cichym:

— Żeglarzu! Droga wasza jest daleka... Kto mieszka w dalekim owym kraju?

— Szczęście! — rzekł żeglarz i obie ręce podniósł ku górze, jak człowiek z zachwytem wpatrzony w niebo; poczem głosem dobrym i miękkim, raczej śpiewaniu podobnym albo litanji o śmierć szczęśliwą, mówić począł słowa blade od tęsknoty i chore od pragnienia:

— Jam jest ten, który wiązał przęsła tego okrętu przez wiele dni i wiele nocy, aby był gotów do jazdy dalej niż na słońce. Zowie się Argos, a imię moje jest tęsknota... Szczęście moje jest w morzu i w morzu jest moje przekleństwo...

— Sterniku! — zaśpiewał chór zboliałych głosów z czeluści okrętu.

— ... Wzniesь oczy, a ujrysz tego, który widzi dał, a zowie się Jazon; nie ma duszy jego na okręcie, gdyż wybiegła naprzód na odmęty i wypatruje

ziemi. Niech będzie pochwalony Jazon, okręt wiodący, pan morza i wichru, syn szczęścia.

— Pochwalony!... pochwalony!... — szeptał rycerz.

— A ówdzie wspaniały Tyfis, ster dzierżący, moc wydobywa z ramion, z wichrem walcząc, mocniejszy od wichru, co się z piersią jego sterem rozdarta za okrętem wlecze... Niech będzie pochwalony Tyfis, gościeńce widzący na odmęcie wód...

— Pochwalony!... pochwalony!... — szeptał rycerz.

— Sterniku! — zagrzmiała pierś okrętu.

— Ówdzie na harfie grający zwie się Orfeusz, bogom podobny... On czyni, że wicher ucisza się na morzu, a wstaje w sercach. Tuli się do okrętu fala i na pokład się pnie, grania jego słuchając... On ci jest, który słodkich naucza rzeczy, szarpiąc struny, tysiąc mające serc... Niech będzie pochwalony Orfeusz, którego słucha straszliwe morze i straszliwszy od morza człowiek!

— Pochwalony!... pochwalony!...

— Dźwiga okręt mój radość ziemi i dumę ziemi, to ci bowiem jedno rzekę: jest tu Polifem i Telamon, Herakles i Odas, jest Kastor i Poluks, Peleas, Filoklet, Tezeusz i Zetes, jest ci tu Admetos, Mopsos i Nestor, Linkeus i Laertes i bracia onych, dębom podobni, bohaterowie niezmierni, których się lęka noc i zbrodnia, którymi raduje się słońce. Ów-

dzie jest Meleager z Ankeosem na straży... O, pochwaleni po trzykroć i siedemkroć razy!

— Pochwaleni!... pochwaleni!...

— Sterniku! — krzyknęli wioślarze z męką w wołaniu.

— Ohe! Pręćcie ramiona! — ozwał się głos Kalaisa, nadzorcy, co mieczem wybijał na grzmiącej tarczy rytm straszliwy, który godził wysilek wielu ramion i wiązał je w jedno, okręt dźwigające.

Mówił zasię Argos, budowniczy nawy:

— Wejdźże na okręt i płyn z nami. Czemu się wzdragasz? Jeśli pomkniesz dalej, zabije cię gwiazda i w pył cię roztrzaska, o nieszczęsny... Pochłonie cię pustka i krew z ciebie wypije noc... Dokąd gonisz, samotny?

Rycerz ważył długo na uściech słowo, które miał wyrzec; rzekł je po długiej dopiero chwili:

— Po szczęście!

Zdumiał się mądry Argos, oparty o burt okrętu; nachylił się nisko i patrzył przez mrok w twarz rycerza, która nie drgnęła, poczem, jakgdyby bluźnierstwem było samo pytanie, zapytał:

— Czyli jest inne jeszcze szczęście? Czy nie jest jedyne to, po które płyniemy?

— Jest... — rzekł rycerz.

— Widziałeś je?

— Mam je w ramionach! — odrzekł rycerz i podniósłszy książniczkę jak dziecko, ukazał ją zdumionym oczom żeglarza.

Rzekł ten zdławionym głosem:

— Dźwigasz trupa?

— Dźwigam niewiastę, podobną gwieździe, którą umiłowało moje serce ponad śmiertelną miarę.

— I to jest szczęście twoje?

— Rzekłeś!

— A jeśli ona zginie?

— Miłość jest wieczna, — rzekł rycerz — cóż tedy jeśli ona zginie?

Żeglarz podniósł rękę i zakrył nią oczy, jak-gdyby nie mogąc patrzeć na rzecz straszną; kiedy zaś ją odjął od twarzy, miał usta wykrzywione jak-gdyby gorzkim śmiechem; słowa jego przepojone były solą morza, kiedy mówił:

— Gdybym miał włócznie, zabiłbym cię, gdyż jesteś szalony... Nosisz zbroję i miecz masz przy boku, a oczy masz pacholęcia, które widzi kwiat, zasię nie widzi zboża. Cóżeś uczynił? Zdobyłeś słońce, czy tylko dziewczkę? Wiedz, o nieszczęsny, że szczęście jest cudem...

Rycerz zadrżał na siodle niecierpliwie, nie mogąc znieść zniewagi; zrozumiał jednakże, że nie może dosięgnąć mieczem głowy żeglarza, stojącego wysoko

ponad nim, pohamowawszy się tedy, wyrzekł twardo, wstrzymując rwące słowa, jak rumaka cuglami:

— Słowo twoje jest kłamliwe, bowiem szczęście nie cudem jest, lecz czynem. Kłamstwem jest cud przeciwko potędze, sięgającej nieba i zdobywającej ramieniem. Lituję się nad tobą i przeto ci nie powiem, com ujrzał, a czego ty nie widzisz i nie powiem tobie, co widzę w oddali, kędy dążysz, o bracie tęskniący, chory dziwną chorobą, senny i niewolny. Cóż, że nie masz na rękę pęt?

— Gorze! gorze! — wołał żeglarz.

— Sterniku! — krzyknął okręt cały niezmierną tęsknotą.

— Burza idzie! — zawołał przeciągle Tyfis, ster dzierżący, chociaż naokół była śmiertelna cisza, ciężarem gniotąca piersi, ciężąca ołowiem na powiekach, pojąca smutkiem, smętkiem i miękkim, dobrem cierpieniem.

Okręt zadrżał, jakby straszliwą trącony falą i podniósł się na moment, aby się zwalić w bulgocący odmęt, którego nie było; wyprężyły się w kabłąk wszystkie wiosła i ster drgnął, zaś Argos, zachwiałwszy się, wyrzekł głośno, jakgdyby przekrzyć chciał wicher:

— Precz stąd, nieszczęsny, gdyż cię odmęt zmiecie...

— Piękni jesteście i nieszczęśliwi! — rzekł rycerz — żegnajcie!

Potem, zatoczywszy koniem, przystanął tuż przed dziobem okrętu, a podniósłszy się na strzemionach, zakrzyknął:

— Ohej! Jazonie!...

Cisza mu odpowiedziała.

— Jazonie, — wołał rycerz — dowódco nawy! Szalbierstwo czynisz, mniemając, że szczęście jest daleko — szczęście jest blisko... Ujrzysz je, zamknąwszy oczy, człowieku bez powiek. Biada tobie po trzykroć, mężu goniący własną marę.

— Burza idzie! — wrzasnął okręt w rozpacz.

— Oto się burzy lękasz, gdyż tęsknota zżarła twoje siły... Zabij ją i każ Heraklesowi, by rozstrzaskał skałą twój okręt. O, bohaterowie smutni, czarem chorzy! O, Jazonie! Szaleństwo rodzi bohaterów, a tęsknota zabija Centaury. Ohej, Jazonie!

— O, jakże huczy wicher!

— Morze! morze! morze! — krzyknął okręt cały w przerażeniu.

Oczu nie zmrużywszy słuchał Jazon słów świętego rycerza, poczem ruchem powolnym i jakgdyby zmęczonem wykonywał go ramieniem, ujął połę czarnego płaszcza i głowę sobie nakrył. Okręt drżał, jakby szarpany falą, trzeszczały w łóżykach swych wiosła,

przybladła gwiazda na szczycie masztu; zdumiony słuchał rycerz niesamowitych odgłosów i rękę do ucha podniósł, aby lepiej słyszeć, zdawało mu się bowiem, że i on, jakgdyby nagłą przerażony tęsknotą słyszy burzę, łkającą krzykiem mew. Mimowoli tedy, gdy się podniósł w górę dziób okrętu, aby za moment znów runąć w pustkę, pchnął konia w bok, aby się nań nie zwałił potężny statek.

— Morze! morze! morze! — wołało wielu ludzi ostatnim tchem, łamiąc grzbiety miarowo w rytm uderzeń miecza o tarczę.

-- Burza nad nami! — krzyknął Tyfis.

— Wichr oszalał!...

— O, morze! morze!...

Po mleczej drodze, jak po twardym gościńcu mknął bachmat rycerski, wzbijając tumany srebrzystego pyłu, drżącego w poświacie bladego światła, którego nie zdołała wchłonąć w siebie nawet noc; mknął szybko, naglony ostrogą, gdyż rycerz, wydośtawszy się z dziwnego koła smutku i słodkiej ciszy, wśród której w dziwnym swem szaleństwie trwali żeglarze, poznał, że ów, co go goni, zostawił poza sobą wielki szmat drogi, podczas kiedy on stał pod okrętem, pełen zadumy i litości. Może koń jego ma rozdartą pierś szponem lwa, lub też zakulał, zgubiwszy podkowę wśród wyrw, lecz gnany uporem i zaciętością, pędzi pomimo to, gdyż echo przyniosło znów odgłos dalekiego tętentu.

Rycerz gnał na oślep, byle prędzej, byle prędzej. Nie wiedział, czy mu się za chwilę nie otworzy pod stopami przepaść, głęboka jak piekło, lub nie wypeł-

źnie z mroku zwierz, stokroć od lwa straszliwszy. Czuł, że pędzi po twardym gruncie i rozumiał, że po niezmiernym wysiłku koń jego wreszcie padnie, chciał jednakże jak najdalej odbiec od tego, o czym wiedział, chociażby to, o czym nie wiedział i co było przed nim, znaczyło śmierć. W chwili takiej człowiek żywy odwraca miecz i rzuca się na jego ostrze; rycerz jednakże, zaprzysiężony bohaterstwu i męstwu, mało dbał o mękę, którą wieje nieznane i nie więcej ważąc życie własne, niżli się waży pióropusz na hełmie, z niepokojem spoglądał tylko na księżniczkę, w ramionach jego się tulącą, cichą, niemocną i jego ufającą pieczy. Gnały tedy przez jego blade czoło myśli czarne jak burza i ryły na niem bruzdy, jak oto na tej rozsrebrzonej drodze mlecznej wyrwały kolej ciężkie, miedzią kute koła archanielskiej kwadrygi.

Dokąd jedzie, dokąd?

Mówił owym, jadącym do Kolchidy, że czynią szaleństwo, a dokądże to jedzie on, awanturnik, na zdyszonym bachmacie, szaleniec na niebywałe się ważący sprawy? Jak wyjdzie z obieży? Co uczyni? Gdzie kres? gdzie kres?

— Wspomóż mnie, Panie Wiekuisty!... — szepnął cicho, lecz umilkł z nagłą, szeptem przelekły, mniemając, że woła Boga, z którego rąk wydarł oto ją, senną w miłosnym zachwycie. Obejrzał się

w trwodze, strwożony dźwiękiem samego imienia bożego.

I gnał, jak opętaniec.

Rumak dyszał ciężko, sadząc ogromnymi skokami. Potknął się raz i drugi; rycerz, zacisnął wargi i dzierżył drżącą ręką cugle, gotów go poderwać każdej chwili i choćby na śmierć zagnać, byle nie ustać ani na jedno mgnienie. Pochylił tedy głowę i patrzył pilnie na drogę, jakby ze srebra kutą, wypatrując głązów i głębokich bruzd. W tejże chwili zmrużył kilkakroć oczy i znów je rozwarł szeroko, jak zwykł czynić zbudzony ze snu człowiek, który widma snu nie otarł jeszcze ze źrenic.

Co to jest, na Boga??

Jak na bagnie, zakrytem kobiercem łąki, ukazuje się powoli woda, gdy na nie stąpi człowiek, tak się oto na tej nieskończonej drodze srebrnej ukazywać poczęła krew, powoli, jakby gdzieś z głębi na powierzchnię się sącząc. Spojrzał rycerz przed siebie i krzyknął: krew była przed nim — obejrzał się i krzyknął: za nim była krew; po obu stronach, jak daleko okiem sięgnąć rozlało się jej morze.

Szaleństwo! och, szaleństwo!

Jak powódź podstępnie i zdradnie się podnosi z niezmierną szybkością, tak się podnosić poczęło owo, niewiadomo skąd poczęte, czerwone morze, które

nie ostrzegło szumem, nie zapowiedziało śmierci rykiem fali, jak zwykle czynić morze, zbyt potężne, aby chwytać w sidła, zbyt Bogu podobne, aby zabijać podstępnie. Rozlało się bez brzegów i rośło, jakgdyby pękło serce nieba i krew się rozlała po nieskończonej przestrzeni, cicho, nie pluszcząc, nie szumiąc.

Dojrzała księżniczka straszliwe te czerwone wody i zastygła w przerażeniu.

Rumak parsknął niespokojnie i brnąć począł, gdyż krew sięgała mu już do kolan.

Rycerz zadrżał.

— Oto jest kres!... — przebiegło mu przez myśl; przymknął na moment oczy, gdyż zdawało mu się, że są pełne krwi; parł jednak konia kolanami w zapamiętaniu, nie wiedząc co czyni, oszalały zimnem, spokojnem, strasznem szaleństwem. Rumak stąpać począł ostrożnie, szukając nogą gruntu, zanim stąpi, lecz go nie znalazł po chwili i runął śnieżystą piersią na czerwone wody; wtedy, ostatnim wysiłkiem ramion, szarpnął rycerz cugle, w tył się podawszy i nieszczęsne zwierzę płynąć poczęło, dysząc i jakby płacząc ludzkim głosem.

Świat cały krwią się oblał i gorzał niezmiernym pożarem, który tem był straszliwszy, że się dokonywał w milczeniu, że nie było słychać trzasku przesęś

świata, rwących się w ogniu, zapadających się potwornych sklepień, padania w gruz kolumn. Krew była w dole i w górze, wszędzie, wszędzie...

Wśród tej czerwonej ciszy ozwał się nagle drżący, lecz mocny głos rycerza:

— Wiozłem cię przez ziemię i niebo, poprzez góry i przepaście... Wiozłem cię przez drogi, których nie tknął jeszcze nikt, wyrwawszy cię śmierci... Bóg mi przebaczy, bom czynił, jak przystoi rycerzowi... Ty mi zasię przebacz, żem cię powiodł na straszliwe drogi, gdzie nas zaleje za chwilę morze krwi... Lecz cię miłowałem śmiertelnie... Tom nie ja czynił, jeno miłość, od najsilniejszego silniejsza męża... Śmierć idzie naprzeciw nas... Księżniczko... Daj, niech ust twoich dotknę... Śmierć idzie!...

Wtedy księżniczka, w odrętwieniu będąca, rozchyliła powieki i uśmiechnięta, najcudniejszemu podobna zjawisku lub przeczystemu kwieciu podała mu usta, które on, nachylony nisko, całował w obliczu śmierci, nędznej służebnicy miłości.

Daleko - ci jednakże była od nich śmierć, albowiem to słońce wstając w chwale, wylało morze purpurowej krwi na niebo.

Jakże bowiem ma umrzeć to, co wieczyście żyć musi, aby dane było świadectwo prawdzie, iż droga rycerzy bez zmayı w słońce wiedzie, nie w śmierć?

Och, patrzcie, ludzie, znękani szarym snem i trudem życia! Patrz oto pilnie, dusza moja, w ścisku ulic szukająca odbitego słońca:

Opadają szybko straszliwe wody, a rumak rycerski dźwignął się z toni, wstrząsnął się silnie i znów dotknąwszy twardej, srebrzystej ziemi, pognął przed siebie jak oszalały, jakby ostatkiem sił zanieść chciał rycerza w to miejsce, gdzie wykwitła nagle niezmierna, niepojęta jasność. Rycerz wyprostował się na siodle, cugle z rąk wypuścił i patrzył przed siebie w zachwyceniu. Nagle krzyknął.

Rumak, ostatni, potężny uczyniwszy skok, potknął się kilkakroć, potem runął na kolana i zwałił się, chrapiąc. Krew mu buchnęła strugą z nozdrzy, a oczy poczęły zachodzić bielmem. Rycerz wyrwał nogi ze strzemion i dzierżąc w ramionach księżniczkę stał struchlały, patrząc przed siebie szeroko rozwartemi oczyma, albowiem w niezmiernym pędzie leciał wprost na niego orszak rycerski w ogniach słońca, grający pozłotą i pożarem.

Na czele, na niezmiernej piękności koniu, w surowy, rycerski, niestrojny, przybrany rząd jechał Wódz wspaniały, Bóg najjaśniejszy i jedyny, pan niezmiernych dzierżaw, hetman i król, nad którym archanioł niósł buńczuk, chwiejący się na wichrze. Twarz miał jak tysiąc słońc, a oczy jak tysiąc pożarów; na

szyszaku jego chwiał się pióropusz z płomieni i palił powietrze.

Wstrzymał wspinającego się rumaka, patrzył na nich długo, wreszcie głosem większym, niż głos burzy, rzekł:

— Niechaj niewiastę odwiodą w niebieskie zacisze, jemu zaś niech podadzą konia. Zwierz zły i dziki ukazał się w gęstwie nad rzeką Erydan, przeto niechaj jedzie z nami na łowy. Rycerz jest i czynił jako rycerz.

— Panie! Panie! Panie! — szepnęła rycerska gromada, na pysznych siedząca koniach, gryzących wędzidła.

W tej chwili, archanioł buńczuk nad Panem noszący, pochylił głowę i rzekł:

— Oto jedzie ten, który na nich nastawał.

Zmarszczył brwi wspaniały Bóg i spojrzał.

Na zziąjanym, olbrzymim koniu nadjeżdżał rycerz, połową tylko płaszcza nakryty, srogo przed się patrzący czujnymi oczyma; nagle wspiał rumaka jeden z rycerskiej boskiej rzeszy i wyjechawszy naprzeciw niemu, znak mu dał podniesioną w górę ręką, aby się nie zbliżał zbyt. Wstrzymał ten konia i czekał.

— Kto zacz jesteś i czego żądasz? — spytał głośno archanioł, poseł boży.

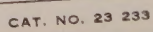
— Rycerz jestem i zwę się Marcin; biegłem tu, aby pomścić nieprawość.

Wtedy archanioł, głos jeszcze bardziej podniósłszy, wołał:

— To ci każe powiedzieć Pan nieba i ziemi: śladem twoim jedzie zima, cóż tobie do spraw wiosny? I to ci kazał rzec: wracaj na ziemską dolinę, kędy jest twój ołtarz, iżby sięś snąć nie rozgniewał Pan Wszechmogący. Czynić chciałeś sprawiedliwość, serce mając kamienne...

— — — — —

— W konie! — krzyknął Bóg miłościwy i pognał jak wicher.

[illegible]

PRINTED IN U.S.A.

LIBRARY

M
23z

16417

AUTHOR

Makuszynski, Kornel

TITLE

Zabawa w szczescie

M

23z

16417

